

Rosamunde Pilcher

**ODGŁOSY**

**Lata**

# *Hampstead*

Sekretarka lekarki, ładna dziewczyna w rogowych okularach, odprowadziła Laurę do drzwi, otworzyła je przed nią i odsunęła się z tak miłym uśmiechem, jakby wizyta miała charakter towarzyski i sprawiła im obu wielką przyjemność. Znajdujące się za drzwiami lśniące czystością schody wychodziły na Harley Street, której połowa tonęła w jasnym słońcu, druga zaś w głębokim cieniu, rzucanym przez stojące po przeciwnej stronie ulicy budynki.

- Piękny dzień - stwierdziła sekretarka i miała rację. W blasku popołudniowego lipcowego słońca wszystko wydawało się jasne i pogodne. Dziewczyna wyglądała schludnie. Miała na sobie spódnicę i bluzkę, nylonowe rajstopy podkreślające kształt jej zgrabnych nóg i czarne półbuty. Laura włożyła tego dnia bawełnianą suknię i była bez pończoch. Ponieważ jednak rano wiał chłodny wiatr, narzuciła na ramiona jasny kaszmirowy sweter, zawiązując z przodu jego rękawy.

Laura zgodziła się ze zdaniem sekretarki, ale nie przyszedł jej do głowy żaden inny komentarz dotyczący pogody. Podziękowała więc dziewczynie, choć w gruncie rzeczy powiadomiła ona jedynie doktor Hickley o przybyciu umówionej pacjentki i pojawiła się w piętnaście minut później, by odprowadzić ją do wyjścia.

- Nie ma za co. Do widzenia, pani Haverstock.
- Do widzenia.

Lśniące, czarne drzwi zamknęły się za Laurą. Zostawiła za sobą fasadę wytwornego, imponującego budynku i idąc w dół ulicy, dotarła do miejsca, gdzie jakimś cudem zaparkowała samochód. Kiedy zasiadła za kierownicą, usłyszała za sobą jakiś szelest. Lucy zwinnie przeskoczyła przez oparcie fotela, spadła na jej kolana, stanęła na tylnych łapach i machając ogonem, polizła ją po twarzy długim różowym językiem.

- Och, biedna Lucy, musisz umierać z gorąca. - Laura zostawiła uchylone okno, ale pomimo tego wewnątrz samochodu przypominało rozpalony piec. Odsunęła dach i od razu poczuła się lepiej.

Lucy dyszała jeszcze przez chwilę, by podkreślić ogrom swych cierpień i okazać wyrozumiałość oraz miłość. Kochała tylko Laurę, ale jako uprzejme, dobrze wychowane stworzenie co wieczór witała serdecznie jej wracającego z pracy męża. Alek zawsze mówił, że poślubienie Laury było swego rodzaju transakcją związaną: zyskał nową żonę i psa jako nieodłączny dodatek.

Kiedy Laura potrzebowała powiernika, ujawniała przed Lucy tajemnice, z których nie zwierzyłaby się nikomu innemu. Nawet Alekowi. Szczególnie Alekowi, ponieważ tajemnice te dotyczyły zwykle jego osoby. Zastanawiała się czasem, jak postępują inne zameżne kobiety. Czy ukrywają swe myśli przed mężami? Na przykład Marjorie Anstey, która była żoną George'a od szesnastu lat i organizowała mu całe życie, poczynając od czystych szalików, a kończąc na kupowaniu biletów lotniczych. Albo Daphne Boulderstone, flirtująca bezwstydnie z wszystkimi poznanymi mężczyznami, którą często widziano w ustronnych restauracjach podczas intymnych obiadów z cudzymi mężami. Czy Daphne dopuszczała Toma do swych tajemnic, narażając się na śmiech z własnej głupoty? A może Tom był naprawdę tak zimny i obojętny, jak się wydawał? Może po prostu nic go to nie obchodziło. Laura miała nadzieję, że w przyszłym tygodniu, podczas planowanych od dawna wspólnych wakacji

w szkockiej miejscowości Glenshandra, będzie miała czas przyrzeć się uważnie obu małżeństwom i znaleźć odpowiedzi na niektóre z nurtujących ją pytań...

Wciągnęła głęboko powietrze, zirytowana własną głupotą. Zupełnie nie wiedziała, dlaczego siedzi w samochodzie, układając tego rodzaju plany, skoro wie już dobrze, że wcale nie pojedzie do Szkocji. Doktor Hickley nie owijała niczego w bawełnę. „Załatwmy to jak najszybciej, nie traćmy czasu. Kilka dni w szpitalu, a potem dłuższy odpoczynek...”

Doszło do tego, czego Laura od dawna się bała. Postanowiła wyrzucić ze swych myśli Daphne oraz Marjorie i skoncentrować uwagę na Aleku. Wiedziała, że musi być energiczna i zdecydowana, że musi opracować plan działania. Bez względu na okoliczności Alek pojedzie do Glenshandra, ona zaś pozostanie w Londynie. Zdawała sobie sprawę, że będzie to wymagać dłuższych perswazji. Niezbędny był przekonujący, bezbłędny plan, który tylko ona może przeprowadzić. I to natychmiast.

Wciśnięta w fotel za kierownicą samochodu, Laura nie czuła się ani energiczna, ani zdecydowana.

Bolała ją głowa, bolały ją plecy, bolało ją całe ciało. Myślała o powrocie do domu, wysokiego, strzelistego domu w Islington, niezbyt daleko, ale stanowczo za daleko dla osoby tak zmęczonej i przygnębionej w upalne lipcowe popołudnie. Marzyła o tym, by dojechać do domu, pójść na górę, położyć się w chłodnym łóżku i przespać resztę dnia. Alek wierzył mocno, że człowiek powinien wyrzucić z głowy wszystkie myśli, aby w ten sposób dać swej podświadomości szansę rozwiązywania problemów pozornie nierozwiązywalnych. Laura miała nadzieję, że jej podświadomość okaże się niezawodna i pracując usilnie podczas drzemki, podsunie po przebudzeniu jakiś skuteczny pomysł. Ponownie westchnęła. Nie bardzo wierzyła w swą podświadomość. Co więcej, nie miała zbyt wielkiej wiary w samą siebie.

- Nigdy nie widziałam pani tak bladej - powiedziała

doktor Hickley, co zabrzmiało niepokojąco, ponieważ była opanowaną osobą i rzadko pozwalała sobie na tak impulsywne uwagi. - Lepiej będzie dla pewności przeprowadzić badanie krwi.

Czy to rzeczywiście tak bardzo rzucało się w oczy?

Laura opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przejrzała się w umieszczonym na jej odwrocie lusterku. Wyjęła z torebki grzebień i próbowała poprawić fryzurę. Potem umalowała się. Kolor szminki, zbyt jaskrawy, niekorzystnie podkreślał błądność jej twarzy.

Spojrzała w swoje oczy, ciemnopiwnie, obramowane długimi gęstymi rzęsami. Stwierdziła, że wydają się zbyt duże w stosunku do twarzy i wyglądają jak dwa wycięte w kawałku papieru otwory. „Powrót do domu i położenie się spać niczego nie rozwiąże”. Przecież zdaje sobie z tego sprawę. Musi porozmawiać z kimś, kto może jej pomóc. W domu nie było nikogo, a mieszkająca w suterenie pani Abney każdego popołudnia między drugą a czwartą kładła się do łóżka. Stanowczo nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano, nawet jeśli chodziło o coś ważnego, na przykład o odczytanie stanu licznika.

Z kim mogłaby porozmawiać?

Phyllis.

Wspaniale. „Kiedy wyjdę ze szpitala, mogłabym zamieszkać u Phyllis. Jeśli zostanę z Phyllis, Alek będzie mógł pojechać do Szkocji”.

Nie była w stanie pojąć, dlaczego nie przyszło jej to wcześniej do głowy. Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie, ale w tej samej chwili krótki sygnał klaksonu przywrócił ją gwałtownie do rzeczywistości. Duży niebieski Rover zatrzymał się obok jej samochodu. Kierowca, czerwony na twarzy mężczyzna, wyraźnie chciał się dowiedzieć, czy Laura zamierza zwolnić miejsce na parkingu, czy też siedzieć tam i przeglądać się w lusterku przez resztę dnia.

Zmieszana, podniosła osłonę przeciwsłoneczną, włączyła silnik, uśmiechnęła się bardziej czarująco, niż to było

konieczne, i choć była lekko zdenerwowana, wyprowadziła samochód na ulicę, nie zaczepiając o żaden inny pojazd. Wyjechała na Euston Road, dotarła w potrójnym strumieniu samochodów do Eversholt Street, skręciła na północ i ruszyła pod górę w kierunku Hampstead.

Od razu poczuła się nieco lepiej. Miała pewien pomysł i przystąpiła do jego realizacji. Ruch był nieco mniejszy, samochód nabrał szybkości, powietrze wpadało przez otwarty dach. Znała i lubiła tę trasę, ponieważ jako młoda dziewczyna mieszkała z Phyllis i każdego dnia jeździła tędy autobusem - najpierw do szkoły, a potem do college'u. Zatrzymała się na światłach. Dobrze pamiętała stojące po obu stronach ulicy zaniedbane, ocienione drzewami domy; niektóre z nich, niedawno odnowione, miały świeżo pomalowane fasady i kolorowe frontowe drzwi. Nasłonecznione chodniki pełne były swobodnie ubranych ludzi: dziewcząt z obnażonymi ramionami i matek z na wpół nagimi dziećmi. Właściciele niewielkich sklepów opuścili markizy i prezentowali swe towary na ulicy. Dostrzegła artystycznie ułożone warzywa, komplet odnowionych krzeseł i zielone wiadra pełne róż i goździków. Przed małą restauracją stały stoły osłonięte pasiastymi parasolami i białe żelazne krzesła. „Zupełnie jak w Paryżu - pomyślała. - Chciałabym, żebyśmy mieszkali w Hampstead”. Nagle stojący za nią samochód zatrąbił i Laura zdała sobie sprawę, że światła zmieniły się na zielone.

Dopiero kiedy dotarła do Hampstead High Street, przyszło jej do głowy, że Phyllis mogła wyjść z domu.

Pomyślała, że powinna się zatrzymać i zatelefonować.

Próbowała wyobrazić sobie, co Phyllis może robić w tak ładne letnie popołudnie, ale nie było to łatwe. Mogła kupować stroje lub antyki, myszkować po swych ulubionych galeriach sztuki, brać udział w posiedzeniu komisji zajmującej się popularyzacją muzyki albo zbierać pieniądze na

konserwację jakiejś rozsypującej się rezydencji w Hampstead.

Laura zbliżała się do domu Phyllis, więc było już za późno, by coś przedsięwziąć. W chwilę później skręciła z głównej drogi w aleję, która zwężała się, biegła łukiem w górę, a potem znów prosto, i zobaczyła rząd przylegających do siebie, wznoszących się tarasowato na spadzistej ulicy domów z epoki króla Jerzego, których drzwi frontowe wychodziły na wybrukowane chodniki. Przed domem Phyllis dostrzegła jej samochód. Stwarzało to wprawdzie pewną nadzieję, ale nie przesądzało wcale o obecności właścicielki, ponieważ Phyllis była niestrudzonym piechurem i wsiadała do auta jedynie wtedy, kiedy musiała „jechać do Londynu”.

Laura zaparkowała za samochodem Phyllis, zasunęła dach i wysiadła, biorąc Lucy na ręce. Po obu stronach drzwi frontowych stały skrzynki z kwitnącymi hortensjami. Laura zastukała kołatką i trzymała kciuki na szczęście. „Jeśli jej nie zastałam, będę musiała zjechać po prostu ze wzgórza, wrócić do domu i zatelefonować do niej”. Ale niemal natychmiast usłyszała odgłosy energicznych kroków Phyllis, która zawsze nosiła buty na bardzo wysokich obcasach. Po chwili drzwi otworzyły się i wszystko już było w porządku.

- Kochanie!

To było najmielsze powitanie. Padły sobie w objęcia. Lucy kręciła się między nimi, a Laura, obejmując Phyllis, miała jak zwykle wrażenie, że trzyma w ramionach ptaka. Drobnego ptaka o jaskrawym upierzeniu. Tego dnia Phyllis miała na sobie łośosiową suknię, delikatne szkliste koraliki na szyi i brzęczące kolczyki. Jej drobne dłonie zdobiły liczne pierścionki, a twarz - jak zawsze - pokrywał idealny makijaż. Doskonałość wyglądu Phyllis naruszały jedynie sterzące niesfornie nad czołem włosy. Siwiała już, ale z jej twarzy nadal emanował młodzieńczy entuzjazm.

- Powinnaś była zatelefonować!

- Musiałam cię natychmiast zobaczyć.
- Och, kochanie, to brzmi interesująco. Chodź!

Laura weszła, a Phyllis zamknęła za nią drzwi. Wąski korytarz nie był ciemny, ponieważ ciągnął się przez cały dom aż do prowadzących do ogrodu otwartych drzwi. Laura widziała przez nie nasłonecznione, obrosnięte roślinnością, wybrukowane podwórko, na końcu którego stała biała ażurowa altana.

Pochyliła się i postawiła Lucy na rubinowoczerwonym dywanie. Lucy dyszała, więc Laura zostawiła torebkę u podnóża schodów i poszła do kuchni, by przynieść psu miseczkę wody. Phyllis przyglądała jej się, stojąc w drzwiach.

- Siedziałam w ogrodzie - powiedziała - ale jest chyba za gorąco. Chodźmy do salonu. Jest tam chłodno, a oszklone drzwi są otwarte. Kochanie, wyglądasz bardzo mizernie. Czyżbyś schudła?

- Sama nie wiem. Chyba tak. Ale nie zrobiłam tego celowo.

- Czy chcesz się czegoś napić? Zrobiłam właśnie doskonałą lemoniadę. Jest w lodówce.

- Z przyjemnością.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedziała Phyllis, idąc po szklanki. - Usiądź wygodnie, za chwilę porozmawiamy. Nie widziałam cię od lat. Jak się miewa ten twój przystojny Alek?

- Dobrze.

- Będziesz musiała mi o wszystkim opowiedzieć.

Cudownie było usłyszeć, że ma czuć się jak u siebie w domu i usiąść wygodnie. Zupełnie jak za dawnych czasów. Laura ułożyła się w narożniku wielkiej, puszystej kanapy i przyknęła oczy. Zza otwartych oszklonych drzwi dobiegał delikatny szelest poruszanej przez poddmuchy wiatru roślinności. W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Było cicho i spokojnie, co zaskoczyło Laurę, ponieważ Phyllis zawsze była w ruchu, biegając na swych długich szczupłych nogach sto razy dziennie w dół i w górę po schodach.



Była ciotką Laury, młodszą siostrą jej ojca. Dziadek, zubożały anglikański pastor, mógł wysłać syna na studia medyczne jedynie za cenę wielu wyrzeczeń i drobnych oszczędności.

Dla Phyllis nic już nie zostało.

Choć na szczęście minęły już czasy, w których córki pastorów potulnie pozostawały w domu i pomagały matkom w przystrajaniu kościoła kwiatami oraz prowadzeniu szkółki niedzielnej, najlepszą perspektywą dla Phyllis było małżeństwo z jakimś odpowiednim, godnym zaufania mężczyzną. Ale Phyllis już od wczesnej młodości wiedziała, czego chce. Ukończyła kurs dla sekretarek i - nie bez pewnych sprzeciwów ze strony rodziców - wyjechała do Londynu, gdzie w rekordowo krótkim czasie znalazła sobie nie tylko mieszkanie, lecz również pracę. Dostała posadę maszynistki w renomowanej firmie wydawniczej Hay Macdonalds. Przełożeni rychło zauważyli jej przedsiębiorczość i zapal do pracy. Została sekretarką redaktora działu beletrystyki, a potem, w wieku dwudziestu czterech lat, osobistą asystentką prezesa firmy, Maurice'a Haya.

Był on pięćdziesięcioletnim starym kawalerem i wszyscy sądzili, że pozostanie w tym szczęśliwym stanie przez resztę swego życia. Ale tak się nie stało, ponieważ stracił głowę z miłości do Phyllis, poślubił ją i wywiózł - wprawdzie nie na białym rumaku, ale ogromnym, imponującym Bentleyem - do swego niewielkiego, lecz dostatniego i eleganckiego domu w Hampstead. Phyllis dała mu wiele szczęścia i nie opuszczała go ani na chwilę. Niestety w trzy lata później Maurice umarł na atak serca.

Zostawił Phyllis dom, meble i wszystkie swoje pieniądze. Nie był człowiekiem małostkowym ani zazdrosnym i w jego testamencie nie znalazł się żaden złośliwy kodycyl skazujący Phyllis na utratę całego majątku w przypadku ponownego zamążpójścia. Ale ona i tak nie wyszła powtórnie za męża. Ten fakt zadziwiał wszystkich, którzy ją znali. Nie brakowało jej bowiem wytwornych wielbicieli. Wręcz przeciwnie; niemal natychmiast po śmierci męża otoczyło

ją grono adoratorów, którzy ciągle telefonowali, przysyłali kwiaty, zapraszali na kolacje, zabierali na wakacje za granicę, zimą do teatru, a na wyścigi do Ascot w lecie.

- Ależ, moi drodzy - protestowała, kiedy miano jej za złe niezależny styl życia - nie zamierzam ponownie wychodzić za męża. Nigdy nie znajdę tak czarującego mężczyzny jak Maurice. Tak czy owak znacznie zabawniej jest być kobietą wolną. Zwłaszcza jeśli jest się bogatą.

Kiedy Laura była małą dziewczynką, życie Phyllis otoczone było legendą, i nic dziwnego. Czasami podczas świąt Bożego Narodzenia rodzice Laury przyjeżdżali z nią do Londynu, by pokazać jej odświętnie ozdobioną Regent Street, udekorowane sklepy i zabrać ją do teatru lub na balet. Zatrzymywali się wówczas zawsze u Phyllis, a Laura, wychowana w hałaśliwym domu zapracowanego wiejskiego lekarza, miała wrażenie, że przeniesiono ją w krainę snów. Wszystko było takie piękne, takie kolorowe, takie pachnące. A Phyllis...

- Ona jest po prostu barwnym motylem - mawiała bez złośliwości matka Laury w drodze powrotnej do Dorset, podczas gdy jej córka siedziała na tylnym fotelu samochodu, odurzona wspomnieniami wspaniałych przeżyć. - Trudno sobie wyobrazić, by mogła kiedykolwiek myśleć o życiu praktycznie... choć w istocie po cóż miałyby robić coś praktycznego?

Ale matka Laury myliła się. Kiedy Laura miała dwanaście lat, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Wracali do domu z niewinnej kolacji drogą, którą oboje bardzo dobrze znali. Nieprawdopodobny splot okoliczności: skrzyżowanie szos, dalekobieżna ciężarówka, rozpedzony samochód z niesprawnymi hamulcami - wszystko to złożyło się na makabryczny wypadek. Niezwłocznie po tym strasznym wydarzeniu zjawiła się Phyllis.

Nie powiedziała Laurze nic. Nie powiedziała, że musi być dzielna, nie powiedziała, że nie powinna płakać, nie powiedziała, że stało się to z woli Bożej. Po prostu przytuli-

ła ją i spytała bardzo czule, czy zechciałaby być tak dobra i przyjechać do niej do Hampstead i przez jakiś czas dotrzymać jej towarzystwa.

Laura przyjechała i została. Phyllis zajęła się wszystkim: pogrzebem, prawnikami, przekazaniem praktyki ojca Laury i sprzedażą mebli. Zatrzymała dla Laury kilka cennych osobistych przedmiotów: biurko ojca, dom dla lalek, jej książki oraz oprawny w srebro komplet toaletowy matki. Umieściła je w sypialni, która stała się teraz własnością bratanicy.

- Z kim ty właściwie mieszkasz? - pytały ją dziewczęta z nowej szkoły w Londynie, kiedy po obcesowym dociekaniu odkryły smutną prawdę, że Laura jest sierotą.

- Z moją ciotką Phyllis.

- Ojej, nie chciałabym mieszkać z ciotką. Czy ona ma męża?

- Nie, jest wdową.

- To brzmi dość ponuro.

Ale Laura nic nie mówiła, ponieważ wiedziała, że skoro nie może żyć w Dorset ze swą ukochaną matką i ojcem, chce nade wszystko w świecie mieszkać z Phyllis.

Ich wzajemny związek był pod każdym względem niezwykły. Spokojna, rozmiłowana w nauce dziewczyna i jej niezwykle towarzyska ciotka zostały najserdeczniejszymi przyjaciółkami: nigdy się nie kłóciły ani nie działały sobie na nerwy. Dopiero kiedy Laura ukończyła college i zdobyła odpowiednie kwalifikacje, by się usamodzielić, po raz pierwszy ujawniła się różnica zdań między nimi. Phyllis chciała, aby Laura podjęła pracę w firmie Hay Macdonalds; wydawało jej się to oczywiste i naturalne.

Laura sprzeciwiła się temu planowi. Sądziła, że jeśli się zgodzi, podważy to jej niezależność.

Phyllis nalegała twierdząc, że przecież byłaby niezależna, że zarabiałaby na własne utrzymanie.

Laura powiedziała stanowczo, że już dość zawdzięcza Phyllis. Chce rozpocząć karierę zawodową - bez względu na

to, jaka ona będzie - nie mając wobec nikogo żadnych zobowiązań.

Phyllis odparła, że nikt nie *mówi* o zobowiązaniach. Dlaczego Laura miałaby odrzucić wspaniałą możliwość tylko dlatego, że jest jej bratanicą.

Laura oznajmiła, że chce wreszcie stanąć na własnych nogach.

Phyllis westchnęła i zaczęła jej cierpliwie tłumaczyć, że *będzie* stać na własnych nogach. Że jeśli nie będzie dobrze wykonywać swej pracy, bez żadnych skrupułów zostanie zwolniona.

To nie było zbyt pocieszające. Laura odparła cicho, że chciałaby znaleźć pracę, która będzie wyzwaniem.

Phyllis zapewniła ją, że praca w firmie Hay Macdonalds *będzie wyzwaniem*. Że może podjąć to wyzwanie równie dobrze, jak każde inne.

Spór toczył się z przerwami przez trzy dni i Laura w końcu ustąpiła. Ale równocześnie zakomunikowała Phyllis, że znalazła sobie niewielkie, dwupokojowe mieszkanie w Fulham i że opuszcza Hampstead. Oznajmiła, że decyzję tę podjęła już dawno temu i że nie ma ona nic wspólnego ze sporem o pracę. Nie znaczy to oczywiście, że nie chce nadal mieszkać z Phyllis. Mogłaby na zawsze pozostać w tym przytulnym, wspaniałym domu na wznoszącym się nad Londynem wzgórzu, ale zdaje sobie sprawę, że to by się nie powiodło. Ich sytuacja nieco się zmieniła. Nie były już ciotką i bratanicą, lecz dwoma dorosłymi kobietami, a szczególnie związek między nimi był zbyt subtelny i cenny, by narażać go na ryzyko.

Phyllis wiodła własne życie - nadal bogate i emocjonujące, mimo że była już dobrze po pięćdziesiątce. A dziewiętnastoletnia Laura musiała „zacząć” życie i nie mogłaby tego nigdy uczynić, nie mając dość siły woli, by wyfrnąć z przytulnego gniazdka ciotki.

Phyllis była początkowo niezadowolona, potem jednak zrozumiała punkt widzenia Laury.

- To nie potrwa długo - stwierdziła proroczo. - Wyjdiesz za męża.

- Dlaczego miałabym wyjść za męża?

- Bo należysz do kobiet, które wychodzą za męża. Jesteś typem dziewczyny, która potrzebuje męża.

- To samo mówiono ci po śmierci Maurice'a.

- Kochanie, ty nie jesteś mną. Daję ci trzy lata na karierę zawodową. Ani chwili dłużej.

Tym razem jednak Phyllis nie miała racji. Minęło bowiem dziewięć lat, zanim Laura zwróciła uwagę na Aleka Haverstocka i dalsze sześć, zanim - jako trzydziestopięcioletnia kobieta - wyszła za niego za męża.

- Już jestem... - Grzechot kostek lodu o szkło i stukot wysokich obcasów wyrwał Laurę z zadumy. Otworzyła oczy i zobaczyła obok siebie Phyllis, która stawiała tacę na niskim stoliku. - Spałaś?

- Nie. Po prostu rozmyślałam. Chyba wspominałam.

Phyllis przysiadła na drugiej kanapie. Nie rozparła się na niej wygodnie, ponieważ jakakolwiek forma odpoczynku była zupełnie obca jej naturze. Wyglądała, jakby w każdej chwili gotowa była zerwać się na równe nogi i popędzić gdzieś w jakichś ważnych sprawach.

- Opowiedz mi o wszystkim. Co robiłaś? Pewnie chodziłaś po sklepach.

Nalała lemoniady do wysokiej szklanki i podała ją Laurze. Szkło było oszronione i niemal sprawiało ból przy dotyku. Laura, wypiwszy mały łyk, postawiła szklankę obok siebie na podłodze.

- Nie, nie chodziłam po sklepach. Byłam u doktor Hickey. - Phyllis przechyliła głowę, a na jej twarzy pojawił się wyraz żywego zainteresowania; uniosła brwi i szeroko otworzyła oczy. - Nie. Nie spodziewam się dziecka.

- Więc po co u niej byłaś?

- Te same dawne dolegliwości.

- Och, kochanie. - Nie musiała mówić nic więcej. Spojrzały na siebie ze smutkiem. Przez oszklone drzwi wbiegła Lucy, która złożyła krótką, nieodzowną wizytę w ogrodzie. Stukając pazurkami o parkiet, przebiegła przez pokój, wskoczyła lekko na kolana Laury, zwinęła się wygodnie w kłębek i zasnęła.

- Od kiedy masz kłopoty?

- Och, to trwa już od jakiegoś czasu, ale odkładałam wizytę u doktor Hickley, bo nie chciałam o tym myśleć. Wiesz, sądziłam, że jeśli nie będę zwracać na to uwagi, może samo przejdzie.

- To bardzo niemądre z twojej strony.

- Ona powiedziała to samo. Teraz to już nie ma znaczenia. Muszę ponownie pójść do szpitala.

- Kiedy?

- Jak najprędzej. Może za parę dni.

- Ależ kochanie, przecież wybierasz się do Szkocji.

- Doktor Hickley twierdzi, że nie mogę jechać.

- Strasznie mi przykro - powiedziała Phyllis łamiącym się głosem. - Tak bardzo cieszyłaś się na te pierwsze wakacje w Szkocji z Alekiem... i co on teraz zrobi? Nie zechce pojechać bez ciebie.

- Dlatego właśnie do ciebie przyszedłam. By prosić cię o przysługę. Czy mogę?

- Jeszcze nie wiem, o jaką przysługę chodzi.

- No więc, czy mogłabym zatrzymać się u ciebie po wyjściu ze szpitala? Jeśli Alek będzie wiedział, że jestem tutaj z tobą, pojedzie do Glenshandra z resztą towarzystwa. To tak wiele dla niego znaczy. Wszystko zostało zaplanowane przed wieloma miesiącami. Zarezerwował pokoje w hotelu i wydzierżawił odcinek rzeki, w której chcą łowić ryby. Nie wspominając już o tym, co powiedzą Boulderstone'owie i Ansteyowie.

- Kiedy masz pójść do szpitala?

- W przyszłym tygodniu. Zostanę tam tylko przez kilka dni i nie będę potrzebowała opieki ani niczego...

- Kochanie, to okropne, ale ja wyjeżdżam.

-Ty... - To było nieprawdopodobne. Laura utkwiła wzrok w Phyllis i robiła wszystko, by nie wybuchnąć płaczem. - Ty... ciebie tutaj nie będzie?

- Jadę na miesiąc do Florencji. Z Laurence'em Haddonem i Birleyami. Zaplanowaliśmy to zaledwie w ubiegłym tygodniu. Och, jeśli jesteś w rozpaczliwej sytuacji, mogę odwołać wyjazd.

- Nie wolno ci tego zrobić.

- A brat Aleka i jego żona? Ten, który mieszka w Devon. Czy nie mogliby się tobą zaopiekować?

- Masz na myśli mój wyjazd do Chagwell?

- Nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu. Wydawało mi się, że ich polubiłaś, od kiedy spędziłaś z nimi Wielkanoc.

- Rzeczywiście ich polubiłam. Są niezwykle mili. Ale oni mają pięcioro dzieci, a teraz są wakacje, więc Janey będzie wystarczająco zajęta. Nie mogę zjawić się tam jako blada i wyczerpana rekonwalescentka, której trzeba podawać śniadania do łóżka. Poza tym wiem, jak się człowiek czuje po takiej operacji. Jest kompletnie wycieńczony. Myślę, że ma to jakiś związek z narkozą. A hałas w Chagwell nigdy nie schodzi poniżej miliona decybeli. To jest chyba nieuniknione, kiedy pięcioro dzieci biega bez przerwy po całym domu.

Phyllis zrozumiała jej punkt widzenia, odrzuciła koncepcję wyjazdu do Chagwell i zaczęła szukać innych rozwiązań.

- Zawsze istnieje jeszcze pani Abney.

- Alek nigdy nie zostawiłby mnie z panią Abney. Ona się postarzała i ma trudności z chodzeniem po schodach.

- Czy doktor Hickley wzięła pod uwagę możliwość odłożenia operacji?

- Nie. Spytałam ją o to i nie zgodziła się. - Laura westchnęła. - W takich chwilach, Phyllis, żałuję, że nie mam licznej rodziny. Że nie mam braci, sióstr, kuzynów, dziadków, matki i ojca...

- Och, kochanie - zawołała Phyllis, a Laurę natychmiast opadły wyrzuty sumienia.

- Powiedziałam głupstwo. Przepraszam.

- A gdybyś wynajęła pielęgniarkę? - spytała Phyllis. - Może wspólnie z panią Abney dałyby sobie jakoś radę...

- Mogłabym też po prostu zostać w szpitalu.

- To absurdalny pomysł. W istocie cała ta rozmowa jest absurdalna. Nie przypuszczam, by Alek chciał pojechać do Szkocji i zostawić cię tutaj. Bądź co bądź to właściwie wciąż wasz miodowy miesiąc!

- Pobraliśmy się dziewięć miesięcy temu.

- Dlaczego po prostu nie odwoła tego wyjazdu i nie zabierze cię na Maderę, kiedy poczujesz się lepiej?

- Nie może. Nie może brać urlopu, kiedy zechce. Ma zbyt odpowiedzialną pracę. A Glenshandra... to już tradycja. Jeździ tam od niepamiętnych czasów; zawsze spędza tam lipiec z Ansteyami i Boulderstone'ami. Cieszy się na to przez cały rok. Nic się nigdy nie zmienia. Powiedział mi, że to właśnie najbardziej mu się tam podoba. Ten sam hotel, ta sama rzeka, ten sam pomocnik wędkarski, ci sami przyjaciele. Przez pozostałą część roku zapracowuje się w City, a te wakacje to jego zawór bezpieczeństwa, powiew świeżego powietrza, jedyna rzecz, która daje mu energię.

- Wiesz, że lubi to, co nazywasz zapracowywaniem się. Lubi pracować, odnosić sukcesy i być prezesem tego i owego.

- Nie może jednak zawieść swych przyjaciół w ostatniej chwili. Jeśli nie pojedzie, pomyśla, że to wszystko moja wina, a jeśli popsuję im ten wyjazd, moje notowania spadną poniżej zera.

- Nie sądzę - odparła Phyllis - by twoje notowania u Ansteyów i Boulderstone'ów miały aż tak duże znaczenie. Musisz myśleć tylko o Aleku.

- O tó właśnie chodzi. Czułabym, że sprawiłam mu zawód.

- Och, nie bądź śmieszna. Nic na to nie poradzisz, że



twój biedny brzuch nagle oszalał. Cieszyłaś się na ten wyjazd do Szkocji tak samo jak on. A może się myłę?

- Och, Phyllis. Sama nie, wiem. Gdybym jechała tylko z Alekiem, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Kiedy jesteśmy razem, tylko we dwoje, daję sobie radę. Wtedy jesteśmy szczęśliwi. Potrafię go rozbawić. To tak, jakbym była z drugą połową samej siebie. Ale kiedy są z nami inni ludzie, mam wrażenie, jakbym znalazła się przez pomyłkę w jakimś klubie i wiem, że mimo usilnych starań nigdy nie zostanę jego członkiem.

- A czy tego chcesz?

- Nie wiem. Rzecz w tym, że oni wszyscy znają się od tak dawna i przez lata Alek był mężem Eriki. Daphne była jej najlepszą przyjaciółką i jest matką chrzestną Gabrieli. Erika i Alek mieli ten dom w New Forest, nazwany Deepbrook, i wszyscy jeździli tam na weekendy. Wszystko, co kiedykolwiek robili, wszystkie ich wspólne wspomnienia sięgają piętnastu lat, a może więcej.

- To dość zniechęcające - westchnęła Phyllis. - Wiem, że wspomnienia innych ludzi są trudne do zniesienia. Ale chyba zdawałaś sobie z tego sprawę, kiedy wychodziłaś za Aleka.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Wiedziałam tylko, że pragnę za niego wyjść. Nie chciałam myśleć o Erice ani o Gabrieli. Po prostu udawałam, że one nie istnieją. To było dość łatwe, zważywszy, że dzieli nas bezpieczna odległość, bo mieszkają w Ameryce.

- Nie możesz wymagać od Aleka, by zerwał ze swymi starymi przyjaciółmi. Starzy przyjaciele są częścią człowieka. Częścią jego osobowości. Dla nich również musi to być trudne. Powinnaś na to spojrzeć z ich punktu widzenia.

- Tak, chyba masz rację.

- Czy oni wspominają o Erice i Gabrieli?

- Od czasu do czasu. Ale potem zapada niezręczna cisza i ktoś prędko zaczyna rozmowę o czymś innym.

- Może powinnaś sama poruszać ten temat.

- Phyllis, jak mogę poruszać ten temat? Jak mogę rozmawiać o wspańskiej Erice, która porzuciła Aleka dla innego mężczyzny? Jak mogę mówić o Gabrieli, skoro Alek nie widział jej od chwili rozstania?

- Czy ona do niego pisuje?

- Nie, ale on pisuje do niej. Z biura. Kiedyś jego sekretarka zapomniała wrzucić list do skrzynki i Alek przyniósł go do domu. Zauważyłam wystukany na maszynie adres. Domyśliłam się, że pisuje do niej co tydzień. Ale wygląda na to, że nigdy nie dostaje odpowiedzi. Nie ma w domu żadnej fotografii Eriki, ale na jego toaletce stoi jedno zdjęcie Gabrieli oraz obrazek, który narysowała dla niego, kiedy miała mniej więcej pięć lat. Jest w srebrnej ramce z firmy Asprey. Przypuszczam, że gdyby nasz dom stanął w ogniu i Alek miał ocalić z płomieni jeden cenny przedmiot, to byłby nim właśnie ten obrazek.

- Potrzebne mu jest drugie dziecko - stwierdziła stanowczo Phyllis.

- Wiem. Ale ja chyba nigdy nie będę mogła go mieć.

- Ależ oczywiście, będziesz mogła.

- Nie. - Laura odwróciła głowę wspartą na niebieskiej jedwabnej poduszce i spojrzała na Phyllis. - Nie będę mogła. Bądź co bądź mam prawie trzydzieści siedem lat.

- To drobiazg.

- Doktor Hickley twierdzi, że jeśli moje dolegliwości powtórzą się, będę musiała przejść bardzo poważną operację.

- Laura, nawet o tym nie myśl.

- Pragnę mieć dziecko. Naprawdę bardzo pragnę.

- Będzie dobrze. Tym razem wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Myśl pozytywnie. A jeśli chodzi o Ansteyów i Boulderstone'ów, to na pewno zrozumieją. Są sympatycznymi, normalnymi ludźmi. Kiedy ich poznałam na tej wspańskiej kolacji, którą wydałaś na moją cześć, wydali mi się czarujący.

- Daphne również? - spytała Laura z wymuszonym uśmiechem.

- Oczywiście, Daphne również - odparła stanowczo Phyllis. - Wiem, że spędziła wieczór, flirtując z Alekiem, ale niektóre kobiety nie są w stanie powstrzymać się od takiego zachowania. Nawet jeśli są na tyle dojrzałe, by zdawać sobie sprawę z tego, co robią. Nie sądzisz chyba, że kiedykolwiek coś ich łączyło?

- Czasami, kiedy jestem przygnębiona, zastanawiam się... Po odejściu Eriki Alek żył samotnie przez pięć lat.

- Chyba oszalałaś. Czy możesz sobie wyobrazić, by człowiek tak uczciwy jak Alek romansował z żoną swego najlepszego przyjaciela? Bo ja nie. Nie doceniasz samej siebie, Lauro. I, co jest o wiele bardziej groźne, nie doceniasz Aleka.

Laura ponownie oparła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Było teraz chłodniej, ale ciało leżącej na jej kolanach Lucy grzało jak termofor.

- Co mam robić? - spytała.

- Pojechać do domu - odparła Phyllis. - Wziąć prysznic, włożyć najładniejszy strój, jaki posiadasz, a kiedy Alek wróci z pracy, podać mu martini z lodem i porozmawiać z nim. A jeśli będzie chciał zrezygnować ze swych wakacji i zostać z tobą, pozwól mu na to.

- Ale ja chcę, żeby pojechał. Naprawdę chcę.

- Więc mu to powiedz. I powiedz mu również, że jeśli nie będzie innego wyjścia, odwołam swój wyjazd do Florencji i zostaniesz u mnie.

- Och, Phyllis...

- Ale jestem przekonana, że przyjdzie mu do głowy jakiś genialny pomysł i wszystkie te rozważania na nic się zdadzą, więc nie traćmy czasu na dalszą rozmowę na ten temat. - Zerknęła na zegarek. - Dochodzi czwarta. Co byś powiedziała na filiżankę wyśmienitej chińskiej herbaty?

# *Deepbrook*

Haverstock, absolwent Winchester i Cambridge, konsultant inwestycyjny, szef Forbright Northern Investment Trust i dyrektor Merchant Bank, Sandberg Harpers, pochodził - co niektórym wydawało się zaskakujące - z serca prowincjonalnego West Country.

Urodził się w Chagwell jako drugi syn w rodzinie, która od trzech pokoleń uprawiała około tysiąca akrów ziemi na zachodnich zboczach płaskowyżu Dartmoor. Zbudowany z kamienia, długi i niski dom miał obszerne pokoje, przystosowane do pomieszczenia wieloosobowej rodziny. Masywny i wygodny, stał zwrócony frontem na południowy zachód, ponad rozległymi zielonymi pastwiskami, na których skubały trawę stada krów rasy Guernsey. Dalej rozciągały się żyzne pola uprawne i porośnięty trzcinaą brzeg małej rzeki Chag. Jeszcze dalej widać było horyzont nad kanałem La Manche, często spowitym zasłoną mgły i deszczu, ale w bezchmurne dni skrzący się błękitem jak jedwab w blasku słońca.

Rodzina Haverstocków posiadała liczne odgałęzienia w Devon i Kornwalii. Niektóre z nich odszczepiły się i ich członkowie obrali karierę zawodową, dając wielu prawników, lekarzy oraz księgowych, ale większość męskich potomków klanu uporczywie trzymała się ziemi: pomnażali stada rasowego bydła, hodowali na wrzosowiskach owce i kucyki, latem łowili ryby, a zimą polowali z psami. Któryś z młodych Haverstocków zazwyczaj brał udział w dorocz-

nym polowaniu na lisa, a złamane przy upadku z konia obojczyki traktowane były w tej rodzinie z takim samym lekceważeniem jak zwykły katar.

Ponieważ majątek przechodził z ojca na najstarszego potomka w linii męskiej, młodszy synowie musieli szukać środków do życia gdzie indziej i, zgodnie z tradycją mężczyzn z Devon, zazwyczaj wstępowali do Marynarki. Jako że Haverstockowie należeli do społeczności rolniczej, ich nazwiska od ponad stu lat zawsze figurowały na listach oficerów Marynarki Wojennej. Wydali wielu młodszych aspirantów i kapitanów, a nawet kilku admirałów.

Stryj Aleka, Gerald, postąpił zgodnie z tą tradycją i wstąpił do Królewskiej Marynarki Wojennej. Ponieważ dziedzicem Chagwell był starszy brat Aleka, Brian, spodziewano się, że Alek obierze tę samą karierę co stryj. Ale on urodził się pod inną gwiazdą niż jego żeglujący po morzach przodkowie, a gwiazda ta poprowadziła go w zupełnie odmiennym kierunku. Po pierwszym semestrze nauki w miejscowej szkole stało się całkiem jasne, że jest uparty i pomysłowy, a także bardzo inteligentny. Zachęcony przez dyrektora, Alek zdał odpowiedni egzamin i zdobył stypendium do college'u Winchester. Z Winchester przeniósł się do Cambridge, gdzie wioślował, grał w rugby i studiował ekonomię, którą ukończył z odznaczeniem. Zanim jeszcze opuścił uniwersytet, zauważył go pewien „łowca talentów” z Sandberg Harpers i zaproponował mu posadę w tym banku, mającym siedzibę w londyńskim City.

Alek miał dwadzieścia dwa lata. Kupił sobie dwa ciemne ubrania, składany parasol oraz teczkę i rzucił się w wir tego podniecającego, nowego świata z tak szaleńczym entuzjazmem, z jakim jego przodkowie naprowadzali konia na pięciobelkową przeszkodę. Skierowano go do działu banku specjalizującego się w analizie inwestycyjnej i właśnie wtedy poznał Toma Boulderstone'a. Tom pracował w Sandberg Harpers już od sześciu miesięcy, ale obaj młodzi ludzie szybko znaleźli wspólny język i kiedy Tom poprosił

Aleka, żeby wprowadził się do jego mieszkania, Alek chętnie na to przystał.

To były dobre czasy. Choć obaj pracowali bez wytchnienia, mieli sporo czasu na lekkomyślne rozrywki, co większości ludzi zdarza się tylko raz w ciągu całego życia. Przez małe mieszkanie przewijał się nieprzerwany strumień bystrych, młodych kobiet. Zaimprovizowane przyjęcia rodziły się z niczego; spaghetti kipiało w rondlu, a na podłodze piętrzyły się skrzynki piwa. Alek kupił swój pierwszy samochód i podczas weekendów porywali z Tomem parę dziewcząt i jechali z wizytą do znajomych na wieś, na letnie mecze krykieta lub zimowe polowania.

To właśnie Alek przedstawił Toma Daphne. Jej brat, kolega Aleka z Cambridge, poprosił go, żeby zaopiekował się tą niewinną istotą, która dopiero co przyjechała do Londynu, aby podjąć tu pracę. Alek bez większego entuzjazmu spełnił jego prośbę i odkrył z radością, że dziewczyna jest ładna i niezwykle zabawna. Parę razy zaprosił ją na kolację do miasta, a potem, pewnego niedzielnego wieczora, przyprowadził ją do mieszkania, gdzie przyrządziła jemu i Tomowi najgorszą jajecznicę, jaką kiedykolwiek jadł.

Mimo tej katastrofy i ku zaskoczeniu Aleka, Tom natychmiast zakochał się w Daphne. Dziewczyna przez długi czas pozostawała obojętna na jego komplementy i nadal spotykała się z innymi mężczyznami, ale Tom był upartym młodym człowiekiem i stale błagał ją, by za niego wyszła. Ona ciągle zbywała go wymówkami i odkładała sprawę na później. W rezultacie jego nastroje wahały się od euforycznego podniecenia do głębokiej depresji. Kiedy w końcu doszedł do wniosku, że sytuacja jest beznadziejna i zamierzał na zawsze wykreślić Daphne ze swojego życia, ona, być może instynktownie to czując, nagle całkowicie „zmieniła front”, porzuciła wszystkich innych młodych mężczyzn i oznajmiła Tomowi, że za niego wyjdzie. Alek był ich drużbą. Daphne zamieszkała z Tomem jako bardzo młoda i bardzo niedoświadczona pani Boulderstone.

Alek musiał się wyprowadzić i właśnie wtedy, na tym początkowym etapie swej kariery zawodowej, kupił dom w Islington. Nikt z jego znajomych nie mieszkał w Islington, ale kiedy po raz pierwszy zobaczył ten dom, wydał mu się on większy i bardziej atrakcyjny niż którykolwiek z należących do jego przyjaciół skromnych apartamentów lub domków. Posiadał dodatkową zaletę: był o wiele tańszy niż nieruchomości w innych dzielnicach Londynu. I leżał zaledwie o kilka minut drogi od City.

Otrzymawszy hipoteczną pożyczkę od swego banku, Alek wprowadził się do nowego domu. Budynek był wysoki i strzelisty. Znajdowała się w nim spora suterena, której on sam nie potrzebował, więc zamieścił ogłoszenie w lokalnej gazecie. Odpowiedziała na nie pani Abney, kobieta w średnim wieku, wdowa po przedsiębiorcy budowlanym. Nie miała dzieci, ale był Dicky - jej kanarek. Musiała zabrać go ze sobą. Alek oznajmił, że nie ma nic przeciwko karnarkom, więc szybko osiągnęli porozumienie i pani Abney wprowadziła się do jego domu. Był to układ zadowolający obie strony - pani Abney zdobyła mieszkanie, a Alek gospodynię domu, która w dodatku prasowała jego koszule.

\* \* \*

Po pięciu latach pracy w firmie Sandberg Harpers Aleka przeniesiono służbowo do Hongkongu. Tom miał pozostać w Londynie, a Daphne była wściekle zazdrosna.

- Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego ty jedziesz, a Tom nie - powiedziała.

- On jest bystrzejszy niż ja - odparł dobrodusznie Tom.

- Nic podobnego. Jest tylko wyższy i przystojniejszy.

- Dość tego gadania.

Daphne zachichotała. Lubiła, kiedy Tom przybierał władczy ton.

- Alek, mój drogi, będziesz się tam wspaniale bawił - powiedziała. - Dam ci adres mojej najlepszej przyjaciółki, która mieszka tam z bratem.

- Czy on pracuje w Hongkongu?  
- Najprawdopodobniej jest Chińczykiem - wtrącił Tom.  
- Och, nie bądź niemądry.  
- Pan Hoo Flung Dung.  
- Doskonale wiesz, że brat Eriki nie jest Chińczykiem; jest kapitanem królewskich lojalistów.

- Erika? - spytał Alek.  
- Tak. Erika Douglas. Jest czarująca, wysportowana i posiada wszystkie możliwe zalety.

- Wcielenie wszelkich cnót - mruknął naburmuszony Tom, który tego dnia potrafiłby doprowadzić do szału nawet anioła.

- Och, dobrze, „wcielenie wszelkich cnót”, jeśli chcesz wszystko popsuć. - Odwróciła się znów do Aleka. - Nie jest wcieleniem wszelkich cnót; jest po prostu czarująca, niezwykle atrakcyjną kobietą.

Alek powiedział, że nie ma co do tego wątpliwości. W tydzień później poleciał do Hongkongu i kiedy tylko się tam zdomowił, zaczął szukać Eriki. Mieszkała z przyjaciółmi w pięknym domu położonym na szczycie wzgórza. Drzwi otworzył chiński służący i poprowadził go przez dom na zacieniony taras. Widać stąd było skąpany w słońcu ogród i błękitny basen w kształcie nerki.

- Panienska Ellika pływa - powiedział służący, wykonując lekki ruch ręką, a Alek podziękował mu i zszedł po schodkach na dół. Wokół basenu siedziało sześć czy siedem osób. Jakiś starszy mężczyzna zauważył go, wstał z leżaka i ruszył mu na spotkanie. Alek przedstawił się i wyjaśnił powód swojej wizyty. Mężczyzna uśmiechnął się i odwrócił w kierunku basenu.

Pływała w nim w tę i z powrotem, wprawnym kraulem, jakaś młoda kobieta.

- Erika! - Dziewczyna obróciła się na plecy; była bardzo zgrabna i miała kruczoczarne włosy. - Ktoś do ciebie! - Podpłynęła do krawędzi basenu, lekko wyskoczyła na brzeg i podeszła do Aleka. Była bardzo piękna; wysoka, długono-



ga i opalona na kolor miedzi. Po jej twarzy i ciele spływały kropelki wody.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się szeroko, pokazując równe lśniące zęby. - Pan Alek Haverstock, prawda? Daphne zapowiedziała pański przyjazd. Wczoraj dostałam od niej list. Czego pan się napije?

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Jeszcze tego wieczora zaprosił ją na kolację i od tej pory rzadko się rozstawali. Po mrocznym Londynie Hongkong był zatłoczoną, tętniącą życiem, czarodziejską krainą rozrywek: światem, w którym nędza i bogactwo ocierały się o siebie na każdym rogu ulicy; światem szokujących i zachwycających kontrastów; światem upału, słońca i błękitnego nieba.

Nagle okazało się, że można tu przyjemnie spędzać czas na wiele sposobów. Razem pływali, grali w tenisa, jeździli konno wczesnym rankiem, żeglowali małą łódką jej brata po błękitnych, pomarszczonych bryzą wodach Repulse Bay. Wieczorami pławili się w blaskach i urokach życia towarzyskiego Hongkongu. Bywali na wystawnych kolacjach, których przepych kojarzył mu się zawsze z minioną epoką, na rautach organizowanych przez kapitanów zawijających do portu statków, na świętach pułkowych i bankietach wydawanych przez dowództwo Marynarki Wojennej. Życie pary zakochanych w sobie młodych ludzi obfitowało w nieskończenie wiele atrakcji, a Alek zdał sobie w końcu sprawę, że największą z tych atrakcji jest sama Erika. Odwożąc ją pewnego wieczora do domu po jakimś przyjęciu, zaproponował jej małżeństwo, a ona wydała okrzyk radości i zarzuciła mu ramiona na szyję tak gwałtownie, że z trudem utrzymał samochód na drodze.

Następnego dnia Alek kupił jej pierścionek zaręczynowy z największym, na jaki było go stać, mieniącym się jak gwiazda szafirem. Brat Eriki wydał na ich cześć przyjęcie w kasynie oficerskim, a Alek ze zdumieniem odkrył, że w stosunkowo krótkim czasie można wypić aż tyle szampana.

Pobrali się w katedrze w Hongkongu, a ślubu udzielił im biskup. Rodzice Eriki przylecieli z Londynu na tę ceremonię.

Panna młoda wystąpiła w sukni z białego, delikatnego batystu, ozdobionej białym haftem. Miesiąc miodowy spędzili w Singapurze, a potem wrócili do Hongkongu.

Pierwszy rok ich małżeńskiego pożycia upłynął im na Dalekim Wschodzie, ale ta idylla musiała się skończyć. Gdy staż Aleka w Hongkongu dobiegł końca, został odwołany do Londynu. Wrócili do kraju w listopadzie, który jest dość ponurym miesiącem nawet przy najbardziej sprzyjającej pogodzie. Kiedy dotarli do domu w Islington, Alek wziął żonę na ręce i przeniósł przez próg, dzięki czemu nie przemoczyła nóg, a padał właśnie ulewny deszcz.

Erika nie była zachwycona domem. Alek, spojrzawszy na wystrój wnętrza z jej punktu widzenia, musiał przyznać, że nie jest on zbyt atrakcyjny. Pozwolił jej urządzić wszystko według własnego gustu i obiecał pokryć związane z tym koszty. Erika z radością podjęła się tego zadania, które pochłonęło ją na kilka miesięcy, a gdy dom był już przebudowany, urządzony i umeblowany zgodnie z jej wymaganiami, przyszła na świat Gabriela.

Kiedy Alek po raz pierwszy wziął córkę na ręce, zdał sobie sprawę, że jest to jedno z najbardziej zadziwiających doświadczeń w jego życiu. Odchyliwszy kocyk i spojrzawszy na jej drobną, delikatną twarzyczkę, poczuł nieoczekiwane ogromną czułość i dumę. Był zachwycony świetlistym błękitem jej oczu, wysokim czołem i kępką sterzących, jedwabistych, czarnych włosów.

- Ona jest żółta - stwierdziła Erika. - Wygląda jak Chinka.

- Wcale nie jest żółta.

W kilka miesięcy po przyjściu na świat Gabrieli Alek ponownie został wysłany na Wschód, tym razem do Japonii. Ale teraz wszystko wyglądało inaczej, a on był niemal zawstydzony niechęcią, z jaką myślał o rozstaniu ze swą có-

reczką, choć miało ono trwać tylko trzy miesiące. Nie przyznał się do tego nikomu, nawet Erice.

Zwłaszcza Erice, która nie miała instynktu macierzyńskiego. Zawsze bardziej interesowały ją konie niż dzieci, a kiedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, okazała kompletny brak entuzjazmu. Fizyczne objawy macierzyństwa budziły w niej odrazę... nienawidziła swych nabrzmiałych piersi i wydętego brzucha. Nudziło ją długie oczekiwanie i nawet radosne podniecenie związane z przebudową domu nie mogło jej wynagrodzić porannych mdłości, znużenia i osłabienia.

A teraz nie mogła pogodzić się z tym, że Alek jedzie na Daleki Wschód bez niej. Była urażona, że wyjeżdża sam, podczas gdy ona musi zostać w ponurym Londynie jedynie z powodu Gabrieli.

- Nie powinnaś winić Gabrieli. Nawet gdyby nie było jej na świecie, nie mogłabyś pojechać ze mną, bo nie jest to tego rodzaju podróż.

- Więc co mam ze sobą zrobić, gdy ty będziesz uganiał się za gejszami?

- Możesz zamieszkać u swojej matki.

- Nie chcę mieszkać u matki. Ona bez przerwy krząta się wokół Gabrieli i doprowadza mnie do szału.

- Powiem ci, co zrobimy... - Podczas tej wymiany zdań Erika leżała na łóżku, więc Alek usiadł obok niej i położył dłoń na jej kształtnym biodrze. - Tom Boulderstone powiedział mi o swoim pomysle. On i Daphne chcą w lipcu pojechać do Szkocji... na ryby. Ansteyowie też się wybierają, i pomyśleli, że moglibyśmy dołączyć do ich grupy.

- Do jakiej części Szkocji? - spytała po chwili. Nadal była nadasana, ale Alek wiedział, że rozbudził w niej zainteresowanie.

- Do hrabstwa Sutherland. Miejscowość nazywa się Glenshandra. Jest tam nadzwyczajny hotel, w którym podają wspańnięte jedzenie, więc nie będziesz miała nic do roboty poza przyjemnym spędzaniem czasu.

- Wiem. Daphne opowiadała mi o tym. Ona i Tom byli tam w ubiegłym roku.

- Z pewnością polubisz łowienie ryb.

- A co z Gabriellą?

- Może mogłaby zostać u twojej matki? Co o tym sądzisz?

Erika przewróciła się na plecy, odgarnęła włosy z oczu i spojrzała na swego męża. uśmiechnęła się.

- Wolałabym pojechać do Japonii - oznajmiła.

Alek pochylił się i pocałował jej rozchylone w uśmiechu usta.

- Nic lepszego się nie wymyśli.

- W porządku. Nic lepszego się nie wymyśli.

I tak z biegiem lat zmieniał się model ich życia. Alek wspinał się stopniowo po szczeblach kariery zawodowej, co nakładało na niego nowe i bardziej pochłaniające go obowiązki. Gabriela skończyła piąty rok życia i rozpoczęła naukę w szkole. Kiedy Alek miał czas, by przyjrzeć się swemu życiu rodzinnemu, dochodził do wniosku, że są ze sobą równie szczęśliwi, jak wszyscy ich przyjaciele. Bywały oczywiście wloty i upadki, ale tego należało się spodziewać, i zawsze - jak cenna nagroda, czekająca na mecie długiego biegu - istniały wakacje w Szkocji, które stały się już corocznym wydarzeniem. Nawet Erika kochała te wyjazdy i cieszyła się na nie tak samo jak Alek. Jako urodzona sportsmenka, obdarzona zmysłem koordynacji i wyostrożoną spostrzegawczością, polubiła wędkarstwo jak kaczka wodę. Pierwszy złowiony przez nią łosoś doprowadził ją do śmiechu przez łzy, a Alek, widząc jej dziecięcą radość i podniecenie, niemal zakochał się w niej po raz drugi.

Byli bardzo szczęśliwi w Szkocji. Beztrioskie dni wpływały na nich jak podmuchy orzeźwiającego wiatru, który przelatując przez duszny dom, przepędza urazy i odświeża powietrze.

Kiedy Gabriela trochę podrosła, zaczęli zabierać ją ze sobą.

- Będzie nam przeszkadzać - twierdziła Erika, ale Gabriela wcale nie przeszkadzała, bo nie należała do tego rodzaju dzieci. Była czarująca i właśnie w Glenshandra Alek naprawdę poznał swoją córeczkę; rozmawiał z nią, słuchał jej opowieści lub po prostu cieszył się jej milczącym towarzystwem, kiedy siedziała na brzegu rzeki, patrząc, jak ojciec zarzuca wędkę do brunatnej, torfiastej wody.

Ale Erice nawet Glenshandra już nie wystarczała. Zaczęła robić się nerwowa. Nadal miała za złe Alekowi jego zagraniczne podróże służbowe i oburzała się, że ciągle wyjeżdża do wspaniałych egzotycznych krajów, zostawiając ją w Londynie. Każdą podróż poprzedzała awantura, a on odlatywał coraz bardziej przygnębiony, słysząc echo jej pełnych gniewu, okrutnych słów. W końcu doszła do wniosku, że nienawidzi ich domu. Początkowo zachwycała się nim, ale teraz stał się dla niej zbyt mały. Znudził ją. Znudził ją Londyn. Alek zastanawiał się, czy powie mu, że on również ją znudził.

Potrafił być nieustępliwy. Kiedy pod koniec pewnego długiego, męczącego dnia stanął twarzą w twarz z kapryśną żoną, okazał się bardziej nieustępliwy niż zazwyczaj. Oznajmił jej, że nie zamierza rezygnować ze swego wygodnego domu na rzecz większej, położonej w eleganckiej dzielnicy Londynu rezydencji, która kosztowałaby oczy z głowy i narażała go na jeszcze dłuższe dojazdy do pracy.

Erika straciła panowanie nad sobą.

- Zawsze myślisz wyłącznie o sobie. Ty nie musisz spędzać całych dni uwięziony w tym okropnym domu, otoczonym brukowanymi ulicami Islington. Spójrz na Toma i Daphne. Kupili dom w Campden Hill.

Właśnie w tym momencie, słuchając jej wymówek, Alek po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że być może pewnego dnia jego małżeństwo z Eriką rozpadnie się. Zarzucała mu, że myśli wyłącznie o sobie i choć nie było to całkiem zgod-

ne z prawdą, faktem było, iż większą część dnia pochłaniała mu praca, która nie pozwalała mu myśleć o niczym innym. Sytuacja Eriki była zupełnie odmienna. Troska o dom i macierzyństwo nie wystarczały jej i choć ich wieczory wypełniały spotkania towarzyskie - Alek miał wrażenie, że prawie nigdy nie jadają kolacji w domu - jej niewyczerpana energia nie znajdowała ujścia.

Kiedy skończyła narzekać i zamilkła, Alek spytał ją, czego naprawdę chce.

- Chcę przestrzeni - odparła. - Większego ogrodu, przestrzeni dla Gabrieli. Tego właśnie chcę. Przestrzeni i swobody. Drzew. Miejsca do konnej jazdy. Czy zdajesz sobie sprawę, że aż do przyjazdu do Hongkongu codziennie jeździłam konno. Chcę mieć gdzie spędzać czas, kiedy ty jesteś za granicą. Chcę zapraszać gości na dłuższy pobyt. Chcę...

Oczywiście było, że chce mieć dom na wsi.

Alek kupił jej dom na wsi. W New Forest. Erika znalazła go po trzech miesiącach gorączkowych poszukiwań, a Alek wziął głęboki oddech i wypisał czek na ogromną sumę, której od niego zażądano.

Był to oczywiście kompromis, ale on dostrzegał niebezpieczne oznaki jej desperacji, chociaż jego obecna sytuacja finansowa pozwalała mu wziąć na swe barki dodatkowy wydatek, jakim był ten luksus. Ale czy rzeczywiście był to aż taki luksus? Posiadanie tego domu oznaczało weekendy na wsi oraz wakacje dla Gabrieli, a przy wysokiej inflacji nieruchomości zawsze była dobrą inwestycją.

Dom nazywał się Deepbrook. Był solidnie zbudowany we wczesnowiktoriańskim stylu i miał wiele pokoi. Poza nim posiadłość obejmowała szklarnię, akr ogrodu, stajnię na cztery konie i trzy akry terenów jeździeckich. Fasadę budynku porastały olbrzymie, fiołkoworóżowe kwiaty wistarii, a przed nim rozpościerał się duży trawnik z drzewem cedrowym pośrodku i kilkoma wspaniałymi, bujnymi krzewami różanymi.

Erika była w końcu szczęśliwa. Umieblowała dom, znalazła ogrodnika, kupiła parę koni dla siebie i kucyka dla Gabrieli. Gabriela miała wówczas siedem lat i niezbyt lubiła kucyka. Woląta godzinami dokazywać na huśtawce, którą Alek przymocował do cedrowego drzewa.

Choć stosunki między matką a córką układały się na pozór dość poprawnie, nigdy nie miały ze sobą wiele wspólnego. Kiedy Gabriela skończyła osiem lat, Erika zaczęła przebąkiwać o możliwości wysłania jej do szkoły z internatem. Alek był oburzony. Nie pochwalał wysyłania do takich szkół małych chłopców, tym bardziej małych dziewczynek. Spierali się o to przez długi czas i nie osiągnęli porozumienia. Kres ich utarczkom położył dopiero trzymiesięczny służbowy wyjazd Aleka do Nowego Jorku.

Tym razem nie było żadnych skarg ani zarzutów. Erika przygotowywała do wystawy młodego konia i pożegnała męża zdawkowo, pochłonięta jedynie myślami o swym aktualnym zajęciu. Tak przynajmniej przypuszczał Alek, ale kiedy wrócił z Nowego Jorku, dowiedział się, że Erika znalazła dla Gabrieli doskonałą niedużą szkołę z internatem, już ją do niej zapisała i że ich córka ma rozpocząć tam naukę od nowego roku szkolnego.

Była niedziela. Tego ranka Alek wylądował na lotnisku Heathrow i pojechał prosto do Deepbrook. Erika postawiła go przed faktem dokonanym. Rozmawiali w salonie, kiedy nalewał jej drinka, i właśnie wtedy, gdy stali naprzeciw siebie jak uczestnicy pojedynku, na dwóch krańcach dywanu, doszło między nimi do najbardziej hałaśliwej kłótni.

- Nie miałas prawa...

- Powiedziałam ci, że to zrobię.

- A ja ci mówiłem, żebyś tego nie robiła. Nie życzę sobie, żeby moja jedyna córka została wypędzona do jakiegoś internatu...

- Ja jej nie wypędzam. Ja ją wysyłam. Dla jej własnego dobra...

- Kimże ty jesteś, by decydować, co jest dla niej dobre?

- Wiem, co nie jest dla niej dobre: dalszy pobyt w tej nędznej szkółce w Londynie. Jest inteligentnym dzieckiem...

- Ma zaledwie dziesięć lat.

- I jest jedynaczką. Potrzebuje towarzystwa.

- Mogłabyś jej je zapewnić, gdybyś nie była zbyt pochłonięta swymi cholernymi końmi...

- To kłamstwo... dlaczego nie miałabym zajmować się moimi końmi? Bóg wie, że poświęciłam dość czasu opiece nad Gabriela... A ty nigdy mi nie pomagałeś... przecież połowę czasu spędzasz poza domem. - Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. - A ja starałam się ją zainteresować tym, co robię... Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Kupiłam jej tego kucyka, ale ona woli oglądać telewizję lub czytać książki. Jak może zaprzyjaźnić się z kimkolwiek, skoro nigdy nie wychodzi z domu?

- Nie chcę, żeby szła do szkoły z internatem...

- Och, na miły Bóg, przestań być takim egoistą.

- Myślę o niej. Czy nie chcesz tego zrozumieć. Myślę o Gabrieli...

Był tak wściekły, że czuł niemal namacalnie ból w klatce piersiowej. Erika nie odezwała się. Zawróciła w drugim końcu pokoju i nagle zastygła w bezruchu, patrząc nie na Aleka, lecz na jakiś punkt znajdujący się za jego plecami. Stała z zaciśniętymi pięściami, a bladość jej twarzy kontrastowała z ciemną czerwienią wełnianego swetra.

Zapadła cisza. Alek odstawił swoją szklankę i powoli się odwrócił. Za nim, w otwartych drzwiach stała Gabriela. Miała na sobie stare dzinsy i sportową koszulkę z wizerunkiem Snoopy'ego. Była boso, a długie, ciemne włosy jak jedwabna zasłona opadały na jej ramiona.

Przez dłuższą chwilę patrzył w jej oczy. Potem Gabriela opuściła wzrok i stała w miejscu, bawiąc się klamką u drzwi i czekając, aż ktoś się do niej odezwie.

Alek wziął głęboki oddech.

- Czy coś się stało? - spytał.



- Nie, nic. - Wzruszyła swymi szczupłymi ramionami. - Po prostu was usłyszałam.

- Bardzo mi przykro.

- Mówiłam właśnie tatusiowi o szkole - powiedziała Erika. - On nie chce, abyś do niej jechała, bo uważa, że jesteś jeszcze zbyt młoda.

- Co ty o tym sądzisz? - spytał łagodnie Alek.

Gabriela nadal bawiła się klamką.

- Wszystko mi jedno - odparła w końcu.

Alek wiedział, że gotowa byłaby powiedzieć cokolwiek, byle przerwać ich kłótnię. Teraz, kiedy jego gniew minął, ustępując miejsca smutkowi, zdał sobie sprawę, że ma tylko dwie możliwości. Mógł postawić sprawę na ostrzu noża, co niewątpliwie wciągnęłoby Gabrielę w ich kłótnię, albo ustąpić i pozostawić wydarzenia własnemu losowi. Wiedział, że bez względu na to, jaką podejmie decyzję, Gabriela będzie poszkodowana.

Później, kiedy się już wykąpał i przebrał, poszedł do pokoju Gabrieli, by powiedzieć jej dobranoc. Dziewczynka, w koszuli nocnej i pantoflach, klęczała w półmroku przed telewizorem. Usiadł na łóżku i przyglądał się jej profilowi oświetlonemu bijącym od ekranu blaskiem. W wieku dziesięciu lat nie była ani tak ładna jak kiedyś, ani tak piękna, jak miała być w przyszłości, ale jemu wydawała się tak drogocenna i krucha, że na samą myśl o tym, co może ją czekać, pękało mu serce.

Kiedy program się skończył, wstała, wyłączyła telewizor, a potem zapaliła nocną lampkę i zaciągnęła zasłony. Była niezwykle porządnym dzieckiem. Gdy już to zrobiła, Alek wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię i delikatnie przyciągnął do siebie. Pocałował ją.

- Przestaliśmy się kłócić - powiedział. - Przepraszam. Nie mieliśmy prawa robić tyle hałasu. Mam nadzieję, że nie jesteś przygnębiona.

Gabriela położyła głowę na jego ramieniu. Alek pogłaskał ją po włosach.

- Wcześniej czy później większość ludzi idzie do szkoły z internatem - powiedziała.

- Czy nie będzie ci przykro?

- A będziesz mnie odwiedzać?

- Oczywiście. Kiedy tylko pozwoli mi na to czas. Będziesz przyjeżdżać do domu na ferie i przerwy w nauce. I spędzać z nami wakacje.

- Mama zawiozła mnie do tej szkoły, żeby mi ją pokazać.

- Jak ci się podobała?

- Pachnie pastą do podłóg. Ale dyrektorka ma miłą twarz. I jest całkiem młoda. I pozwala zabrać ze sobą misie i inne zabawki.

- Posłuchaj... jeśli naprawdę nie chcesz chodzić do...

Odsunęła się od niego i wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno - powiedziała ponownie.

Nie mógł zrobić nic więcej. Pocałował ją i szedł na dół. Tak więc Erika raz jeszcze postawiła na swoim i w trzy tygodnie później Gabriela w szarym mundurku, ściskając w rękach swego misia, przekroczyła próg nowej szkoły. Pozostawiając ją tam, czuł się tak, jakby pozostawiał część siebie, i upłynęło sporo czasu, zanim przyzwyczał się do powrotów do pustego domu.

Od tej pory model życia całkowicie się zmienił. Erika, zwolniona z odpowiedzialności za Gabrielę, nieustannie znajdowała preteksty, by nie wracać do Londynu i pozostać na wsi. Szkoliła nowego konia, przygotowywała się do kolejnych zawodów, organizowała konkurs jeździecki. Po pewnym czasie Alek miał wrażenie, że nigdy nie są razem. Czasem, kiedy w Londynie odbywało się jakieś przyjęcie lub musiała pójść do fryzjera czy kupić sobie nowe stroje, przyjeżdżała do miasta w środku tygodnia, a on po powrocie do domu w Islington znajdował w nim mnóstwo świeżych, przywiezionych przez nią z Deepbrook kwiatów i czuł zapach jej perfum. Widział jej przerzucone przez poręcz schodów futro i słyszał, jak rozmawia przez telefon z jakąś przyjaciółką, najprawdopodobniej z Daphne.

- Przyjechałam tylko na parę dni. Czy wybierasz się dziś wieczorem do Ramseyów? W takim razie spotkajmy się jutro na lunchu. W Caprice? Zgoda. Około pierwszej. Zarezerwuję stół.

Pani Abney zgodziła się zajmować Alekiem podczas nieobecności Eriki. Z trudem wchodziła po schodach i przygotowywała dla niego w piekarniku zapiekankę z mięsa i ziemniaków albo gulasz. Wieczory spędzał samotnie ze szklanką whisky w rękę, oglądając telewizję lub czytając gazetę.

Przez wzgląd na Gabriellę należało jednak stwarzać pozory, że małżeństwo jest udane i trwałe. Zdawał sobie sprawę, że być może udaje tylko przed sobą samym, ale kiedy był w Londynie - w tym okresie obowiązki zmuszały go do jeszcze częstszych pobytów za granicą - sumiennie dojeżdżał do Deepbrook w każdy piątek wieczorem.

Ale i tu sprawy nie wyglądały już tak samo, ponieważ Erika zaczęła zapełniać dom zaproszonymi na weekend gośćmi. Wyglądało na to, że organizuje pewnego rodzaju obronę przed Alekiem, że nie ma ochoty spędzić z nim sam na sam nawet kilku godzin. Gdy tylko wysiadał zmęczony ze swego samochodu, już witał nowych przybyszów, dźwigał walizki, nalewał drinki, otwierał wino. Dawniej lubił terapię, jaką było amatorskie ogrodnictwo: strzyżenie żywopłotu czy koszenie trawnika. Miał czas na drobne roboty, sadzenie kwiatów, przycinanie krzewów róż, przepiłowanie kilku kłoców drewna lub naprawienie spacznej bramy.

Ale teraz musiał zajmować się tak wieloma osobami, że nigdy nie miał czasu dla siebie, a był zbyt sumiennym i uprzejmym gospodarzem, by kiedykolwiek stracić cierpliwość wobec tabunów wymagających gości i powiedzieć im, żeby pojechali sobie do Point-to-Point; żeby znaleźli sobie własną drogę do National Trust Garden; żeby przywieźli ze sobą własne krzesła ogrodowe i sami nalewali sobie drinki.

\* \* \*

Pewnego piątkowego wieczora, na początku września, tego piekielnie upalnego lata 1976 roku, Alek wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i wyruszył w drogę do Deepbrook.

Kochał Londyn, który był jego domem i - podobnie jak Samuel Pepys - nigdy nie miał go dość. Ale tym razem perspektywa wyjazdu na wieś napawała go radością. Bezlitosny skwar, susza, kurz i brud stały się jego wrogami. Parki, zazwyczaj tak zielone, zupełnie zwiędły i wyschły. Zdeptana trawa była wypalona i brunatna, a tu i ówdzie wyrastały z niej ponure, nie znane dotąd chwasty. Powietrze było stęchłe i ciężkie. W bezwietrzne wieczory otwierano drzwi domów, a zachodzące słońce, pomarańczowe na tle zamglonego nieba, zapowiadało kolejny upalny dzień.

Jadąc do Deepbrook, świadomie wyrzucił z myśli problemy minionego tygodnia. Miał teraz tyle obowiązków, że nauczył się tego już dawno i stwierdził, iż dyscyplina była warta zachodu, ponieważ kiedy w poniedziałek rano wracał do biura, miał umysł jasny i wypoczęty, gotowy podsunąć mu jakieś rozwiązanie czy pomysł, które wcześniej nie przychodziły mu do głowy.

Podążając na południe przez rozgrzane słońcem przedmieścia, myślał o czekających go dwóch dniach. Ten weekend wcale go nie przerażał. Przeciwnie, cieszył się na niego. Wiedział, że tym razem nie zastanie w domu tłumu obcych ludzi. Zaledwie przed miesiącem wrócili z Glenshandra, a Erika zaprosiła na ten weekend tylko Ansteyów i Boulderstone'ów.

- Przyjemnie spędzimy czas - oznajmiła im - rozmawiając o Glenshandra i opowiadając sobie anegdoty o wędkowaniu.

Poza tym wiedział, że w domu zastanie Gabrielę. Miała już trzynaście lat. Tego lata Alek kupił jej małą wędkę na pstragi i spędziła szczęśliwe chwile z Jamie Ruddem, pomocnikiem wędkarskim, ucząc się posługiwać nową zabaw-

ką. Szkoła, do której Alek miał tak poważne zastrzeżenia, okazała się, ku jego zaskoczeniu, udanym pomysłem. Erika nie była głupia i zadała sobie sporo trudu, by znaleźć miejsce odpowiadające potrzebom córki, a Gabriela mniej więcej po semestrze przestała tęsknić za domem, zdołała się przyzwyczaić do nowych warunków i znalazła sobie przyjaciółki. Pobyt Boulderstone'ów i Ansteyów był czymś w rodzaju wizyty rodzinnej - przyjeżdżali bardzo często i potrafili sami o siebie zadbać. Alek postanowił, że może spędzi któreś popołudnie sam na sam z Gabriellą. Może pójdą popływać. Ten pomysł sprawił mu wielką przyjemność. Ruch na drodze zmalął. Kiedy dotarł do autostrady, mógł przyspieszyć i wrzucić wyższy bieg. Silny samochód wyrwał do przodu.

W New Forest panował taki sam upał jak w Londynie, ale był to upał wiejski. Deepbrook drzemało. Drzewo cedrowe rzucało na trawnik czarny cień, a kwitnące róże napępniały zapachem chłodne wieczorne powietrze. Rozpięte nad tarasem markizy osłaniały stojące na nim ogrodowe krzesła, a Erika, chcąc zachować w pokojach chłód, zaciągnęła wszystkie zasłony. Dom wyglądał dość ponuro, jakby jego okna były oczami niewidomego.

Zaparkował w pstrokatym cieniu młodej srebrnej brzozy, wysiadł, z rozkoszą rozprostował nogi i spocone, zdrętwiałe plecy. Usłyszał okrzyk Gabrieli: „Tatusiu!” i zobaczył, że biegnie po trawniku w jego stronę. Miała na sobie jedynie skąpe bikini i stare gumowe sandały, a jej włosy upięte były w koczek na czubku głowy. Z jakiegoś powodu uczesanie to sprawiało, że wyglądała bardzo dorosłe. W ręku trzymała bukiet żółtych kwiatów.

- Popatrz - powiedziała, wyciągając je w jego stronę. - Kaczeńce.

- Gdzie je znalazłaś?

- Nad strumykiem. Mama powiedziała, że potrzebuje trochę kwiatów na stół, a wszystko w ogrodzie schnie, bo nie wolno nam niczego podlewać. Oczywiście od czasu do

czasu oszukujemy i robimy to, ale nie ma w nim wiele do zerwania. Jak się miewasz? - Podeszła do niego, a on pochylił się i pocałował ją. - Czyż nie jest piekielnie gorąco? Czy naprawdę nie jest gorąco jak w piekle?

Przyznał, że rzeczywiście jest gorąco. Otworzył drzwi samochodu, wziął z tylnego siedzenia swoją walizkę i razem z Gabriellą ruszyli wolno po żwirze w stronę domu.

- Gdzie jest mama? - spytał, wchodząc za nią do kuchni.

- Chyba w stajni. - Napełniła wodą dzbanek i włożyła do niego kaczeńce. Alek otworzył lodówkę i nalał sobie szklankę świeżego soku pomarańczowego. - Prosiła mnie, żebym nakryła do stołu, bo sama nie będzie miała na to czasu. Reszta jeszcze nie przyjechała. To znaczy Boulderstone'owie i Ansteyowie. Chodź, zobacz stół i powiedz mi, czy uważasz, że jest w porządku. Mama jest bardzo wymagająca i na pewno powie, że o czymś zapomniałam.

W zaciemnionej, mrocznej jadalni unosił się mglisty zapach innych przyjęć, cygar, wina.

- Teraz jest już chłodniej, mama nie będzie miała nic przeciwko temu - powiedziała Gabriela, rozsuwając zasłony. Żółte promienie słońca wpadły przez okna, tworząc snopy światła i połyskując na wypolerowanych srebrach, kryształach i szkłe. Alek spojrział na stół i stwierdził, że wygląda wspaniale, co było zgodne z prawdą. Gabriela rozłożyła białe lniane podstawki pod półmiski i bladeżółte serwetki. Świece w ozdobnych, srebrnych lichtarzach również były żółte. - Dlatego właśnie przyszły mi do głowy kaczeńce. Chciałam, żeby pasowały do reszty... Pomyślałam, że będą ładnie wyglądać w srebrnym wazonie... Mama tak wspaniale układa kwiaty... - Spojrzała na ojca. - Coś nie tak?

- Nakryłaś na osiem osób - powiedział Alek, marszcząc brwi. - Sądziłem, że będzie nas tylko sześcioro.

- Ze mną siedmioro. Ja też będę na kolacji. I pewien mężczyzna, który nazywa się Strickland Whiteside.

- Strickland Whiteside? - Niemal rozbawiła go absurdalność tego nazwiska. - Kimże na miły Bóg jest... Strick-

land Whiteside? - Ale w momencie, gdy powtarzał to nazwisko, odbiło się ono znajomym echem gdzieś w zakamarkach jego pamięci. Już kiedyś je słyszał.

- Och, tatusiu, to nowy znajomy mamy, bardzo znany. Jest okropnie bogatym Amerykaninem z Wirginii i jeździ konno.

Pamięć powróciła. Alek strzelił palcami.

- No właśnie. Wiedziałem, że to nazwisko obięło mi się o uszy. W *The Field* ukazał się artykuł o nim i o jego koniach. Szczególnie o jednym z nich. Olbrzymiej bestii, tak wielkiej jak słoń.

- Zgadza się. Nazywa się White Samba.

- Co robi ten człowiek, kiedy nie jeździ konno?

- Nie robi nic innego. Nie chodzi do biura i nie zajmuje się podobnie nudnymi sprawami. Po prostu jeździ konno. Ma ogromny dom nad James River i wiele akrów ziemi - pokazał mi kilka fotografii. Wygrywa zawody w skokach przez przeszkody w całej Ameryce, a teraz przyjechał do Anglii, by przygotować się do tutejszych konkursów.

- Brzmi to imponująco.

- Wiesz, jacy są ci zaprzyjaźnieni z mamą koniarze - odparła Gabriela ze śmiechem. - Ale on w gruncie rzeczy jest całkiem miły... choć trochę zanedbany pewny siebie.

- Czy zostanie na noc?

- Och, nie, nie musi zostawać na noc, bo wynajął dom w Tickleigh.

- Gdzie mama go poznała? - spytał ciekawie.

- Chyba na pokazie koni w Alverton. Nie jestem całkiem pewna. Czy dałam odpowiednie kieliszki do wina? Zawsze myślę te do sherry z tymi do porto.

- Nie. To znaczy tak, wszystko jest w porządku. - Zaczął się uśmiechać. - Czy musimy mówić do niego per Strickland? Jeśli będę musiał tak się do niego zwracać, to nie jestem pewien, czy uda mi się zachować powagę.

- Wszyscy nazywają go Strick.

- To jeszcze gorzej.

- Och, on jest całkiem w porządku. I pomyśl tylko, jaka zadowolona będzie Daphne Boulderstone, robiąc do niego słodkie oczy. Nic nie sprawia jej większej przyjemności niż kokietowanie nowo poznanych mężczyzn. Dotąd miała pod ręką tylko tego starego nudziarza, George'a Ansteya.

- A co sądzisz o takim starym nudziarzu jak ja?

Gabriela objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego klatki piersiowej.

- Nigdy nie będziesz starym nudziarzem. Jesteś wspa-  
niały, cudowny, dobry. - Odsunęła się od niego. - Teraz mu-  
szę już iść i zrobić coś z kaczeńcami - oznajmiła tonem oso-  
by odpowiedzialnej i zapracowanej.

ifc % #

Alek brał właśnie letnią kąpiel, kiedy usłyszał, jak Eri-  
ka wchodzi na górę, a potem do ich sypialni. Gdy zawołał  
ją, zjawiła się w otwartych drzwiach łazienki. Stała z za-  
łożonymi rękami, opierając się plecami o ścianę. Była opa-  
lona i wyglądała na zmęczoną upałem. Jej ciemne włosy  
związane były z tyłu głowy bawełnianą chustką. Miała na  
sobie stare poplamione dżinsy, buty z cholewami i koszulę,  
która kiedyś należała do niego. Doszedł do wniosku, że wi-  
docznie tak ubierają się w tym sezonie koniarze.

- Cześć - powitał ją.

- Cześć. Wcześniej przyjechałeś. Nie spodziewałam się  
ciebie o tej porze.

- Chciałem się odświeżyć, zanim przyjedzie reszta towa-  
rzystwa.

- Jak w Londynie?

- Jak w piecu.

- Tu też jest gorąco. Brakuje nam wody.

- Słyszałem, że będziemy mieli na kolacji twojego nowe-  
go znajomego.

- Czy powiedziała ci o tym Gabriela? - spytała, patrząc  
mu z uśmiechem w oczy.

- Sprawia wrażenie interesującego człowieka.



- Nie wiem, czy wyda ci się szczególnie interesujący, ale uważałam, że będzie miło zaprosić go na ten wieczór, by poznał was wszystkich.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Może okaże się, że mamy wspólnych amerykańskich znajomych i będziemy mogli sobie o nich pogawędzić. Co będzie na kolację?

- Wędzony łosoś, a potem kuropatwy.

- Bardzo wytwornie. Białe wino czy czerwone?

- Chyba podamy jedno i drugie, co ty na to? Nie siedz tu zbyt długo, dobrze? Chciałabym się także wykapać, a jest za gorąco na pośpiech. - Odwróciła się i poszła z powrotem do sypialni. Usłyszał, jak powoli rozsuwa lustrzane drzwi swojej szafy. Wiedział, że zastanawia się, co ma na siebie włożyć. Pogrążony w myślach, wycisnął gąbkę i sięgnął po ręcznik.

\* \* \*

Goście i Erika siedzieli już przy stole, a Alek krążył wokół niego, nalewając wino. Okna jadalni były szeroko otwarte. Na zewnątrz wciąż było jasno i bardzo gorąco. Ogród, nie poruszany najłżejszym nawet podmuchem wiatru, drzemał w aromatycznym, wieczornym powietrzu. Błade płomienie stojących na stole świec odbijały się delikatnie w kryształach i srebrach. Złociste kaczeńce zdawały się jaśnieć własnym blaskiem.

Alek odstawił butelkę na kredens i zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

- ... Ty, oczywiście, łowiłeś ryby w tych nieujarzmionych, amerykańskich rzekach, więc pomyślisz zapewne, że było to okropne nudziarstwo, ale Glenshandra ma w sobie coś wyjątkowego. Uwielbiamy to miejsce... Czujemy się tam jak dzieci - perorowała Daphne, której głos dominował przy stole.

Strickland, Strick - Alek nie mógł się zdecydować, które z tych imion brzmi gorzej - zrobił skromną minę. - Prawdę mówiąc, nietęgi ze mnie rybak.

- Ależ oczywiście, jaka jestem głupia, przecież na pewno nie masz na to czasu.

- Dlaczego nie miałby mieć czasu? - spytał Tom.

- No cóż, kochanie, to jasne, że nie ma czasu, skoro przygotowuje się do jakichś zawodów hippicznych, które będzie śledził cały świat.

- Hippicznych - powtórzył George. - Daphne, nie przypuszczałem, że znasz takie trudne słowa.

Daphne nadała się, przypominając Alekowi młodą dziewczynę, którą już nie była.

- Ale to jest właściwe słowo, prawda?

- Oczywiście - potwierdził Strickland. - Najzupełniej właściwe.

- Och, dziękuję. To miło, że jesteś po mojej stronie. - Wzięła do ręki widelec i nabiła na niego jak na harpun cienki płatek różowego, wędzonego łososia.

Erika posadziła swych gości tak, jak zwykła to robić, kiedy do kolacji zasiadało osiem osób. Alek, jak zawsze, siedział u szczytu stołu, ale Erika przeniosła się, ustępując miejsca Stricklandowi Whiteside, jako honorowemu gościowi, więc obaj z Alekiem znaleźli się naprzeciw siebie. Mimo to nie widzieli się zbyt dobrze, ponieważ przeszkadzał im stojący pośrodku stołu wysoki, srebrny kandelabr. Kiedy Erika zajmowała swe zwykłe miejsce, Alek irytował się czasem, bo musiał przekrzywiać głowę, by coś do niej powiedzieć lub spojrzeć jej w oczy, ale tego wieczora uznał to za okoliczność sprzyjającą.

Chciał zjeść ze smakiem kolację, nie czując na sobie przez cały czas niepokojącego spojrzenia bladoniebieskich oczu Stricklanda Whiteside.

Daphne i Erika zajęły miejsca po obu stronach Stricklanda, a Marjorie Anstey i Gabriela - po obu stronach Aleka. Tom i George siedzieli naprzeciw siebie w środkowej części stołu.

Strickland Whiteside również wziął do ręki widelec.

- Czy pani jeździ konno? - spytał Marjorie.

- Och, na Boga, nie. Nigdy, nawet w czasach szkolnych nie siedziałam na koniu. Zawsze panicznie się ich bałam.

- Nawet nie wie, jak wygląda koński zad - oświadczył George.

- Ależ, George - upomniała go żona tonem najwyższej dezaprobaty, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku Gabrieli.

- Przepraszam, Gabrielo, zapomniałem o twojej obecności.

Dziewczynka wyglądała na speszoną, a Erika odchyliła głowę do tyłu, śmiejąc się z żartu George'a, a także z powodu jego zażenowania.

Obserwując ją, Alek doszedł do wniosku, że nie zmarnowała czasu, wybierając strój. Miała na sobie wschodni kaftan z bladoniebieskiego, tajlandzkiego jedwabiu, w uszach kolczyki, które podarował jej kiedyś na jakieś dawno zapomniane urodziny, a na szczupłych, opalonych nadgarstkach złote bransoletki. Tego wieczora wyglądała zadziwiająco młodo. Miała nadal piękną twarz, jędrny podbródek i włosy bez śladu siwizny. Doszedł do wniosku, że z nich wszystkich ona najmniej się postarzała.

Zastanawiał się, co myśli o nich Strickland. Jakie zrobili na nim wrażenie ci wystrojeni ludzie, zasiadający w odświętnym nastroju przy wytwornie nakrytym stole? Byli najstarszymi przyjaciółmi Aleka; znał ich od tak dawna, że ich wygląd przyjmował za rzecz całkowicie naturalną. Ale teraz przesuwiał wzrok po swych gościach, uważnie im się przyglądając oczami nieznanego, który siedział na miejscu Eriki. Daphne była jak zawsze drobna i szczupła, ale jej jasne włosy stały się teraz srebrzystobiałe. George Anstey siedział tęgi, czerwony na twarzy, w opiętej na brzuchu koszuli. Marjorie z nich wszystkich najbardziej bezboleśnie wchodziła w wiek średni, nie oglądając się na trudną przeszłość.

I Tom. Tom Boulderstone. Serce Aleka wypełniło uczucie sympatii do człowieka, który od tak wielu lat był jego najlepszym przyjacielem. Ale chodziło o ocenę obiektyw-

na, nie przefiltrowaną przez sentyment. Kogóż więc widział Alek? Czterdziestotrzyletniego, łysiejącego, bladego, inteligentnego mężczyznę w okularach, który wyglądał bardziej na duchownego niż na bankiera. Mężczyznę, którego posępną twarz rozjaśniał od czasu do czasu skrywany uśmiech. Mężczyznę, który potrafił bez przygotowania wygłosić tak dowcipną okazjonalną mowę, że cytowano ją w City przez najbliższe miesiące.

Daphne w końcu zabrakło słów i George Anstey, korzystając z chwilowej ciszy, pochylił się do przodu i spytał Stricklanda, co zdecydowało o jego przyjeździe do Anglii.

- No cóż - Amerykanin popatrzył na gości i uśmiechnął się skromnie - w Stanach zrobiłem chyba wszystko, co mogłem, i uważałem, że tu czeka mnie nowe wyzwanie.

- To wymagało zapewne trudnych zabiegów organizacyjnych - zauważyła Marjorie. Interesowały ją sprawy związane z zarządzaniem. Organizowała w swojej dzielnicy wydawanie posiłków dla ubogich. - Mam na myśli wynajęcie domu i transport koni... a jak poradziłeś sobie z masztalerzami?

- Ich również przywiozłem, a także kilku chłopców stajennych.

- Czy oni są czarni, czy biali? - spytała dociekliwie Daphne.

- I czarni, i biali - odparł Strickland z szerokim uśmiechem.

- A co z gospodynią? - nalegała Marjorie. - Nie powiesz chyba, że ją też przywiozłeś ze sobą?

- Owszem, przywiozłem. Wynajęcie Tickleigh Manor nie miałoby sensu, gdyby nie było tam kogoś, kto by o mnie dbał.

Marjorie z westchnieniem odchyliła się do tyłu.

- No cóż, sama nie wiem, ale to wszystko wydaje mi się istnym rajem. Ja mam tylko dochodzącą pomoc domową, która zjawia się dwa razy w tygodniu i nigdy nawet nie siedziała w samolocie.

- Powinnaś za to dziękować Bogu - wtrącił Tom. - Nasza poleciała na wakacje na Majorkę, wyszła za jakiegoś kelnera i więcej się nie pojawiła.

Wszyscy, z wyjątkiem Toma, wybuchnęli śmiechem. Alek zastanawiał się, co Tom sądzi o Stricklandzie Whiteside, ale jego blada, inteligentna twarz niczego nie zdradzała.

Amerikanin przybył, kiedy wszyscy, wykąpani, ogoleni przebrani i wyperfumowani, zebrali się już i czekając na niego, popijali swoje drinki. Gdy usłyszeli odgłos jego samochodu zatrzymującego się na podeździe, Erika wyszła naprzeciw gościowi i wprowadziła go do domu. Nie było żadnego powodu do przypuszczeń, że ich powitanie miało charakter szczególnie serdeczny, ale Erika chichotała nerwowo i wydawała się nienaturalnie podekscytowana. Przedstawiła Stricklanda Whiteside swemu mężowi i przyjaciołom. Amerikanin nie sprawiał wrażenia człowieka onieśmielonego spotkaniem z ludźmi, którzy bardzo dobrze się znali, a których nigdy przedtem nie widział. Przeciwnie, zachowywał się tak życzliwie i uprzejmie, jakby to on miał obowiązek zadbać, by poczuli się swobodnie.

Alek podejrzewał, że nieznajomy zadał sobie sporo trudu, dobierając części swojej garderoby. Miał na sobie dobrze skrojoną brązową gabardynową marynarkę z mosiężnymi guzikami, jasnoniebieską koszulkę polo, spodnie w brązowo-jasnoniebieską kratkę i białe buty. Na mocnym przegubie prawej ręki połyskiwał duży złoty zegarek, a na palcu lewej dłoni - wielki złoty sygnet. Był wysokim, szczupłym, dobrze zbudowanym, niewątpliwie niezwykle silnym mężczyzną. Trudno jednak było określić jego wiek, gdyż wyraziste rysy opalonej twarzy i wyblakłe źrenice oczu kontrastowały z chłopięcą grzywą gęstych jasnych włosów.

- Bardzo mi miło - powiedział gość, kiedy Alek powitał go i uściśnął jego dłoń, mając wrażenie, że wkłada rękę w żelazne kleszcze. - Erika tak wiele mi o panu opowiadała, że czuję się zaszczycony, mogąc w końcu pana poznać.

Strickland Whiteside zachowywał się czarująco. Ucałował Gabrielę, zwracając się do niej: „Moja mała przyjaciółko”, pozwolił podać sobie martini, a potem rozsiadł się na kanapie, zakładając nogę na nogę. Od razu zaczął wypytywać o Glenshandra, jakby wiedząc, że ten temat wciągnie wszystkich do rozmowy i pierwsze lody zostaną w ten sposób przełamane. Marjorie była tym mile ujęta, a Daphne nie mogła oderwać od niego oczu i przez pierwsze pięć minut nie odezwała się ani słowem. Potem odzyskała mowę i trajkotała niemal bez przerwy.

- Jak wygląda rezydencja w Tickleigh? Czy nie mieszkali tam kiedyś Gerrardowie?

- Mieszkają tam nadal - oznajmiła Erika. Jedli teraz kuropatwy, a Alek nalewał czerwone wino.

- Ale przecież nie mogą tam mieszkać, skoro mieszka tam Strick.

- Nie, wyjechali na parę miesięcy do Londynu.

- Czy zamierzali wyjechać, czy też Strickland ich wypędził?

- Wypędziłem ich - odparł Strickland.

- Zaproponował im pieniądze - wyjaśniła Erika swej przyjaciółce. - Wiesz, te staromodne papierki, które trzyma się w portfelu.

- Chcesz powiedzieć, że ich przekupił!...

- Och, Daphne...

Erika kpiła z Daphne, ale w jej rozbawieniu wyczuwało się nutkę irytacji. Alek zastanawiał się niekiedy, jakim sposobem przyjaźń między dwiema tak skrajnie różnymi kobietami przetrwała tak długo. Znały się od czasów szkolnych i niewątpliwie dzieliły wszystkie swoje tajemnice, ale w gruncie rzeczy nie miały ze sobą nic wspólnego. Być może to właśnie scementowało tę przyjaźń. Ich zainteresowania nigdy się nie pokrywały, więc bliskiemu związkowi nie zagrażało niszczycielskie uczucie zazdrości.

Daphne interesowała się jedynie mężczyznami. Tak została stworzona i nie ulegało wątpliwości, że taka pozosta-

nie, choćby dożyła dziewięćdziesiątki. Ożywiała się tylko wtedy, gdy w pobliżu przebywał jakiś mężczyzna, a jeśli nie kręcił się wokół niej żaden aktualny wielbiciel, gotów zapraszać ją na lunch lub telefonować do niej rano po wyjściu Toma do pracy, życie traciło dla niej sens i stawała się zgryźliwa i przygnębiona.

Tom wiedział o tym i tolerował to. Kiedyś, bardzo późnym wieczorem, rozmawiał o niej z Alekiem. - Zdaję sobie sprawę, że Daphne jest wariatką - powiedział - ale jest niezwykle słodką wariatką i nie chciałbym jej stracić.

Natomiast Erika... Erika właściwie nie interesowała się mężczyznami. Alek o tym wiedział. Przez ostatnie kilka lat żyli w mniejszej lub większej izolacji, ale Alek nie zadreślał się bynajmniej domysłami, że żona może go zdradzać; prawdę mówiąc, w ogóle nie brał takiej możliwości pod uwagę.

Zawsze była seksualnie bardzo chłodna, jeśli nie wręcz oziębła. Uczucia, których potrzebowały inne kobiety - namiętność, podniecenie, wyzwanie i miłość - najwyraźniej zastępowała jej obsesyjna miłość do koni. Czasami przypominała Alekowi małe dziewczynki z warkoczycami, należące do dziecięcego klubu jeździeckiego, a pochłonięte wyłącznie wywożeniem gnoju i czyszczeniem swoich wierzchowców. - To jest namiastka seksu - zapewnił Aleka pewien człowiek, z którym rozmawiał o tym zjawisku. - Kiedy skończą czternaście czy piętnaście lat, nie będą interesować się końmi, lecz mężczyznami. To jest powszechnie znany fakt. Naturalny rozwój.

Erika musiała być kiedyś właśnie takim dzieckiem. „Aż do przyjazdu do Hongkongu codziennie jeździłam konno”. Ale z jakiegoś powodu Erika nigdy nie dorosła. Być może przez pewien czas kochała Aleka, ale nigdy nie chciała mieć dziecka, nigdy nie miała naturalnego instynktu macierzyńskiego. Kiedy tylko było to możliwe, wróciła do swej pierwszej miłości. Dlatego właśnie nakłoniła go do kupna Deepbrook. Z tego też powodu Gabriela została wysłana do szkoły z internatem.

Teraz życie Eriki obracało się wokół koni. One stanowiły centrum jej zainteresowania, tylko one naprawdę ją obchodziły. A jej nowymi przyjaciółmi byli wyłącznie ludzie, którzy ich dosiadali.

\* \* \*

W dwa miesiące po tym weekendzie, w ponury, dżdżysty, listopadowy dzień, Alek wracał późnym popołudniem z miasta do Islington, spodziewając się, że jego dom będzie jak zwykle pusty. Nie zaplanował niczego na wieczór i był z tego zadowolony, ponieważ jego teczka pękała od papierów, których nie zdążył przejrzeć w biurze, a następnego dnia, podczas posiedzenia członków zarządu firmy, miał wygłosić dobrze przemyślaną mowę. Postanowił, że wcześniej zje kolację, a potem zapali w kominku, włoży okulary i zasiądzie do pracy.

Skręcił z City Road w Abigail Crescent. W oknach swego domu, który stał na drugim końcu uliczki, dostrzegł światło. Erika z jakiegoś powodu przyjechała do Londynu.

To go zaintrygowało. Była brzydka pogoda, a wiedział, że na ten tydzień nie zaplanowała żadnych spotkań towarzyskich. Może miała wyznaczoną wizytę u dentysty albo coroczne kontrolne badania u swojego lekarza na Harley Street?

Zaparkował samochód i siedział w nim przez chwilę, patrząc na oświetlony dom. Przywykł już do samotności, ale nigdy się z nią w gruncie rzeczy nie pogodził. Pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy przekroczyli próg tego domu, tuż po powrocie z Hongkongu, jeszcze zanim urodziła się Gabriela. Pamiętał, jak Erika ustawiała meble, wieszła zasłony, zmagająca się z plikami próbek dywanów, zawsze jednak znajdowała czas, by go radośnie powitać w drzwiach, kiedy wracał z pracy. Może trwało to niezbyt długo, ale tak właśnie było. Przez chwilę wyobraził sobie, że czas stanął w miejscu, że nic się nie zmieniło. Może tym razem Erika powita go, pocałuje i pójdzie do kuchni przy-



gotować mu coś do picia. Usiądą ze swymi drinkami i pogawędzą sobie trochę o tym, co robili w ciągu dnia, a potem on zamówi stół w jakiejś eleganckiej restauracji i zabierze ją na kolację...

Ponownie spojrzął w rozświetlone okna. Poczł się nagle znużony. Zamknął oczy i zakrył je dłonią, jakby chcąc zetrzeć z nich zmęczenie. Potem wziął z tylnego siedzenia swą wypchaną teczkę, wysiadł z samochodu, zamknął go i ruszył po mokrym od deszczu chodniku w stronę domu. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

W przedpokoju dostrzegł przewieszony przez oparcie krzesła płaszcz Eriki i jedwabny, elegancki szalik. Poczł zapach jej perfum. Zatrzasnął drzwi i postawił na podłodze teczkę.

- Erika!

Wszedł do salonu. Siedziała w fotelu, zwrócona twarzą w jego stronę. Czytała gazetę, ale teraz złożyła ją i upuściła na podłogę obok fotela. Miała na sobie żółty sweter, szarą wełnianą spódnice i wysokie brązowe skórzane buty. W świetle lampy jej włosy lśniły jak wypolerowany kasztan.

- Cześć - powiedziała.

- Zaskoczyłaś mnie. Nie wiedziałem, że masz przyjechać.

- Zamierzałam zatelefonować do twojego biura, ale wydało mi się to trochę bez sensu. Wiedziałam, że cię tu zastanę.

- Przez chwilę myślałem, że zapomniałem o jakimś przyjęciu. Ale nie zapomniałem, prawda?

- Nie. Nic takiego nie było w planie. Po prostu chciałam z tobą porozmawiać.

To było niezwykle.

- Czy masz ochotę na drinka? - spytał.

- Owszem. O ile ty też się napijesz.

- Co ci podać?

- Może whisky.

Alek poszedł do kuchni, nalał drinki, wrzucił kostki lodu i zaniósł dwie szklanki z powrotem do salonu.

Podał jedną z nich Erice.

- Obawiam się, że w lodówce nie ma zbyt dużo jedzenia, ale jeśli chcesz, możemy pójść na kolację do miasta...

- Nie zostanę na kolacji. - Alek uniósł brwi. - Nie zostanę również na noc - ciągnęła spokojnym głosem - więc nie musisz troszczyć się o dostarczanie mi rozrywek.

Alek sięgnął po krzesło, przesunął je na dywanik przed kominkiem i usiadł naprzeciwko Eriki.

- Więc po co przyjechałaś?

Erika wypiła łyk whisky, a potem delikatnie postawiła szklankę na marmurowym blacie stojącego obok niej stolika.

- Przyjechałam, aby ci powiedzieć, że odchodzę.

Alek milczał przez jakiś czas. Popatrzyła mu prosto w oczy; jej spojrzenie było przenikliwe, chłodne, nieubłagane.

- Dlaczego? - spytał po chwili łagodnym tonem.

- Nie chcę już dłużej z tobą żyć.

- Przecież i tak właściwie ze sobą nie żyjemy.

- Strickland Whiteside poprosił mnie, abym pojechała z nim do Ameryki.

Strickland Whiteside.

- Zamierzasz pojechać i zamieszkać z nim? - spytał, nie umiejąc ukryć zmieszanego z niedowierzaniem oburzenia.

- Czy to cię dziwi?

Przypomniał sobie, jak wchodzili razem do domu tamtego ciepłego, pachnącego, wrześnieowego wieczora. Przypomniał sobie, jak wyglądała; była nie tylko piękna, lecz emanowało z niej coś, czego nigdy przedtem nie dostrzegął.

- Czy jesteś w nim zakochana?

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek dokładnie wiedziała, co to znaczy być zakochaną. Ale czuję w stosunku do Stricka

coś, czego nigdy nie czułam w stosunku do nikogo innego. To nie jest tylko zauroczenie. Łączy nas podobieństwo zainteresowań i chęć wspólnego działania. Tak było od naszego pierwszego spotkania. Nie potrafię żyć z dala od niego.

- Nie potrafisz żyć z dala od Stricklanda Whiteside? - To nazwisko wciąż brzmiało dla niego absurdalnie. Całe zdanie brzmiało absurdalnie, jak kwestia z jakiejś niedorzecznej farsy. Erika wybuchnęła gniewem.

- Och, przestań powtarzać wszystko, co mówię. Nie potrafię wyrazić tego ani jaśniej, ani prościej. Powtarzanie wszystkiego, co mówię, nie zmieni sensu tego, co usiłuję ci powiedzieć.

- On jest od ciebie młodszy - stwierdził bezradnie.

Przez chwilę wydawała się zbita z tropu.

- Owszem, jest ode mnie młodszy, ale czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy jest żonaty?

- Nie. Nigdy nie był żonaty.

- Czy zamierza ożenić się z tobą?

- Owszem.

- Więc chcesz rozwodu?

- Tak. Bez względu na to, czy się zgodzisz na rozwód, czy nie, odchodzę od ciebie. Jadę z nim do Wirginii. Po prostu zamieszkać z nim. Już dawno przestałam przejmować się tym, co mówią ludzie. Konwenanse naprawdę nie mają już żadnego znaczenia.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Mam rezerwację na samolot do Nowego Jorku na przyszły tydzień.

- Czy Strickland leci z tobą?

- Nie. - Po raz pierwszy opuściła wzrok i sięgnęła po swoją szklankę. - On już wrócił do Stanów. Czeka na mnie w Wirginii.

- A co z tymi wszystkimi wielkimi wydarzeniami, w których miał wziąć udział?

- Zrezygnował z nich... wszystko odwołał.

- Ciekaw jestem, dlaczego to zrobił.
  - Uważał, że tak będzie lepiej - odparła Erika, podnosząc wzrok.
  - Chcesz powiedzieć, że po prostu stchórzył. Nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy i sam mi o tym powiedzieć.
  - To nieprawda.
  - Zostawił to tobie.
  - Lepiej, żebym zrobiła to sama. Nie pozwoliłam mu zostać. Zmusiłam go do wyjazdu. Nie chciałam, żeby doszło tu do kłótni, nieporozumień i wyciągania spraw, które lepiej przemilczeć.
  - Nie spodziewałaś się chyba, że będę zachwycony.
  - Odchodzę, Alek. I nie wrócę.
  - Porzucisz Deepbrook?
  - Tak.
- To zdziwiło go bardziej niż fakt, że porzuca jego.
- Zawsze sądziłem, że ten dom znaczy dla ciebie więcej niż cokolwiek innego.
  - Teraz już nie. Tak czy owak to jest twój dom.
  - A twoje konie?
  - Zabieram je ze sobą. Strickland załatwił ich transport do Wirginii.

Jak zwykle, kiedy była absolutnie zdecydowana postawić na swoim, zastosowała typową dla siebie metodę, przedstawiając mu szczegółowo opracowany plan. Strickland, Deepbrook, konie, wszystko zostało starannie załatwione, ale żadna z tych spraw nie miała dla niego najmniejszego znaczenia. Liczyła się tylko jedna istotna kwestia. Erice nigdy nie brakowało odwagi cywilnej. Czekał w milczeniu na jej dalsze słowa, ale ona po prostu siedziała, patrząc na niego wyzywająco przenikliwym spojrzeniem swych szarych oczu, i Alek zdał sobie sprawę, że to ona czeka, aż on odda pierwszy strzał w bitwie o jedyną rzecz, która odgrywała naprawdę ważną rolę.

- A Gabriela?
- Zabieram ją ze sobą - oznajmiła.

Bitwa się rozpoczęła.

- O nie, nie zabierzesz jej!

- Nie będziemy teraz wszczynać o to kłótni. Musisz mnie wysłuchać. Jestem jej matką i mam takie samo prawo jak ty - nawet większe - układać plany dla mojej córki. Jadę do Ameryki. Zamierzam tam zostać i nic nie zmieni mojej decyzji. Jeśli zabiorę Gabrielę ze sobą, będzie mogła zamieszkać razem z nami. Strickland ma piękny dom, wokół którego jest dużo przestrzeni i ziemi. Są tam korty tenisowe i basen. To wspaniała okazja dla dziewczynki w wieku Gabrieli. Młodzi ludzie tak dobrze się bawią w Ameryce, to dla nich wymarzone życie. Daj jej tę szansę. Pozwól jej z niej skorzystać.

- A co ze szkołą? - spytał cicho.

- Zabiorę ją stamtąd. Może uczyć się w Ameryce. Słyszałam o świetnej szkole w Maryland...

- Nie pozwolę, by wyjechała. Nie chcę jej stracić.

- Och, Alek, nie stracisz jej. Będziemy się nią dzielić. Możesz ją widywać, kiedy tylko zechcesz. Może przylatywać tu i mieszkać u ciebie. Możesz zabierać ją do Glen-shandra razem z naszymi przyjaciółmi. Nic się aż tak bardzo nie zmieni.

- Nie pozwolę, by wyjechała do Ameryki.

- Czy nie widzisz, że nie masz wyboru? Nawet jeśli dojdzie do procesu i stoczysz ze mną zażartą walkę, stawiam dziesięć do jednego, że prawo do opieki nad Gabrielą zostanie przyznane mnie, bo sędziowie odbierają dziecko matce tylko w najbardziej skrajnych przypadkach. Zanim rozważyliby możliwość oddania jej tobie, musieliby mnie uznać za narkomankę albo osobę całkowicie niezdolną do wychowywania własnej córki. I pomyśl, jak tego rodzaju odrażająca szarpanina wpłynęłaby na Gabrielę. I tak jest bardzo wrażliwa, więc nie powinniśmy narażać jej na przeżycie takiego horroru.

- Czy jest to gorszy horror niż rozwód jej rodziców? Czy jest to gorszy horror niż życie w obcym kraju, w obcym do-

mu, pod jednym dachem z człowiekiem, którego prawie nie zna?

- A jaka jest inna możliwość? Musimy podjąć decyzję teraz, Alek. Nie ma mowy o odkładaniu jej na później. Dlatego właśnie przyjechałam do ciebie dziś wieczorem. Ona musi wiedzieć, co ją czeka.

- Nie pozwolę jej jechać.

- W porządku, więc czego chcesz? Zatrzymać ją dla siebie? Nie możesz zapewnić jej opieki. Nie masz dla niej czasu. Nawet jeśli zostanie tutaj, w szkole z internatem, są jeszcze ferie. Co się z nią stanie, kiedy ty będziesz przez cały dzień w pracy? I nie mów mi, że mógłbyś zostawiać ją z panią Abney. Gabriela jest inteligentnym dzieckiem, a nikt nie powie, że pani Abney jest interesującym towarzystwem. Rozmawia tylko na dwa tematy: jeden to zeszłotygodniowy odcinek „Crossroads”, a drugi - to ten jej przeklęty kanarek. A co zrobisz z Gabriela, kiedy będziesz musiał wyjechać służbowo do Tokio czy Hongkongu? Przecież nie możesz jej zabierać ze sobą.

- Nie mogę po prostu oddać jej tobie - oznajmił. - Jak przedmiotu, który nie jest mi już potrzebny.

- Ale czy nie rozumiesz, że jeśli zrobimy tak, jak proponuję, to wcale mi jej nie oddasz. Więc dobrze, rozchodzimy się i dla dziecka jest to okropne przeżycie, ale bywało tak już wcześniej i zdarzy się znowu, a my musimy zdecydować, co najmniej ją zrani. Uważam swój plan za jedyne wyjście z sytuacji. Wyjedzie ze mną w przyszłym tygodniu. W ten sposób cięcie będzie szybkie, zerwanie wyraźne i zanim zdąży się obejrzeć, wpadnie w wir całkiem nowego życia. Pójdzie do nowej szkoły, pozna nowych przyjaciół. - Uśmiechnęła się, a on po raz pierwszy od tak dawna dostrzegł w niej jakiś ślad dawnej Eriki, czarującej, miłej i posiadającej dar przekonywania. - Nie walczmy o nią, Alek. Wiem, co czujesz w stosunku do Gabrieli, ale ona jest również moim dzieckiem, i to właśnie ja ją wychowywałam. Uważam, że nie robiłam tego źle i że zasługuję na

odrobinę zaufania. Fakt, że ciebie tam nie będzie, nie oznacza przecież, że przestanę się nią opiekować. A Strick jest do niej bardzo przywiązany. Przy nas będzie miała wszystko, co najlepsze. Wygodne życie.

- Sądziłem, że właśnie ja jej to zapewniam - powiedział.

- Ależ, oczywiście, że tak. To prawda. I nadal możesz jej to zapewniać. Może przyjeżdżać i widywać się z tobą, kiedy tylko zechcesz. Zgodziliśmy się na to. Będziesz miał ją tylko dla siebie. Polubisz to. Zgódź się na takie rozwiązanie. Dla dobra nas wszystkich. Pozwól jej wyjechać razem z mną. To najlepsze, co możesz dla niej zrobić. Wiem o tym. Poświęć się... dla dobra Gabrieli.

\* \* \*

- Wiem, że matka poinformowała cię o tym, co się wydarzyło, co ma się wydarzyć - oznajmił Alek. - Ale chciałem porozmawiać z tobą sam na sam, więc jeśli coś cię niepokoi...

Już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę z ich absurdalności. Świat Gabrieli rozpadał się na kawałki, a on mówił tak, jakby to dotyczyło jakichś drobnych rodzinnych kłopotów, które może rozwiązać w kilka sekund.

- Chcę powiedzieć, że... to stało się dość nieoczekiwanie. Nie było czasu, aby cokolwiek omówić, a ty za tydzień odlatujesz. Nie chciałem, byś wyjeżdżała z myślą, że nie... próbowałem się z tobą zobaczyć. Chciałbym mieć więcej czasu, by omówić tę sprawę... z tobą. Czy jesteś urażona, że nie spytaliśmy cię o zdanie?

- To nie zrobiłoby większej różnicy - odparła Gabriela, wzruszając ramionami.

- Czy byłaś zaskoczona, kiedy twoja matka powiedziała ci o swoim związku ze Stricklandem?

- Wiedziałam, że go lubi. Ale ona lubi wielu koniarzy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zechce wyjechać i zamieszkać z nim w Ameryce.

- Zamierza wyjść za niego za męż.
- Wiem.

Spacerowali po pustym boisku sportowym. Dzień był okropny; angielska zima w najgorszym wydaniu. Chłód, wilgoć i mgła. Żaden podmuch wiatru nie poruszał nagimi drzewami, a ciszę tego mglistego dnia zakłócało tylko krakanie gawronów. W oddali majaczyły budynki szkoły. Dawniej była to wspaniała wiejska rezydencja z przybudówkami i stajniami, ale przerobiono je na klasy szkolne i sale gimnastyczne. Gabrieli pozwolono opuścić lekcję biologii, by mogła porozmawiać z ojcem. Alek wiedział, że niebawem zadźwięczy dzwonek i boisko zapełni się dziewczynkami w strojach do hokeja lub koszykówki, opatulonymi w swetry i pasiaste szaliki. Będą biegać, pokrzykiwać do siebie i narzekać na dotkliwy chłód. Teraz w półmroku jaśniało tylko kilka oświetlonych okien; poza tym cała okolica wydawała się opustoszała i bez życia.

- Wyjazd do Ameryki może być przygodą.
- Tak właśnie twierdzi mama.
- Przynajmniej nie będziesz musiała biegać po boisku w taką pogodę jak dzisiaj. Co innego, gdy robi się to w słońcu. Możesz nawet zostać mistrzynią tenisa.

Gabriela, opuściwszy głowę i wsunawszy dłoń głęboko do kieszeni płaszcza, kopnęła jakiś patyk. Alek był zdeprymowany i zdezorientowany tym brakiem reakcji, tak przeciwnym jej naturze. Zawsze wierzył, że potrafi z nią rozmawiać. Teraz nie był już tego pewien.

- Za nic w świecie nie chciałem, aby do tego doszło - oznajmił. - Musisz to zrozumieć. Ale nic nie mogłem zrobić, by zatrzymać twoją matkę przy sobie. Wiesz, jaka ona jest, kiedy już się na coś zdecyduje. Nawet dzikie konie nie bytyby w stanie zmienić obranego przez nią kursu.

- Nigdy, przenigdy nie przeszło mi nawet przez myśl, że ty i mama rozstaniecie się - powiedziała.

- To niestety przytrafia się wielu dzieciom. Z pewnością masz sporo przyjaciół, których rodzice są rozwiedzeni.



- Ale to dotyczy *mnie*.

Raz jeszcze zabrakło mu słów. W milczeniu szli dalej, okrążyli narożnik boiska, mijając maszt, na którym wisiała przemoknięta, czerwona flaga.

- Wiesz, że cokolwiek się stanie, nadal jesteś moją córką - powiedział. - Będę płacił za twoją szkołę i dawał ci kieszonkowe. Nie będziesz musiała o nic prosić Stricklanda. Nigdy nie będziesz musiała być od niego zależna. Ty... lubisz go, prawda? Nie czujesz do niego niechęci?

- On jest w porządku.

- Twoja matka mówi, że on traktuje cię bardzo serdecznie.

- Jest taki młody. Znacznie młodszy niż mama.

Alek wziął głęboki oddech.

- Sądzę - zaczął ostrożnie - że jeśli się ktoś w kimś zakocha, jego wiek nie ma żadnego znaczenia.

Gabriela nagle przystanęła. Alek też się zatrzymał i tak stali bezradnie naprzeciw siebie. Podczas tego popołudniowego spotkania Gabriela ani razu nie spojrzała mu w oczy, a teraz patrzyła gniewnie przed siebie, utkwivszy wzrok w guzikach jego płaszcza.

- Czy nie mogłabym zostać z tobą? - spytała.

Tak bardzo chciał wziąć córkę w ramiona, przełamać jej powściągliwość i przekonać ją, że ta okropna rozłąka jest równie przykra dla niego, jak i dla niej. Ale w drodze do szkoły przyrzekł sobie, że tego nie zrobi. „Nie wolno ci jej denerwować - prosiła go Erika. - Jedź do niej i porozmawiaj z nią o wszystkim, ale nie denerwuj jej. Pogodziła się już z sytuacją. Jeśli dasz się ponieść uczuciom, znajdziemy się w punkcie wyjścia i doprowadzisz do tego, że Gabriela się załamie”.

- Niczego bardziej nie pragnę - powiedział, próbując się uśmiechnąć. - Ale to by się nie udało. Nie byłbym w stanie o ciebie zadbać. Mam zbyt wiele obowiązków i spędzam dużo czasu poza domem. Potrzebna ci matka. Na razie powinnaś być z nią. Tak będzie lepiej.

Zacisnęła usta, jakby zbierając się na odwagę, która pozwoli jej przyjąć to, co nieuniknione. Odwróciła się od niego i znów zaczęli spacerować.

- Będiesz mnie odwiedzać - powiedział Alek. - Następnego lata znów pojedziemy do Glenshandra. Może tym razem dopisze ci szczęście i złowisz łososia.

- Co stanie się z Deepbrook?

- Chyba je sprzedam. Nie ma większego sensu zatrzymać tego domu, skoro nie będzie tam już twojej matki.

- A co z tobą?

- Zostanę w Islington.

- A mój pokój w Londynie...

- To nadal jest twój pokój. I zawsze będzie...

- Nie o to chodzi. Jest tam kilka książek, które chciała-bym ze sobą zabrać. Ja... spisałam ich tytuły. - Wyjęła rękę z kieszeni i podała mu wydartą z zeszytu kartkę liniowanego papieru. Alek rozłożył ją i przeczytał: „Tajemniczy ogród”, „Historia świata”, „Przeminęło z wiatrem”.

Znajdowały się na niej jeszcze inne tytuły, ale jakoś nie miał ochoty czytać dalej.

- Oczywiście - mruknął, wsuwając kartkę głęboko do kieszeni swego płaszcza. - Czy... czy coś jeszcze?

- Nie. Tylko te książki.

- Nie wiem, czy twoja matka powiedziała ci o tym, ale zamierzam odwiedzić was na lotnisko. Wezmę więc książki, o które prosiłaś, ze sobą. Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, daj mi znać.

- Nie, to wszystko - odparła, potrząsając głową.

Mgła przeszła teraz w deszcz. Krople wody perliły się na włosach Gabrieli i na szorstkim materiale jej granatowego płaszcza. Okrążyli boisko i ruszyli z powrotem w kierunku budynków szkoły. Zeszli z trawnika na żwir, który chrzęścił pod ich stopami. Wydawało się, że nie mają już o czym rozmawiać. U podnóża schodów prowadzących do okazałych drzwi frontowych Gabriela przystanęła i raz jeszcze odwróciła się do niego.

- Muszę już iść i przygotować się do gimnastyki. Lepiej nie wchodzić ze mną - oznajmiła.

- Pożegnaj się z tobą teraz. Nie chcę pożegnać na lotnisku.

- A więc, do widzenia.

Nadal trzymała ręce w kieszeniach swego płaszcza. Alek delikatnie ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie.

- Gabriela...

- Do widzenia.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Po raz pierwszy tego popołudnia spojrzała mu prosto w twarz. Przez chwilę patrzył w jej oczy; nie dostrzegł w nich ani łez, ani żalu. Potem odwróciła się, weszła po schodach, minęła pretensjonalną kolumnadę i zniknęła w drzwiach szkoły.

Żona i córka Aleka odleciały do Nowego Jorku w następny czwartek wieczorem. Zgodnie z obietnicą odwiózł je na lotnisko, a kiedy zapowiedziano ich lot, pożegnał się i poszedł do sali widokowej. Był dżdżysty, ponury, pochmurny wieczór, a on stał, patrząc przez ociekającą deszczem szybę i czekając na odlot ich samolotu. Punktualnie co do minuty wielki odrzutowiec z ogłuszającym hukiem wtoczył się na pas startowy, a jego światła zamigotały w ciemności. Oderwał się od ziemi i po kilku sekundach zniknął w chmurach. Alek czekał, aż szum silników ucichnie w oddali. Dopiero wtedy odwrócił się i poszedł w kierunku ruchomych schodów. Wszędzie kręcili się ludzie, ale on ich nie zauważał, oni zresztą także nie zwracali na niego uwagi. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jak czuje się człowiek przegrany.

Wrócił do swego pustego domu. Złe wiadomości rozchodzą się z prędkością światła i wszyscy już wiedzieli, że jego małżeństwo jest skończone, że Erika porzuciła go dla jakiegoś bogatego Amerykanina i zabrała Gabrielę ze sobą. To było w pewnym sensie wygodne, ponieważ nie musiał

nikomu o tym opowiadać. Mimo to stronił od kontaktów towarzyskich i współczujących mu ludzi, więc choć Tom Boulderstone zaprosił go tego wieczora na kolację do Campden Hill, Alek odmówił, a Tom to zrozumiał.

Przywykł już do samotności, ale teraz ta samotność nabrała nowego wymiaru. Wszedł na górę. Sypialnia, opróżniona z rzeczy Eriki, wydawała się pusta i obca. Wziął prysznic, przebrał się, zszedł ponownie na dół, nalał sobie drinka i zaniósł go do salonu. Bez pięknych drobiazgów Eriki, bez kwiatów pokój robił wrażenie opuszczonego. Alek zaciągnął zasłony i obiecał sobie, że nazajutrz wstąpi do kwiaciarni i kupi jakąś doniczkową roślinę.

Dochodziło wpół do dziewiątej, ale nie chciało mu się jeść. Był zbyt wyczerpany, wypalony wewnątrz, by odczuwać głód. Postanowił, że później sprawdzi, co pani Abney przygotowała mu na kolację. Później. Włączył telewizor, opadł na fotel z drinkiem w rękę i opuścił głowę na piersi.

Wpatrywał się w migocący ekran. Po paru chwilach zdał sobie sprawę, że ogląda jakiś program dokumentalny dotyczący problemów drobnych gospodarstw rolnych. Jako przykład ilustrujący to zagadnienie autorzy wybrali farmę w Devon. Na jednym z ujęć zobaczył stado owiec pasących się na skalistych zboczach Dartmoor... potem kamerzysta przesunął obiektyw w dół, ukazując jakąś zagrodę... porośnięty bujną zielenią płaskowyż...

Nie było to Chagwell, ale jakaś bardzo podobna okolica. Film został nakręcony w lecie. Alek ujrzał błękitne niebo, białe wysoko płynące chmury i ich cienie ślizgające się po stoku wzgórza, na którym połyskiwały promienie słońca odbite od spienionych wód pełnej pstrągów rzeki.

Chagwell.

„Podróż w przeszłość to wyprawa do innego kraju”. Dawno temu Alek urodził się i wychował w tej krainie; jego korzenie tkwiły głęboko w urodzajnej, rdzawej ziemi Devon. Ale w ciągu lat własna ambicja i odniesiony sukces

oraz wymagania rodziny zmieniły go i niemal zupełnie stracił kontakt z tym miejscem.

Chagwell. Jego ojciec już nie żył, a na farmie gospodarował teraz Brian ze swą żoną, Jenny. W ciągu siedmiu lat Jenny urodziła pięcioro jasnowłosych, piegowatych dzieci i stary dom zapełniały ukochane zwierzęta, kołyski, rowery i zabawki.

Erika nie miała czasu dla Briana i Jenny. Nie byli ludźmi jej pokroju. Alek zabrał ją do Chagwell tylko dwa razy od dnia ślubu, ale obie wizyty były tak nieudane i sprawiły wszystkim zainteresowanym tak mało przyjemności, że na mocy milczącego porozumienia postanowili ich nie kontynuować. Kontakty ograniczały się do wymiany kartek świątecznych i okazjonalnych listów. Alek nie widział Briana prawie pięć lat.

Pięć lat. To zbyt długo. Złe wiadomości rozchodzą się z prędkością światła, ale nie mogły dotrzeć jeszcze do Chagwell. Alek musiał poinformować Briana o rozwodzie. Postanowił napisać do niego zaraz następnego dnia. Nie chciał, by Brian dowiedział się o rozpadzie małżeństwa swego brata od jakiejś postronnej osoby.

Mógł też do niego zatelefonować...

Stojący obok niego telefon zaczął dzwonić. Alek wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Alek?

- Tak.

- Mówi Brian.

Brian. Alek przez chwilę zastanawiał się, czy nie postradał zmysłów. Bezwiednie pochylił się do przodu i wyłączył telewizor.

- Brian?

- A niby kto? - Jego głos brzmiał, jak zwykle, pogodnie, serdecznie i czysto jak dzwon. Bez względu na to, jaki był powód jego telefonu, z pewnością nie chodziło o przekazanie złych wiadomości.

- Skąd dzwoniisz?
- Z Chagwell, oczywiście, a niby skąd?

Alek wyobraził sobie Briana siedzącego przy zniszczonym biurku z żaluzjowym zamknięciem w starym gabinecie w Chagwell, w zakurzonym, wypełnionym rzędami książek pokoju, który zawsze służył za kancelarię rządcy. Widział stopy urzędowych pism i pomiętych akt oraz dumnie wyeksponowane fotografie nagrodzonych krów rasy Guernsey.

- Wydajesz się zdziwiony - powiedział Brian.
- Minęło pięć lat.
- Wiem. O wiele za długo. Ale pomyślałem, że chciałbyś usłyszeć dość zaskakującą wiadomość dotyczącą rodziny. Stryj Gerald się żeni.

Gerald. Gerald Haverstock z Tremeneere. Admirał G.J. Haverstock, uhonorowany wieloma najwyższymi odznaczeniami Brytyjskiego Imperium, niegdyś znany jako najbarziej atrakcyjny kawaler w Królewskiej Marynarce.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?
- Dziś rano. Zadzwonił, by nam o tym powiedzieć. Wydał się wniebowzięty. Chce, żebyśmy wszyscy przyjechali na ślub.

- Kiedy ma się on odbyć?
  - W następny weekend. W Hampshire.
- A więc Gerald postanowił się w końcu ożenić.
- Musi mieć już z sześćdziesiąt lat.
  - No cóż, wiesz, jak to się mówi: wino im starsze, tym lepsze.

- Kim jest panna młoda?
- Nazywa się Eve Ashby. Wdowa po jego dawnym kole-dze z Marynarki. Wszystko jest tak, jak trzeba.

Wiadomość była naprawdę zaskakująca. Gerald, zawo-dowy marynarz, zatwardziały kawaler, do którego wzdycha-ły niezliczone rzesze usychających z miłości panien. Ge-rald, u którego Brian i Alek spędzali kiedyś wspaniałe letnie wakacje, jako jedyni młodzi ludzie w domu pełnym osób dorosłych. Szaleli po kornwalijskich plażach, grali

w krykieta na trawniku przed domem i byli traktowani jak pełnoletni mężczyźni. Pozwalano im uczestniczyć w kolacjach, pić wino i samodzielnie pływać łódką. Stryj stał się ich bohaterem i śledzili jego błyskotliwą karierę z prawdziwą dumą.

Gerald występował w roli drużby na tak wielu ślubach, że trudno było wyobrazić go sobie w charakterze pana młodego.

- Czy wybieracie się na ślub? - spytał Alek.

- Tak, jedziemy wszyscy. Razem z dziećmi. Gerald chce widzieć całą naszą gromadkę. Was również. To nie jest tak bardzo daleko od Deepbrook. Możecie przyjechać samochodem po południu. Nie przypuszczam, żeby Erika miała szczególną ochotę uczestniczyć w tym wydarzeniu, ale może ty i Gabriela?...

Przerwał, czekając na jego reakcję. Alekowi nagle zaschło w ustach. Ponownie ujrzał transatlantycki odrzutowiec, unoszący się w powietrze, a potem znikający w ciemności nocy. Odleciała. Gabriela odleciała.

- Czy wszystko u ciebie w porządku, staruszkule? - odezwał się Brian po chwili, zupełnie zmienionym głosem.

- Dlaczego pytasz?

- No cóż, mówiąc szczerze, sporo o tobie myślałem w ciągu ostatnich kilku dni... podejrzewałem intuicyjnie, że masz jakieś kłopoty. W gruncie rzeczy chciałem do ciebie zatelefonować. Odczuwałem potrzebę porozmawiania z tobą. Wiadomość o ślubie Geralda była po prostu dobrym pretekstem, by złapać za słuchawkę.

„Odczuwałem potrzebę porozmawiania z tobą”.

Jako chłopcy byli ze sobą bardzo zżyci. Odległość, minione lata, ich nie pasujące do siebie żony oraz brak kontaktu nie zniszczyły tego serdecznego związku. Zawsze łączyły ich silne, niewidzialne więzy krwi i miejsce urodzenia. Może ten niespodziewany telefon, bez względu na jego powód, był czymś w rodzaju koła ratunkowego. Alek postanowił się go mocno uchwycić.

- Masz rację, wszystko układa się fatalnie - oznajmił i opowiedział bratu całą historię. Nie trwało to zbyt długo.

- Rozumiem - stwierdził lakonicznie Brian, kiedy Alek skończył swą opowieść.

- Zamierzałem jutro do ciebie napisać i poinformować cię o tym. Albo zadzwonić... Przepraszam, że nie zawiadomiłem cię o tym wcześniej.

- Nic nie szkodzi, staruszk. Posłuchaj. W przyszłym tygodniu przyjeżdżam do Londynu na wystawę tuczników w Smithfield. Czy chciałbyś się ze mną spotkać?

Żadnych komentarzy, żadnego roztrząsania przeszłości, żadnych zbędnych wyrazów współczucia.

- Z przyjemnością - odparł Alek. - Przyjdź do mojego klubu, to postawię ci lunch.

Ustalili dzień i godzinę spotkania.

- A co mam powiedzieć Geraldowi? - spytał Brian.

- Powiedz mu, że będę na jego ślubie. Nie zrezygnowałbym z takiej okazji za żadne skarby świata.

Brian wyłączył się. Alek powoli odłożył słuchawkę. Podróż w przeszłość to wyprawa do innego kraju.

Ujrzał oczami wyobraźni nie tylko Chagwell, lecz również Tremeneheere, które kojarzyło mu się z Geraldem. Stary, zbudowany z kamienia dom w odległej części Kornwalii, gdzie rosły palmy, kamelie i werbeny, a wonne krzewy białego jaśminu porastały boczne ściany szklarni w otoczonym murem ogrodzie.

Chagwell i Tremeneheere. Tam tkwiły jego korzenie i stamtąd wywodziła się jego tożsamość. Jest Alekiem Haverstock i musi dać sobie radę. To nie jest jeszcze koniec świata. Gabriela odjechała. Rozstanie z nią było dla niego okropnym przeżyciem, ale miał już najgorsze za sobą. Sięgnął dna, a teraz mógł jedynie odbić się od niego i wrócić na powierzchnię.

Wstał i z pustą szklanką w ręku poszedł do kuchni, by zrobić sobie coś do jedzenia.



# *Islington*

Kiedy Laura dotarła w końcu do domu, była już piąta. Wiatr ucichł i Abigail Crescent drzemała leniwie w złocistych promieniach późnego popołudniowego słońca. Choć raz ulica była niemal pusta. Sąsiedzi Laury najprawdopodobniej siedzieli w swych niewielkich ogródkach lub zabrali dzieci do pobliskich parków, by nacieszyć się trawą i cieniem. Chodnikiem szła tylko jakaś staruszka, popychając wózek z zakupami i prowadząc na smyczy wiekowego kundla. Kiedy Laura zatrzymała się pod swym domem, nawet oni - jak króliki w norze - zniknęli w drzwiach jakiegoś mieszkania w suterenie.

Laura wysiadła z samochodu, zabierając swe codzienne zakupy, torebkę oraz psa, weszła po schodach do drzwi frontowych swojego domu. Za każdym razem, kiedy wyjmowała klucz i przekręcała go w zamku, musiała przypominać sobie, że to jest jej własny dom. Choć mieszkała w nim od dziewięciu miesięcy, wciąż nie czuła się tu jak u siebie. Nie przywykła jeszcze do panującego w nim nastroju. To był dom Aleka, kiedyś był domem Eriki, i Laura zawsze wchodziła do niego niepewnie, nie mogąc stłumić w sobie uczucia, że przekracza próg cudzej własności.

Teraz panowała w nim cisza rozgrzana i gęsta jak mgła. Z mieszczącego się na dole mieszkania pani Abney nie dochodził żaden odgłos. Być może gdzieś wyszła albo nadal spała. Z kuchni dobiegało mruczenie lodówki, potem tykanie zegara.

Poprzedniego dnia Laura kupiła róże i włożyła je do wazonu.

Ich woń unosiła się w powietrzu.

„Wróciłam do domu. To jest mój dom”.

Nie był on wielki. Poza suteroną pani Abney miał trzy kondygnacje - na każdym poziomie znajdowały się po dwa pokoje, ale żaden z nich nie był szczególnie przestronny. Parter obejmował wąski przedpokój, klatkę schodową, salon i kuchnię, która służyła również jako jadalnia. Wyżej mieściła się sypialnia państwa domu, łazienka i garderoba Aleka, będąca równocześnie jego gabinetem. Na poddaszu z mansardowymi oknami i skośnymi sufitami znajdował się tak zwany pokój gościnny, zastawiony zazwyczaj walizkami i zbędnymi meblami, oraz pokój dziecinny, który niegdyś należał do Gabrieli. To wszystko.

Laura postawiła Lucy na podłodze i poszła do kuchni, by rozpakować zakupy, przede wszystkim kotlety, które zamierzała przyrządzić na kolację. Wyposażenie kuchni stanowiły sosnowe meble, niebiesko-białe porcelanowe naczynia, wyszorowany stół i gięte krzesła. Oszklone drzwi wychodziły na mały, wyłożony tekowym drewnem taras, z którego schodziło się po drewnianych stopniach do niewielkiego ogrodu. Rosła w nim wiśnia i stało kilka skrzynek z pelargoniami. Laura otworzyła na oścież drzwi. Do kuchni wdarło się świeże powietrze. Na tarasie stały ogrodowe krzesła i mały stolik z kutego żelaza. Laura postanowiła, że kiedy Alek wróci z pracy, a kotlety będą się smażyły, wypiją tam razem drinka w zapadającym zmierzchu, obserwując znikającą za horyzontem słońce i wdychając orzeźwiający zapach wieczoru.

„Może będzie to dobra okazja - pomyślała - by powiedzieć mu o tym, że nie pojedę do Szkocji”. Na samą myśl zamarło w niej serce, nie dlatego, że się go bała, lecz dlatego, że nie chciała zepsuć mu wakacji. Kuchenny zegar wskazywał dziesięć minut po piątej. Alek miał zjawić się w domu nie wcześniej niż za godzinę. Weszła na górę, zdję-

ła ubranie, włożyła przewiewny szlafrok i położyła się na ogromnym małżeńskim łóżku. Obiecała sobie, że odpocznie pół godziny, a potem weźmie prysznic i ubierze się. Pół godziny. Ale niemal natychmiast poczuła, że zapada w sen.

Śnił jej się szpital: widziała długie, wyłożone białymi kaflami korytarze i twarze w białych maskach, czuła szum w uszach. Ktoś powiedział jej, że nie ma się czego bać. Nie ma się czego bać. Nagle dotarł do niej dźwięk dzwonka. Może wybuchł pożar. Ktoś ją przywiązał do łóżka. Nie ma się czego bać. Dzwonek nie przestawał dzwonić.

Otworzyła oczy i leżała, wpatrując się w sufit. Jej serce nadal waliło jak młot. To był przerażający sen. Odruchowo uniosła rękę i spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej. Dzwonek odezwał się ponownie.

Chcąc, by do sypialni docierało świeże powietrze, została uchylone drzwi i teraz usłyszała dochodzące z sutereny kroki pani Abney, która z wysiłkiem wspinała się po schodach. Laura leżała bez ruchu, nasłuchując. Dotarł do niej szczeł zamka, a potem odgłos otwieranych drzwi frontowych.

- Ach, to pani, pani Boulderstone!

Daphne? Cóż robiła tu Daphne o wpół do szóstej po południu? Czego, na miły Bóg, mogła chcieć? Miała nadzieję, iż pani Abney odprawi ją, myśląc, że nikogo nie ma w domu.

- Dzwonię do drzwi od godziny - oznajmiła swym wysokim, donośnym głosem Daphne. - Byłam pewna, że kogoś zastanę, bo zauważyłam przed domem samochód pani Haverstock.

- Wiem. Wyrzałam przez okno, kiedy usłyszałam dzwonek. Może jest w swoim pokoju. - Nadzieja prysła. - Proszę wejść, a ja pójde na górę i sprawdzę.

- Chyba pani nie obudziłam, pani Abney?

- Nie. Smażyłam sobie na podwieczorek rybne paluszki.

Pani Abney znów zaczęła wspinać się po schodach. Laura gwałtownie usiadła, odrzuciła lekkie przykrycie i spuści-

ła nogi z łóżka. Siedząc tak, oszołomiona i zdezorientowana, ujrzała panią Abney, która lekko zastukawszy we framugę drzwi, stanęła na progu pokoju.

- A więc pani już nie śpi. - Kręcone, siwe włosy pani Abney były zmierzwione, a na nogach miała przydeptane nocne pantofle i specjalne grube pończochy, które nie kryły jednak jej nabrzmiałych żyłaków. - Czy nie słyszała pani dzwonka?

- Spałam. Przepraszam, że musiała pani otworzyć drzwi.

- Dzwonek dzwonił i dzwonił. Myślałam, że pani nie ma w domu.

- Przepraszam - powtórzyła Laura.

- Przyszła pani Boulderstone.

- Laura, to ja! - zawołała Daphne, która przysłuchiwała się z dołu tej rozmowie. - Nie wstawaj z łóżka, przyjdę na górę...

- Nie... - Nie chciała, żeby Daphne wchodziła do jej sypialni. - Zaraz zejść.

Ale jej protesty nie poskutkowały, bo Daphne już była na miejscu.

- O Boże, przepraszam. Nie przyszło mi nawet do głowy, że możesz być o tej porze w łóżku. Biedna pani Abney. Dziękuję, że przyszła mi pani z pomocą. Może już pani wracać do swoich rybnych paluszków. Bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy. Myśleliśmy, że zniknęłaś na dobre.

- Nie słyszała dzwonka - wyjaśniła zupełnie niepotrzebnie pani Abney. - No cóż, skoro wszystko w porządku, to mogę iść. - Wyszła, a po chwili na skrzypiących schodach rozległy się jej ciężkie kroki. Daphne zrobiła minę za jej plecami.

- Próbowałam dzwonić, ale nikt nie odbierał telefonu. Wychodziłaś?

- Byłam w Hampstead, na herbacie u Phyllis.

Daphne położyła swoją torebkę i słoneczne okulary w nogach łóżka i podeszła do toaletki, by przejrzeć się w lustrze.

- Mam nową fryzurę. Było mi piekielnie gorąco pod suszarką.

- Bardzo ładna. - To, że Daphne przyszła wprost z salonu piękności, można było poznać nie tylko po doskonale wy-modelowanej fryzurze, lecz i po zapachu lakieru, którym spryskano obficie jej srebrzyste włosy. Laura niechętnie musiała przyznać, że Daphne, w lekkich bawełnianych spodniach i blad różowej bluzce, wygląda zdumiewająco szykownie. Nadal miała smukłą, dziewczęcą sylwetkę i była, jak zawsze, opalona, nieskazitelnie umalowana, wyperfumowana i elegancka. - Kto układał ci włosy?

- Młody chłopiec imieniem Antony. Jest pedałem, ale dobrze strzyże. - Daphne, najwyraźniej zadowolona ze swego wyglądu, odwróciła się od lustra i opadła na stojący przy oknie mały, obity różowym aksamitem fotel. - Jestem wykończona - oznajmiła.

- Co robiłaś przez cały dzień?

- Musiałam załatwić kilka sprawunków... kupiłam u Harrodsa cudowne pumpy. Pomyślałam, że przydadzą mi się na wyjazd do Glenshandra. Nie mogę ci ich pokazać, bo zostawiłam je w samochodzie. Potem zjadłam wspianiały lunch w Meridiana, a później musiałam pojechać aż do Euston, by odebrać paczkę dla Toma. To nowa wędka na łososię: zrobiono ją dla niego w Inverness i przysłano pociągiem. Więc... skoro tędy przejeżdżałam, doszłam do wniosku, że wpadnę do ciebie i będziemy mogły omówić nasze plany dotyczące wyjazdu na północ. Jak widzisz, jestem bardzo zorganizowana.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu i wyprostowała nogi. Rozejrzała się po pokoju swymi dużymi, zadziwiająco błękitnymi oczami.

- Zmieniłaś tu co nieco, prawda? Czy to nowe łóżko?

Laura, z natury bardzo nieśmiała, nie przywykła jeszcze do jej braku wrażliwości i taktu.

- Owszem, nowe. Alek kupił je po naszym ślubie.

- Zaślony też są nowe. Bardzo ładny materiał.

Laurze przyszło na myśl, że Daphne musiała wielokrotnie bywać w tym pokoju, plotkując z Eriką, podobnie jak teraz gawędziła z nią. Wyobraziła sobie, jak przymierzają nowe stroje, zwierzają się ze swych sekretów, omawiają jakieś przyjęcie, robią plany. Poczowała, że jej cienki szlafrok jest pomięty i mokry od potu. Marzyła o prysznicu. Chciała, żeby Daphne poszła sobie i zostawiła ją samą.

Rozpaczliwa sytuacja zmusiła ją do zdobycia się na genialny pomysł.

- Czy masz ochotę na drinka?

- Chętnie - odparła Daphne bez chwili namysłu.

- Wiesz, gdzie Alek trzyma alkohole... w tym kredensie w kuchni. Znajdziesz tam gin i tonik. Cytryna jest w lodówce... i lód. Zejdź na dół i nalej sobie, a ja dołączę do ciebie za chwilę. Muszę się ubrać. Nie mogę tu spędzić reszty dnia. Zwłaszcza że Alek niebawem wróci do domu.

Daphne wyraźnie się ożywiła i bez dalszej zachęty przystąpiła do realizacji zaimprovizowanego przez Laurę planu. Zerwała się z fotela, wzięła swoją torebkę oraz słoneczne okulary i zbiegła na dół. Laura usłyszała po chwili odgłos otwieranych drzwi kredensu i brzęk szkła. Dopiero wtedy, pewna, że Daphne nie pojawi się ponownie, wstała z łóżka.

W piętnaście minut później, wykąpana i ubrana, zeszła na dół. Daphne leżała na kanapie i paliła papierosa, a szklanka z ginem stała na stole w zasięgu jej ręki. Salon wypełniało wieczorne światło słoneczne i zapach róż. Daphne znalazła nowy numer *Harpers and Queen* i przerzucała błyszczące stronicę, ale kiedy zjawiła się Laura, odłożyła czasopismo i spytała:

- W tym pokoju niczego nie zmieniłaś, prawda? Oczywiście poza kilkoma drobiazgami.

- Nie było sensu. I tak jest wystarczająco ładny.

- Lubisz tu mieszkać? Zawsze uważam, że Islington leży na końcu świata. Dojazd dokądkolwiek zabiera mnóstwo czasu.

- Ale jest blisko City.

- Tak ciągle mówił Alek - uparty stary drań. Dlatego właśnie Erika nakłoniła go do kupna Deepbrook.

Zaskoczona Laura nie potrafiła wymyślić żadnej stosownej odpowiedzi. Daphne nigdy dotąd nie nawiązywała do przeszłości w tak bezpośredni, niemal prowokujący sposób. Dlaczego robiła to teraz? Może dlatego, że nie było tu Toma, który zmusiłby ją do powściągliwości. Były same i Daphne z pewnością uważała subtelne aluzje i taktowne wybiegi za zbyt czyste. Laura poczuła się osaczona i schwyтана w pułapkę.

- Nigdy nie rozmawiamy o Erice, prawda? - spytała Daphne, uśmiechając się. - Wszyscy unikamy tego tematu, jakby był on zakazany. Ale bądź co bądź byli małżeństwem. Teraz to już zamierzchła przeszłość.

- Owszem, chyba tak.

Daphne zmrużyła oczy i zapaliła kolejnego papierosa, głęboko się zaciągając.

- To chyba dziwne uczucie być drugą żoną - powiedziała. - Często wyobrażałam sobie, że musisz czuć się nieswojo. Dla ciebie to zupełnie nowe przeżycie, a przecież wszystko to przydarzyło się już wcześniej innej kobiecie. To jest oczywiście klasyczna sytuacja.

- Co masz na myśli?

- No cóż, pomyśl o Jane Eyre czy drugiej pani de Winter z „Rebeki”.

- Z tą różnicą, że Alek nie jest ani bigamistą, ani mordercą.

Daphne wydawała się zdezorientowana. Być może nie była aż tak odczytana, jak udawała. Laura zamierzała jej wyjaśnić sens swoich słów, ale rozmyśliła się. Zauważyła, że szklanka Daphne jest pusta.

- Może jeszcze jeden gin z tonikiem?

- Chętnie. - Daphne najwyraźniej zawsze tak odpowiadała, kiedy proponowano jej drinka. Wyciągnęła szklankę w stronę Laury. - A może wolisz, żebym nalała sobie sama.

- Nie. Ja to zrobię.

Laura poszła do kuchni, napełniła szklankę i wrzuciła do niej kilka kostek lodu. Przypomniała sobie, że Daphne jadła w mieście lunch - niewątpliwie w towarzystwie jednego ze swych tajemniczych wielbicieli. Z pewnością wypijała kilka drinków i sporo wina. Laura zaczęła się zastanawiać, czy Daphne nie jest lekko pijana. Cóż innego mogłoby tłumaczyć jej zadziwiający przypływ szczerości? Spojrzała na zegar z nadzieją, że Alek pojawi się niebawem i wybawi ją z tej sytuacji. Zaniosła szklankę z powrotem do salonu.

- Och, cudownie. A ty się nie napijesz?

- Nie. W gruncie rzeczy... nie mam ochoty.

- No to, na zdrowie! - Wypiła i odstawiła szklankę. - Myślałam właśnie... no wiesz, minęło już niemal sześć lat od wyjazdu Eriki do Stanów. Nie mogę uwierzyć, że było to tak dawno. Sądzę, że z wiekiem czas biegnie coraz szybciej... czy coś w tym rodzaju. Ale nie mogę uwierzyć, że było to tak dawno. - Usadowiła się wygodniej w rogu kanapy, podwijając stopy pod siebie, jakby przygotowywała się do intymnej pogawędki. - Była moją najlepszą przyjaciółką. Czy o tym wiedziałas?

- Tak, chyba tak.

- Chodziłyśmy razem do szkoły. Zawsze byłyśmy przyjaciółkami. To właśnie ja przedstawiłam jej Aleka. To znaczy, nie przedstawiłam, bo ona była wtedy w Hongkongu, ale poznał ją dzięki mnie. Kiedy się pobrali, byłam bardzo przejęta, ale też odrobinę zazdrosna. Widzisz, Alek był jednym z moich pierwszych chłopców. Znałam go, zanim spotkałam Toma. Głupio mieć taki stosunek do mężczyzny, ale spójrzmy prawdzie w oczy, nie ma takiej miłości jak pierwsza.

- Chyba że jest to ostatnia miłość.

Daphne wydała się tak zaskoczona i boleśnie dotknięta, jakby ją coś ukąsiło.

- Zapewniam cię, że nie chciałam być złośliwa. To było



po prostu drobne wyznanie. Bądź co bądź, Alek jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- Przypuszczam - powiedziała Laura bliska rozpaczy - że bardzo tęsknisz za Eriką.

- Och, okropnie. Początkowo nie byłam w stanie uwierzyć, że nie wróci, ale potem, kiedy doszło do rozwodu i Alek sprzedał Deepbrook, wiedziałam, że dawne czasy już nie wrócą. To tak, jakby zakończyła się jakaś epoka. Weekendy bez wypadów do Deepbrook wydawały się bardzo dziwne. Martwiliśmy się również o Aleka, który tak wiele czasu spędzał samotnie, ale odnowił kontakty ze swym bratem i w piątkowe popołudnia wyjeżdżał zazwyczaj do Devon. Pewnie cię tam zabrał?

- Masz na myśli Chagwell? Owszem, spędziliśmy tam Wielkanoc. Ale przeważnie po prostu zostajemy tutaj. (Te weekendy były najprzyjemniejsze ze wszystkich. Tylko oni we dwoje i Lucy, drzwi zamknięte, okna otwarte i cały dom wyłącznie dla nich) .

- Czy ich lubisz? To znaczy Briana Haverstocka i jego żonę? Erika nie znosiła tam jeździć. Mówiła, że na meblach pełno jest psiej sierści, a dzieci nieustannie wrzeszczą.

- Przy tak dużej rodzinie musi panować w domu pewien nieład i hałas... ale jest też wesoło.

- Erika nie znosiła rozpuszczonych dzieci. Gabriela była czarująca. - Zgasiła papierosa. - Czy Alek miewa jakieś wiadomości od Gabrieli?

Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Wymykała się spod kontroli.

- Och, tak - skłamała Laura, zaskoczona swym opanowaniem.

- Najprawdopodobniej stała się już prawdziwą małą Amerykanką. Młodzi ludzie mają tam wspaniałe życie. Chyba właśnie dlatego nigdy nie przyjeżdża do Anglii, by zobaczyć się z ojcem. Alek nieustannie jej oczekiwał. Co rok zapowiadał, że Gabriela pojedzie z nami do Glenshandra, rezerwował dla niej pokój w hotelu i sam wszystko organi-

zował. Ale ona nigdy się nie zjawiła. Skoro już o tym mowa - ciągnęła, nie zmieniając tonu - dlatego właśnie przyszłam. Nie po to, by rozprawić o swojej przeszłości. Glen-shandra. Czy jesteś przygotowana na spotkanie z mroźną północą? Chyba masz jakieś ciepłe rzeczy, bo nad wodą może być paskudnie zimno, nawet w lipcu. Któregoś roku bez przerwy lało i omal nie zamarliśmy. I musisz mieć jakiś wieczorowy strój na wypadek, gdyby zaproszono nas na kolację. Mężowie nigdy nie pamiętają o takich sprawach, a tam w promieniu stu mil nie znajdziesz sklepu, więc niczego nie kupisz.

Zamilkła, czekając na reakcję Laury, której do głowy nie przychodziła żadna stosowna odpowiedź.

- Alek mówił nam, że nigdy nie łowiłaś ryb - ciągnęła Daphne - ale zamierzasz spróbować, prawda? Bo inaczej będziesz się nudzić, zostając sama w hotelu. Nie wydajesz się zbyt podniecona tą perspektywą. Nie cieszysz się na ten wyjazd?

- No... tak... ale...

- Czy coś nie w porządku?

Laura doszła do wniosku, że wcześniej czy później Daphne pozna prawdę. Wszyscy ją poznają.

- Ja... chyba nie będę mogła pojechać.

- Nie będziesz mogła pojechać?

- Muszę iść do szpitala. To drobiazg... drobna operacja, ale doktor twierdzi, że potem powinnam odpocząć. Uważa, że nie mogę jechać do Szkocji.

- Ale kiedy? Kiedy masz iść do szpitala?

- Za dzień lub dwa.

- Czy to znaczy, że Alek nie może jechać? - Daphne wydawała się tak przerażona tą perspektywą, jakby bez niego całe wakacje były z góry skazane na niepowodzenie.

- Ależ oczywiście, że może. Nie ma żadnego powodu, żeby tu zostawał.

- Ale... czy nie będziesz miała mu tego za złe?

- Chcę, żeby pojechał. Chcę, żeby pojechał z wami.

- Ale co będzie z tobą, biedactwo? Cóż za okropny zbieg okoliczności. Kto się tobą zaopiekuje? Pani Abney?

- Być może zamieszkałam u Phyllis.

- U tej twojej ciotki z Hampstead?

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Silnik ucichł, trzasnęły drzwi. Laura modliła się, żeby to był Alek.

- Tak, dlatego właśnie pojechałam do niej dziś po południu. - Kroki, zgrzyt klucza w zamku. - Oto i Alek.

Spotkali się w drzwiach frontowych, a Laura nigdy jeszcze nie była tak zadowolona z jego powrotu.

- Laura...

- Cześć, czyż to nie wspaniale, przyszła do nas Daphne - powiedziała donośnym głosem, zanim zdążył ją pocałować.

Alek znieruchomiał, jedną ręką obejmując żonę, a w drugiej nadal trzymając teczkę.

- Daphne? - Wydawał się zaskoczony.

- Tak, to ja! - zawołała Daphne z salonu. Alek postawił teczkę na podłodze i zamknął za sobą drzwi. - Czyż to nie jest dla ciebie miła niespodzianka?

Wszedł do salonu, a Laura podążyła za nim. Stanął z rękami w kieszeniach i uśmiechnął się do Daphne.

- Co tu robisz?

Odwzajemniła jego uśmiech, przechylając zalotnie głowę.

- Po prostu plotkuję z twoją żoną. Musiałam odebrać paczkę w Euston i wydało mi się to dobrą okazją, żeby do was wpaść. Nieczęsto bywam na tym końcu świata.

- Miło cię widzieć - powiedział, pochylając się i całując jej uniesioną twarz.

- W gruncie rzeczy przyjechałam, by porozmawiać z Laurą o Glenshandra...

Laura, stojąc za plecami Aleka, robiła znaczące gesty, ale Daphne albo nie zauważyła tego, albo była zbyt zaabsorbowana Alekiem, by zwrócić na nie uwagę.

- ...ale właśnie powiedziała mi, że chyba nie będzie mogła pojechać.

W tym momencie Laura była gotowa udusić Daphne. Albo udusić samą siebie za to, że była na tyle głupia, by jej się zwierzać.

Alek odwrócił się i spojrzał na nią, marszcząc brwi, zupełnie zdezorientowany.

- Nie będzie mogła pojechać...?

- Och, Daphne. Alek jeszcze o tym nie wie. Przynajmniej nie wiedział, dopóki mu nie powiedziałaś.

-I chciałaś mu sama o tym powiedzieć! To okropne... a teraz ja się wygadałam. Tom zawsze zwraca mi uwagę, że za dużo gadam. Nie miałam pojęcia...

- Przecież ci mówiłam. Byłam u tej lekarki dopiero dziś popołudniu!

- Nie wiedziałem, że się do niej wybierasz - zdziwił się Alek.

- Nie chciałam ci o tym mówić, zanim tam nie pójde. Dopóki się nie dowiem. Nie chciałam cię niepokoić... - Z przerażeniem stwierdziła, że załamuje jej się głos. Ale Alek również to zauważył i przyszedł jej z pomocą, łagodząc jej rozpacz i zmieszanie.

- Nie musimy teraz o tym rozmawiać, powiesz mi później. Po wyjściu Daphne.

- Och, kochanie, czy to aluzja? Czy to znaczy, że mam się wynosić?

- Ależ skąd. Chyba zrobię sobie drinka. Czy napijesz się ze mną?

- Sama nie wiem - odparła, zaciskając palce na swojej szklance - może jednak odrobinę. Ale proszę, nie rób mi zbyt mocnego drinka, bo muszę przecież jakoś dojechać do domu, a Tom mnie z pewnością zamorduje, jeśli rozbiję samochód.

W końcu wyszła. Obserwowali tańczący tył jej znikającego za zakrętem samochodu.

- Mam nadzieję, że się nie zabije - powiedział Alek, wchodząc do domu i zamykając drzwi. Laura natychmiast Wybuchnęła płaczem.

Alek wziął ją w ramiona.

- No, uspokój się. O co chodzi?

- Nie chciałam, żebyś dowiedział się o tym od niej. Zamierzałam ci powiedzieć sama, przy drinku... Nie chciałam jej się zwierzać, ale bez przerwy mówiła o Glenshandra i w końcu nie mogłam zrobić nic innego...

- To nieważne. Tylko ty jesteś ważna... Chodź. - Obejmując Laurę ramieniem, wprowadził ją do salonu i posadził delikatnie na kanapie. Poduszka, na której Laura oparła głowę, przeszła zapachem Daphne. Nie mogła powstrzymać łez.

- Ja... odkładałam wizytę u doktor Hickley, bo bałam się dowiedzieć, że muszę przejść jeszcze jedną operację, myślałam, że może wszystko jakoś się ułoży. Ale tak się nie stało. Jest jeszcze gorzej.

Łzy spływały po jej twarzy. Alek usiadł na brzegu kanapy i podał jej czystą batystową chusteczkę, którą wyjął z górnej kieszeni swej marynarki. Wytarła nos, ale niewiele jej to pomogło.

- Kiedy masz iść do szpitala?

- Za dzień lub dwa. Doktor Hickley zatelefonuje do mnie...

- Bardzo mi przykro. Ale przecież to jeszcze nie koniec świata.

- Ale będzie, jeśli tym razem się nie uda. Bo wtedy... ona mówi, że będę musiała poddać się bardzo poważnej operacji, a ja nie chcę, aby do tego doszło. Boję się... Chyba nie zniosłabym tej operacji... Chcę mieć dziecko... Chcę mieć twoje dziecko...

Podniosła na niego oczy, ale przez łzy nie widziała jego twarzy. Alek objął ją, a ona wtuliła głowę w jego ciepłe, opiekuńcze ramię.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

- Tak twierdzi Phyllis, ale nic nie wiadomo. - Jego granatowa marynarka w białe prążki była mokra od jej łez. - Chciałabym wiedzieć.

- Nie możemy wiedzieć wszystkiego.
- Chcę mieć dziecko... „Chcę dać ci dziecko, które zastąpi ci Gabriellę”.

Dlaczego nie potrafiła powiedzieć tego na głos? Ich małżeństwo nie może być w pełni udane, jeśli nie jest w stanie wymówić imienia Gabrieli. Skoro Alek nigdy nie wspominał o swojej córce, wysyłał do niej listy z biura, a jeśli ona mu na nie odpisywała, trzymał to w tajemnicy przed Laurą. Nie powinni mieć przed sobą tajemnic. Powinni rozmawiać o wszystkim, wszystko sobie mówić.

Przecież ona nie zniknęła bez śladu. Na górze, na poddaszu, znajdował się jej pokój, jej meble, zabawki, obrazki, jej biurko. Na komodzie w garderobie Aleka stała jej fotografia i oprawiony w srebrną ramkę obrazek, który dla niego namalowała. Dlaczego nie widział, że przemilczając jej istnienie, wznosi między sobą a Laurą mur, którego ona nie potrafiła pokonać.

Westchnęła głęboko, odsunęła się od niego i ponownie opadła na poduszkę, nienawidząc samej siebie za to, że płacze, że okropnie wygląda i że jest taka nieszczęśliwa. Chusteczka Aleka była już zupełnie mokra od jej łez. Ze złością szarpnęła za wykończony mereżką brzeg.

- Jeśli nie będę mogła dać ci dziecka, nie będę mogła dać ci niczego - powiedziała.

Alek, zgodnie ze swą naturą, nie próbował jej pocieszyć żadnym banalnym frazesem. Dopiero po chwili spytał zdumiewająco normalnym tonem:

- Czy piłeś już drinka?

Laura potrząsnęła głową.

- Przyniosę ci kieliszek koniaku. - Wstał i wyszedł z pokoju. Słyszała, jak krząta się po kuchni. Lucy, zaniepokojona jego obecnością, wylazła ze swego koszyka. Do uszu Laury dotarł odgłos jej pazurków na linoleum. Potem Lucy wbiegła do pokoju i wskoczyła na kolana pani. Polizała jej policzek i czując słone łzy, polizała ją ponownie. Zwinęła się w kłębek i zasnęła. Laura wytarła nos i odgarnęła opa-

dający jej na twarz kosmyk ciemnych włosów. Alek wrócił, niosąc szklankę whisky dla siebie, a dla niej mały kieliszek koniaku. Przyniósł sobie niski stołek i usiadł naprzeciw niej. Uśmiechnął się, a ona niepewnie odwzajemniła jego uśmiech.

- Lepiej?

Kiwnęła głową.

- Koniak ma właściwości lecznicze - stwierdził. Wypiła łyk i poczuła, jak piekący alkohol spływa jej do żołądka. Jego moc była pokrzepiająca.

- A teraz - powiedział - porozmawiamy o Glenshandra. Doktor Hickley uważa, że nie powinnaś jechać?

- Twierdzi, że nie mogę.

- I nie ma mowy o odłożeniu operacji?

Laura potrząsnęła głową.

- W takim razie musimy odwołać ten wyjazd.

- Tego właśnie nie chcę - powiedziała, biorąc głęboki oddech. - Nie chcę, żebyś zrezygnował z wyjazdu.

- Ale nie mogę zostawić cię tu samej.

-Ja... myślałam, że moglibyśmy wynająć jakąś pielęgniarkę czy coś w tym rodzaju. Wiem, że pani Abney nie poradzi sobie sama, ale może moglibyśmy znaleźć jej kogoś do pomocy.

- Lauro, nie mogę cię tu zostawić.

- Wiedziałam, że to powiesz. Po prostu wiedziałam.

- A co, twoim zdaniem, mógłbym powiedzieć? Lauro, Glenshandra nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie. Wiesz dobrze, że ma - nie mogła powstrzymać potoku łez. - Cieszyłeś się na ten wyjazd przez cały rok, to są twoje wakacje, musisz jechać. A inni...

- Zrozumieją to.

Przypomniała sobie przerażony wyraz twarzy Daphne i jej słowa: „Czy to znaczy, że Alek nie może jechać?”

- Oni tego nie rozumieją. Będą uważali, że jestem jak zwykle beznadziejnie nudna.

- To niesprawiedliwe.  
 - Chcę, żebyś pojechał. Naprawdę chcę. Czy nie rozumiesz, dlaczego jestem taka załamana? Bo wiem, że wszystko ci psuję.

- Nie możesz iść na operację w takim stanie.  
 - Więc wymyśl coś. Phyllis powiedziała, że na pewno coś wymyślisz.

- Phyllis?  
 - Byłam u niej dziś po południu. Po wizycie u doktor Hickley. Zamierzałam spytać ją, czy po wyjściu ze szpitala nie mogłabym u niej zamieszkać... bo sądziłam, że jeśli będziesz wiedział, iż jestem z nią, pojedziesz do Glenshandra. Ale ona nie może się mną opiekować, bo wyjeżdża do Florencji. Mówi, że odwoła wyjazd, ale nie mogę się na to zgodzić...

- Nie, oczywiście nie możemy się na to zgodzić.  
 - Powiedziałam jej, że po raz pierwszy w życiu odczuwam brak rodziny. Chciałabym mieć prawdziwą rodzinę, mnóstwo bliskich krewnych. Nigdy dotąd tego nie pragnęłam. Chciałabym mieć opiekuńczą matkę, do której mogłabym pojechać, a ona wkładałaby mi do łóżka termofor.

Spojrzała na niego, by zobaczyć, czy rozbawił go ten bezsensowny kaprys, ale on się nie uśmiechał.

- Ty nie masz rodziny, ale ja ją mam - powiedział łagodnie.

Laura zastanowiła się, a potem spytała z wyraźnym brakiem entuzjazmu:

- Masz na myśli Chagwell?  
 - Nie - odparł ze śmiechem. - Nie Chagwell. Bardzo kocham mojego brata, jego żonę i ich liczne dzieci, ale w tym domu może mieszkać tylko człowiek, który ma końskie zdrowie.

- Cieszę się, że ty to powiedziałaś, a nie ja - stwierdziła Laura z ulgą.

- Mogłabyś pojechać do Tremeneheere.



- Gdzie jest Tremeneheere?
- W Kornwalii. Na samym krańcu Kornwalii. Niebo na ziemi. Stara elżbietańska rezydencja z widokiem na zatokę.
- Mówisz jak właściciel biura podróży. Kto tam mieszka?
- Gerald i Eve Haverstock. On jest moim stryjem, a ona czarującą kobietą.
- To oni przysłali nam kryształowe kieliszki do wina jako prezent ślubny - przypomniała sobie Laura.
- Zgadza się.
- Oraz bardzo miły list.
- I to się zgadza.
- A on jest emerytowanym admirałem?
- Który ożenił się dopiero w wieku sześćdziesięciu lat.
- Masz skomplikowaną rodzinę.
- Ale wszyscy są czarujący. Podobnie jak ja.
- Kiedy tam byłeś... w Tremeneheere? - Trudno jej było wymówić to słowo, zwłaszcza po kieliszku koniaku.
- Kiedy byłem chłopcem. Brian i ja spędziliśmy tam letnie wakacje.
- Ale ja ich nie znam. To znaczy, Geralda i Eve.
- To nie ma znaczenia.
- Nie wiemy nawet, czy zechcą mnie przyjąć.
- Zatelefonuję do nich później i załatwię to.
- Co będzie, jeśli odmówią?
- Nie odmówią, ale gdyby to zrobili, pomyślimy o czymś innym.
- Będę im przeszkadzać.
- Nie sądzę.
- Jak się tam dostanę?
- Zawiozę cię samochodem, kiedy tylko wyjdiesz ze szpitala.
- Przecież będziesz w Głenshandra.
- Nie pojedę do Głenshandra, dopóki nie zostaniesz bezpiecznie dostarczona. Jak przesyłka.
- Stracisz część swoich wakacji. Kilka wypraw na ryby.

- Przeżyję to.

W końcu wyczerpała listę swych zastrzeżeń. Pobyt w Tremeneere był rozwiązaniem kompromisowym, ale był to przynajmniej jakiś pomysł. Oznaczał wprawdzie poznanie nowych ludzi i mieszkanie w obcym domu, ale oznaczał również, że Phyllis pojedzie do Florencji, a Alek do Szkocji.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Siedział, trzymając szklankę między kolanami. Jego gęste czarne włosy poprzetykane były pasemkami siwizny i wyglądały jak futro srebrnego lisa. Nie był konwencjonalnie przystojnym mężczyzną, ale miał interesującą i szlachetną twarz - twarz, którą wystarczyło zobaczyć raz, by nigdy jej nie zapomnieć. Choć był bardzo wysoki, siedział wygodnie na niskim stołku. Spojrzała w jego oczy, równie ciemne jak jej własne, a kiedy się uśmiechnął, poczuła nagle przyspieszone bicie serca.

„Bądź co bądź Alek jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną”.

Przypomniała sobie słowa Phyllis: „Czy możesz sobie wyobrazić, by człowiek tak uczciwy jak Alek romansował z żoną swego najlepszego przyjaciela?” Daphne z pewnością będzie zachwycona, kiedy pojawi się w Glenshandra sam.

Myśląc o tym, Laura poczuła niepokój. Było to absurdalne; przecież spędziła ostatnie pół godziny, nakłaniając go do tego wyjazdu. Wstydząc się własnych podejrzeń i przepelniona miłością do Aleka, wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

- Jeśli Gerald i Eve zechcą mnie zaprosić, to obiecuję mi, że pojedziesz do Szkocji.

- Skoro tego chcesz...

- Tak, tego właśnie chcę.

Pochylił głowę, ucałował wewnętrzną stronę jej dłoni, a potem zacisnął ją w pięść, jakby ten pocałunek był jakimś cennym darem.

-I tak okazałabym się pewnie kiepskim rybakiem... -  
powiedziała - a ty straciłbyś cały pobyt na udzielaniu mi  
lekcji.

- Pojedziemy tam razem w przyszłym roku.

W przyszłym roku. Być może w przyszłym roku wszystko  
ułoży się lepiej.

- Opowiedz mi o Tremenheere - poprosiła.

# *Tremenheere*

Był piękny dzień. Długi, upalny, skąpany w słońcu. Nastąpiła już pora odpływu i na brzegu widzianym od strony morza, w którym Eve po energicznym pływaniu unosiła się łagodnie na grzbietach fal, widać było zarys stromego urwiska, grupę skał i szeroki pas jasnego piasku.

Na plaży panował wyjątkowy tłok. Teraz, pod koniec lipca, w szczycie sezonu wakacyjnego, cała okolica upstrzona była kolorowymi plamami ręczników kąpielowych i pasiastych zasłon od wiatru, czerwonych i kanarkowożółtych kostiumów dzieci, parasoli i ogromnych, nadmuchiwanym, gumowych piłek. Krzyczące głośno mewy latały nad głowami plażowiczów, przysiadały na szczytach stromych urwisk i nurkowały po resztki pozostawionego na piasku przez setki wycieczkowiczów jedzenia. Ich wrzask mieszał się z głosami ludzi, które nawet z tej odległości były donośne i przenikliwe. Do uszu Eve docierały krzyki chłopców grających w piłkę nożną, nawoływania matek szukających zagubionych dzieci i radosne wybuchy śmiechu jakiejś dziewczyny, którą wrzucili do wody dwaj młodzieńcy, udając, że chcą ją utopić.

Morze początkowo wydawało się Eve lodowate, ale pływanie pobudziło jej krwiobieg i teraz czuła jedynie cudowny, orzeźwiający chłód słonej wody. Leżała na plecach, obserwując bezchmurne niebo, a jej myśli nie zaprzętało nic oprócz zachwyty nad chwilą obecną.

Przypomniała sobie, że ma pięćdziesiąt osiem lat, ale już dawno odkryła, iż jedną z zalet tego wieku jest umiejętność doceniania naprawdę cudownych chwil, które się przeżywa. Nie było to dokładnie szczęście. Niespodziewane przyływy szczęścia przeminęły już dawno temu wraz z ekstatyczną beztroską młodości. To było coś lepszego. Eve nigdy nie lubiła być zaskakiwana, nawet przez przyływy szczęścia. Wszystkie niespodziewane przeżycia zawsze ją przerażały i napawały niepokojem.

Huśtana jak w kołysce przez ruchy morza pozwoliła fałom łagodnie wynieść się na brzeg. Były one tu mniejsze, ale bardziej spienione. Dotknęła ręką piasku. Po chwili leżała na plaży, nadal na wpół zanurzona w wodzie, która tu, przy brzegu, wydawała się znacznie cieplejsza niż na pełnym morzu.

Nie miała czasu na dłuższą kąpiel słoneczną. Wstała i ruszyła po rozgrzanym piasku w kierunku skały, na której zostawiła swój gruby biały płaszcz kąpielowy. Włożywszy go, poczuła ciepło rozchodzące się po jej wilgotnych plecach i ramionach. Zawiązała pasek, wsunęła stopy w sandały i zaczęła wspinać się długą wąską ścieżką, prowadzącą na szczyt stromego urwiska, gdzie zaparkowała samochód.

Dochodziła szósta. Niektórzy letnicy zaczęli już pakować swoje rzeczy, a dzieci ociągały się i protestowały, marudząc z wyczerpania i nadmiaru słońca. Liczni plażowicze zdążyli już się opalić, ale ci, którzy zapewne przyjechali niedawno, byli spieczeni jak raki, więc przed ponownym wyjściem na słońce czekały ich kilkudniowe męki. Tak było każdego upalnego lata. Przed gabinetami lekarzy oczekiwały długie kolejki pacjentów z rozognionymi twarzami i pęcherzami na plecach.

Ścieżka była stroma. Eve przystanęła na szczycie urwiska, by złapać oddech. Odwróciła się i spojrzała na obramowane dwoma skalnymi bastionami morze. Blisko brzegu woda była zielona jak nefryt, a dalej ciągnął się pas nie-

zwykle intensywnego błękitu. Nad przesłoniętym lekką lawendową mgiełką horyzontem rozpościerało się lazurowe niebo.

Dogoniło ją jakieś młode małżeństwo; ojciec niósł w ramionach małe dziecko, a matka ciągnęła za rękę starszego syna.

- Nie chcę wracać jutro do domu - jęczał chłopiec, zalewając się łzami. - Chcę tu zostać jeszcze przez tydzień. Chcę tu zostać na zawsze.

Eve spojrzała na młodą matkę, najwyraźniej bliską rozpaczy. Rozumiała dobrze jej stan ducha. Pamiętała czasy, kiedy była w jej wieku, a Ivan, krępy jasnowłosy chłopiec, ścisnął ją kurczowo za rękę. Czuła jeszcze dotyk jego drobnej, suchej, szorstkiej dłoni. Miała ochotę powiedzieć tej kobiecie: „Nie złość się na swego synka. Nie zatruwaj życia sobie i jemu. Zanim się obejrzysz, on dorośnie i stracisz go na zawsze. Delektuj się każdą chwilą jego dziecięcości, nawet jeśli od czasu do czasu wyprowadza cię z równowagi”.

- Nie chcę wracać do domu - buczał malec. Matka spojrzała z rezygnacją na Eve, a ona zmusiła się do uśmiechu, chociaż jej wrażliwe serce współczuło całej gromadzie przyjezdnych, którzy będą musieli opuścić Kornwalię i wyruszyć w długą, nużącą, powrotną podróż do Londynu; do zatłoczonych ulic, urzędów, pracy, autobusów i odoru spalin. Wydało jej się niesprawiedliwe, że oni muszą wyjechać, a ona może zostać tu na zawsze. Czuła się wybranką losu - tu właśnie mieszkała.

Idąc w kierunku swego samochodu, modliła się, by fala upałów trwała nadal. Alek i Laura mieli przybyć tego wieczora w porze kolacji, i z tego właśnie powodu Eve nie mogła dłużej wylegiwać się na plaży. Przyjeżdżali z Londynu, a nazajutrz rano, o jakiejś nieludzkiej godzinie, Alek wyruszał w nieprawdopodobnie długą podróż do Szkocji na połowy łososi. Laura miała pozostać w Tremeneheere przez jakieś dziesięć dni, dopóki Alek nie wróci i nie zabierze jej z powrotem do Londynu.

Eve znała Aleka. Kochała tego bladego mężczyznę o kamiennym wyrazie twarzy za to, że choć był załamany z powodu rozpadu swego małżeństwa, zjawił się na ich ślubie. Od tej pory, już w nieco lepszej formie, parokrotnie ich odwiedzał. Ale Laura była osobą obcą. Chorowała, spędziła kilka dni w szpitalu i miała przyjechać do Tremenhoe na rekonwalescencję.

Dlatego właśnie Eve marzyła o dobrej pogodzie. Postanowiła, że Laura będzie jadać śniadania w łóżku i leżeć spokojnie w ogrodzie przez nikogo nie niepokojona. Musi odpoczywać i odzyskiwać siły. Kiedy poczuje się lepiej, być może przyjadą na tę plażę, by wygrzewać się w słońcu i pływać w morzu.

Przy ładnej pogodzie wszystko stawało się znacznie łatwiejsze. Eve i Gerald, choć mieszkali w najdalszym zakątku Kornwalii, byli każdego lata zalewani przez falę gości: krewnych, przyjaciół z Londynu, młode małżeństwa nie mogące sobie pozwolić na pobyt w potwornie drogich hotelach. Dzięki staraniom Eve zawsze przyjemnie spędzali czas, ale niekiedy zdarzały się nawet ją samą przygnębiające nieustające deszcze i nietypowe dla tej pory roku silne wiatry. Dręczyło ją wtedy przeświadczenie, że to ona ponosi za to winę, choć doskonale wiedziała, iż tak nie jest.

Tak rozmyślając, dotarła do swego samochodu, który był piekielnie rozgrzany, choć zaparkowała go w półcieniu krzewu głogu. Nadal owinięta płaszczem kąpielowym ruszyła w kierunku domu, a wpadające przez otwarte okno chłodne powietrze rozwiewało jej wilgotne włosy. Dotarła do głównej drogi, minęła jakąś wioskę i pojechała wzdłuż brzegu morza. Szosa biegła przez wiadukt kolejowy, a następnie równoległe do torów w stronę miasteczka.

Gerald powiedział kiedyś Eve, że w dawnych czasach, jeszcze przed wojną, były tu jedynie pola uprawne, niewielkie folwarki i niewidoczne dla oka wioski, nad którymi wznosiły się czworoboczne wieże małych kościołów. Kościoły przetrwały, ale pola, na których uprawiano wówczas bro-

kuły i wczesne odmiany ziemniaków, zniknęły pod naporem postępu i cywilizacji. Teraz wzdłuż drogi stały rzędem pensjonaty i domy mieszkalne, stacje benzynowe i supermarkety.

Minęła lotnisko dla śmigłowców, zapewniających połączenie z wyspami Scilly, a potem bramę wjazdową, prowadzącą do wiejskiej rezydencji, pełniącej obecnie rolę hotelu. Dawniej za bramą rosły drzewa, ale zostały ścięte, a na ich miejscu zbudowano jaskrawoniebieski basen kąpielowy.

Między tym hotelem a rogatkami miasta, przy szosie wznoszącej się łukiem w prawo, stał drogowskaz z napisem Penvarloe. Eve skręciła w tym właśnie kierunku, odłączając się od strumienia mknących samochodów. Droga przechodziła w wąski, obsadzony wysokim żywopłotem gościńnic, który piał się zakrętami na wzgórze. Od razu znalazła się w nie skażonej ręką ludzką wiejskiej okolicy. Ujrzała małe, ogrodzone kamiennymi murami pola, na których pały się stada krów rasy Guernsey. Głębokie doliny porośnięte były gąszczem drzew. Po jakiejś mili droga skręcała ostro w górę, a Eve zobaczyła przed sobą miasteczko Penvarloe, zabudowane niskimi, ciągnącymi się wzdłuż ulicy domkami. Minęła ustawione na bruku przed pubem stoły oraz otoczony cisami i starymi pochyłymi nagrobkami kościół z dziesiątego wieku, który wznosił się nad okolicą jak jakaś prehistoryczna skała.

W miejscowym urzędzie pocztowym, pełniącym również rolę sklepu wielobranżowego, sprzedawano warzywa, napoje gazowane i mrożonki. Po obu stronach otwartych drzwi (gdyż zamykano je dopiero o siódmej wieczorem) stały skrzynki z owocami. Kiedy Eve podjechała bliżej, ze sklepu wyszła jakaś szczupła kobieta z burzą kręconych siwych włosów na głowie, niosąc wiklinowy koszyk z zakupami. Miała na sobie bladoniebieską sukienkę bez rękawów, a jej twarz zasłaniały duże ciemne okulary. Gdy Eve zatrąbiła, kobieta dostrzegła ją i pomachała ręką. Eve zwolniła i zjechała na pobocze.



- Sylwia!

Sylwia Marten podeszła do samochodu, oparła rękę o dach i schyliła się, by porozmawiać z Eve. Mimo swych siwych włosów z daleka wyglądała niewiarygodnie młodo, tym bardziej więc szokujący był widok jej pooranej zmarszczkami i spalonej przez słońce twarzy, wystającej szczęki i obwisłego podbródka. Postawiła koszyk na ziemi i przesunęła okulary na czubek głowy. Miała zadziwiające, żółto-zielone, szeroko otwarte oczy, obramowane grubymi kreskami tuszu, powieki pomalowane na kolor bładozielony, a brwi precyzyjnie wyskubane.

- Cześć, Eve - powiedziała niskim, lekko ochrypłym głosem. - Byłaś na plaży?

- Tak, pojechałam do Gwenvoe. Ciężko pracowałam przez cały dzień, więc po prostu musiałam się ochłodzić.

- Masz niespożyta energię. A Gerald nie chciał wybrać się z tobą?

- Był zajęty koszeniem trawy.

- Będziecie wieczorem w domu? Mam kilka sadzonek chryzantem, które mu obiecałam, a w mojej szklarni brakuje już miejsca. Mogłabym więc je przynieść i wypić z wami drinka.

- Och, to miło z twojej strony. Oczywiście... - Przez chwilę zawahała się. - Jedyne kłopot polega na tym, że spodziewamy się Aleka i Laury...

- Aleka? Aleka Haverstocka?... - Nagle uśmiechnęła się szeroko i rozbijając jak mały chłopiec, a uśmiech ten zmienił i złagodził ostre rysy jej twarzy. - Czy będzie u was mieszkał?

- Nie. Spędzi tylko jedną noc. Za to Laura zostanie trochę dłużej. Była w szpitalu i przyjeżdża na rekonwalescencję. Oczywiście - uderzyła dłonią w kierownicę - zawsze zapominam, że znasz Aleka od tak dawna.

- Bawiliśmy się na plaży całe wieki temu. No cóż... więc... nie przyjdę dziś wieczorem. Może innym razem.

- Ależ nie. - Eve nie chciała jej rozczarować, nie mogła

pozwoić, by wróciła do swego pustego domu i spędziła resztę tego cudownego dnia w samotności. - Wpadnij do nas. Koniecznie przyjdź. Gerald bardzo się ucieszy. Jeśli go poproszę, przygotuje nam naszą ulubioną lemoniadę.

- No dobrze, jeśli jesteś tego pewna.

Eve kiwnęła głową.

- To cudownie, przyjdę z przyjemnością. Odniosę tylko do domu zakupy i wezmę sadzonki. Będę za jakieś pół godziny.

Rozstały się. Eve, minawszy Sylwię zdążającą do swego małego domu, przejechała przez miasteczko. Mniej więcej sto jardów za ostatnim domkiem zaczynał się ogród Tremenheere. Spoza otaczającego go kamiennego muru wychylały się gęste kępy rododendronów. Brama była otwarta, a prowadząca od niej aleja okalała porośnięty azaliami klomb i kończyła się żwirowanym podjazdem. Wokół drzwi frontowych pięło się kapryfolium i Eve, wysiadając z samochodu, poczuła w ciepłe bezwietrznego wieczoru jego odurzający, słodki zapach.

Nie weszła do domu, lecz ruszyła pod pergolą oplecioną kwitnącymi pnączami do ogrodu na poszukiwanie Geralda. Zobaczyła świeżo skoszony trawnik z równymi, pozostawionymi przez kosiarkę pasami trawy o dwóch odcieniach zieleni. Na wyłożonym płytkami tarasie dostrzegła swego męża. Siedział wygodnie na leżaku, w starej czapce marynarskiej na głowie, z najnowszym numerem *Timesa* na kolanach. W zasięgu jego ręki stała szklanka ginu z tonikiem.

Jego widok, jak zwykle, sprawił jej przyjemność. Jedną z największych zalet Geralda było to, że nigdy nie tracił czasu. Inni znani jej mężowie trwonili całe dni, pozornie zajęci czymś, co w gruncie rzeczy nie przynosiło żadnych efektów. Gerald był zawsze albo bardzo zapracowany, albo bez reszty oddawał się lenistwu. Spędził dzień na koszeniu trawy, a teraz zamierzał przez godzinę lub dwie odpoczywać.

- Witaj, kochanie. - Eve podeszła do niego, oparła dłoń na poręczach leżaka i pochyliła się, by pocałować męża.

- Jak udała się kąpiel?

- Wspaniale.

- Usiądź i opowiedz mi o wszystkim.

- Nie mogę. Muszę nazbierać malin.

- Zostań tu przez chwilę.

Usiadła po turecku u jego stóp. Zerwała małą gałązkę rosnącej w szczelinach między płytkami tarasu wonnej macierzanki i roztarła ją w palcach. W powietrzu uniósł się aromatyczny zapach ziół.

- Przed chwilą spotkałam Sylwię - oznajmiła Eve. - Wpadnie do nas na drinka. Ma dla ciebie sadzonki chryzantem. Powiedziałam jej, że być może przyrządzisz nam naszą ulubioną lemoniadę.

- Czy nie może przyjść kiedy indziej? Alek i Laura najprawdopodobniej zjawią się tu podczas jej wizyty.

- Myślę, że chętnie spotka się z Alekiem. A oni zapowiedzieli, że przyjadą dopiero w porze kolacji. Może... - Zamierzała zasugerować mężowi, że powinni zaprosić Sylwię na kolację, ale Gerald przerwał jej:

- Tylko nie zatrzymuj jej na kolacji.

- Dlaczego?

- Bo Laura z pewnością nie ma jeszcze ochoty na poznanie nowych ludzi, zwłaszcza po dwóch dniach spędzonych w szpitalu i długiej podróży w upale.

- Zawsze czuję się skrępowana, kiedy muszę wypraszać z domu gości, którzy wpadli na drinka, bo właśnie nadeszła pora jedzenia zupy. Wydaje mi się to bardzo niegościnne.

- Ty nie potrafiałabyś być niegościnna. A poza tym, przy odrobinie szczęścia, Sylwia wyjdzie przed ich przyjazdem.

- Nie masz serca, Gerald. Sylwia jest samotna. Jest zupełnie sama. Od śmierci Toma nie upłynęło wiele czasu.

- On nie żyje już od roku. - Gerald zawsze mówił to, co

myślał, i nie uciekał się do eufemizmów - nie jestem bez serca. Bardzo lubię Sylwię i uważam ją za niezwykle atrakcyjną i zabawną kobietę. Ale wszyscy musimy żyć własnym życiem. I nie pozwolę na to, żebyś traciła siły, opiekując się równocześnie wszystkimi swoimi brzydkimi kaczątkami. Muszą stać w ogonku i czekać na swoją kolej. A dziś nadeszła kolej na Laurę.

- Mam nadzieję, że okaże się miła.

- Jestem tego pewien.

- Jak możesz być tego pewien? Nie znosiłeś Eriki. Twierdziłeś, że rozdzieli Aleka z rodziną.

- Nigdy tego nie powiedziałem. Nie widziałem jej na oczy. To Brian jej nie znosił.

- Ale mężczyźni, którzy żenią się powtórnie, często poślubiają dokładną kopię pierwszej żony.

- Nie sądzę, by tak było w przypadku Aleka. Brian pochwała jego wybór.

- Ona jest okropnie młoda. Niewiele starsza od Ivana.

- W takim razie będziesz mogła traktować ją jak córkę.

- Tak. - Eve, rozważając tę sugestię, powąchała gałązkę macierzanki i spojrzała na ogród.

Z tarasu rozciągał się widok na rozległy, świeżo skoszony trawnik, obramowany rzędami kamelii, które w maju pokrywały różowe i białe kwiaty. Szpalery drzew, ze znanstwem sadzone przez jakiegoś nieżyjącego od dawna ogrodnika, tworzyły rodzaj ramy dla odległego krajobrazu. Eve widziała zatokę i trójkątny skrawek morza, upstrzony białymi żaglami małych łódek.

- Gdybyśmy zaprosili również Ivana, mielibyśmy nieparzystą liczbę gości na kolacji, więc moglibyśmy powiedzieć Sylwii... - zaczęła, nadal martwiąc się o przyjaciółkę.

- Nie - przerwał jej Gerald. Utkwił w Eve surowe spojrzenie swych niebieskich oczu. - Absolutnie się nie zgadzam.

- W porządku - skapitulowała. Uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem.

Eve była pierwszą żoną Geralda, a on jej drugim mężem, ale kochała go - choć w całkiem inny sposób - nie mniej niż Philipa Ashby, ojca Ivana. Gerald miał teraz sześćdziesiąt sześć lat. Łysiał, nosił okulary i miał siwe włosy, ale był nadal tak dystygowanym i interesującym mężczyzną, jak wówczas, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Był wtedy dowódcą jej męża i najbardziej atrakcyjnym kawalerem w całej Marynarce. Jako człowiek aktywny i energiczny, zachował szczupłą sylwetkę, a na przyjęciach stale otaczany był przez grono młodych kobiet lub zapędzany w kąty kanapy przez starsze damy, które pamiętały go jako młodzieńca i dotąd były nim oczarowane. Eve nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Wręcz przeciwnie, dodawało jej to pewności siebie i napawało dumą, ponieważ w końcu to ona okazała się kobietą, której szukał, którą zdobył i zabrał do swego domu.

Gerald włożył okulary i ponownie zaczął studiować wyniki rozgrywek krykieta. Eve wstała i weszła do domu.

\* \* \*

Imperium Brytyjskie zostało stworzone przez oficerów Marynarki, właścicieli prywatnych majątków. Choć Gerald Haverstock urodził się sto lat później, ta stara zasada nadal obowiązywała. Sukces w służbie we flocie zawdzięczał przede wszystkim odwadze, zdolnościom i zaradności, ale także temu, że nie bał się ryzyka i często stawiał na szali własną karierę. Robił to, ponieważ mógł sobie na to pozwolić. Kochał Marynarkę i był niezwykle ambitny, ale awans, choć pożądany, nigdy nie był dla niego istotny ze względów finansowych. Jako dowódca stojący w obliczu stresujących dylematów, związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa załogi, kosztownym sprzętem, a także kontaktami międzynarodowymi, nigdy nie wybierał łatwego ani oczywistego wyjścia z sytuacji. To pełne fantazji postępowanie opłaciło się i zapewniło mu opinię człowieka odważnego i opanowanego. Właśnie dzięki tej reputacji uzyskał w końcu prawo do

umieszczenia oficerskich insygniów na masce swego wielkiego, czarnego, służbowego samochodu.

Oczywiście sprzyjało mu również szczęście, a Tremenjeere było jednym z tego dowodów. Kiedy miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, jego zmarła matka chrzestna zapisała mu tę posiadłość w testamencie. W skład masy spadkowej wchodził okazały majątek, zgromadzony w wyniku zręcznych układów handlowych z Koleją Zachodnią. Gerald miał więc zapewniony dobrobyt aż do końca życia. Mógł wystąpić z Marynarki, osiąść w Kornwalii i prowadzić egzystencję posiadacza ziemskiego, ale on zanadto kochał swoją pracę, by to zrobić, więc pozostawił Tremenjeere własnemu losowi aż do dnia, kiedy przeszedł na emeryturę.

Miejscowy rządcą przejął na siebie obowiązki związane z administracją majątku, a folwark wydzierżawiono. Niekiedy wynajmowano również dom. Między okresami wynajmu rezydencji pilnował stróż, a zatrudniony na stałe ogrodnik dbał o trawniki, klomby i dwa otoczone murem ogrody warzywne.

Od czasu do czasu Gerald przyjeżdżał z zagranicy do Tremenjeere na długi urlop i dom wypełniał się rodziną, bratankami i bratanicami oraz przyjaciółmi z Marynarki. Wtedy stara rezydencja wracała do życia, rozbrzmiewając głosami i śmiechem. Na podjeździe stały liczne samochody, dzieci grały na trawniku w krykieta, drzwi i okna były otwarte na oścież, służba zaś przygotowywała wystawne posiłki, które jadano przy wyszorowanym stole kuchennym, a podczas bardziej uroczystych okazji w wykładanej boazerii i oświetlonej płomieniami świec jadalni.

Dom cierpliwie znosił wszystkie te poczynania. Nadal zdobiły go stare, wiktoriańskie meble, należące niegdyś do matki chrzestnej Geralda, wyblakłe zasłony i obicia, fotografie w srebrnych ramkach, obrazy i porcelana.

Eve, przywieziona tu przez Geralda przed sześciu laty jako jego świeżo poślubiona żona, dokonała tylko nielicznych zmian. „Dom jest strasznie zaniedbany - powiedział

jej Gerald - ale możesz z nim zrobić, co zechcesz. Jeśli masz ochotę, przerób całe wnętrze". Ona nie chciała jednak niczego zmieniać, ponieważ Tremenheere wydawało jej się szczytem doskonałości. Panował tu spokój i cisza. Uwielbiała ozdobne, wiktoriańskie meble, niskie fotele, mosiężne łóżka i spłowiałe kwieciste dywany. Nie chciała nawet zmieniać zasłon, a kiedy w końcu zaczęły się kolejno strzępić i rozpadać na kawałki, spędziła wiele dni, szukając w katalogach z próbkami tkanin, które najbardziej przypominałyby dotychczasowe.

Weszła teraz do domu przez oszklone drzwi wiodące z tarasu do salonu. Po jasnym świetle dnia wnętrze wydało jej się chłodne i mroczne. Unosiła się w nim woń pachnących groszków, które tego ranka włożyła do wielkiej wazy i postawiła na stojącym pośrodku pokoju okrągłym, intarsjowanym stole. Szeroki, wyłożony dębową podłogą korytarz prowadził z salonu do hallu. Z korytarza na piętro biegły zdobione rzeźbionymi poręczami drewniane schody. Tu wisiały stare portrety i stała antyczna szafa, służąca niegdyś jako bieliźniarka. Drzwi do sypialni gospodarzy były otwarte. Pierwsze podmuchy wieczornego wiatru poruszały kwiecistymi zasłonami. Eve zdjęła płaszcz kąpielowy oraz kostium, weszła do łazienki i wzięła prysznic, spłukując sól ze swych suchych już włosów. Potem założyła bladorożowe dzinsy i kremową jedwabną bluzkę. Uczesała swe jasne niegdyś, a teraz niemal białe włosy, umalowała usta i skropiła się wodą kolońską.

Uznała, że może już iść po maliny. Wyszła z pokoju i ruszyła w kierunku drzwi u szczytu prowadzących do kuchni schodów. Ale, trzymając dłoń na klamce, zawahała się, zmieniła zdanie i poszła korytarzem do skrzydła, w którym dawniej mieściły się pokoje dziecinne, a obecnie mieszkała May.

- May? - zawołała, stukając do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

- May? - Otworzyła drzwi i weszła do środka. W pokoju

położonym na tyłach domu panował zaduch. Okno, z którego rozciągał się wspaniały widok na dziedziniec i pola, było szczelnie zamknięte. May na starość marzyła i nie widziała powodu, by znosić - jak to nazywała - szalejące przeciągi. Pokój był nie tylko duszny, lecz również zagracony. Poza oryginalnym umeblowaniem dawnej bawialni znajdowało się tu pełno osobistych drobiazgów May, które przywiozła ze sobą z Hampshire: krzesło, politurowany stolik do herbaty, kwiecisty dywan, który otrzymała niegdyś w darze od siostry. Gzymsy kominka ciasno zapełniały porcelanowe pamiątki z nadmorskich kurortów, przemieszane z mnóstwem oprawionych w ramki fotografii Eve lub jej syna, Ivana, jako dzieci. May była bowiem w zamierzchłej przeszłości niańką Eve, a potem, już w mniej odległych czasach, niańką Ivana.

Na środku pokoju stał stół, przy którym May zwykle naprawiała bieliznę lub jadała kolację. Eve dostrzegła na nim album, nożyczki i słoik kleju. Album był dla May nową zabawką. Kupiła go w magazynie Woolwortha podczas jednej ze swych cotygodniowych wypraw do Truro, gdzie zazwyczaj zjadała lunch ze swą starą przyjaciółką i włóczyła się po sklepach. Ten dziecięcy album z wizerunkiem Myszyki Miki na okładce zaczynał już pęcznieć od wycinków. Eve zawahała się, a potem przerzuciła jego kartki. Portret księżnej Walii, żaglowiec, widoczek z Brighton i zdjęcie jakiegoś nieznanego dziecka w kołysce. Były to wycinki z gazet i czasopism, ułożone starannie, ale bez żadnej widocznej koncepcji czy myśli przewodniej.

„Och, ta May” - pomyślała Eve, zamykając album.

- May? - Nadal nie było odpowiedzi. Eve zaniepokoiła się bardzo. W ostatnich czasach stale myślała z lękiem o May, obawiając się najgorszego. Ataku serca albo wylewu. Podeszła do drzwi i zajrzała do sypialni starej niańki, przygotowana na to, że znajdzie ją leżącą na dywanie lub martwą w łóżku. Ale ten pokój również był pusty. Na nocnym stoliku stał mały, tykający głośno zegar, a równo za-



ścielone łóżko przykryte było narzutą, zrobioną kiedyś przez May na szydełku.

Eve zeszła na dół i znalazła May tam, gdzie obawiała się ją znaleźć: krzątała się po kuchni, wkładając naczynia do niewłaściwych szafek. Na ogniu stał dymiący czajnik...

Obowiązki May nie obejmowały pracy w kuchni, ale kiedy Eve tego nie widziała, zawsze zakradała się tam w nadziei, że znajdzie jakieś brudne naczynia do zmywania lub ziemniaki do obrania. Chciała być przydatna, a Eve rozumiała to i starała się przydzielać jej drobne, mniej odpowiedzialne zadania, takie jak łuskanie grochu czy prasowanie serwetek.

Kiedy jednak stara niania zaczynała kręcić się po kuchni na własną rękę, zawsze budziła niepokój Eve. Nogi odmawiały już May posłuszeństwa i stale traciła równowagę, więc aby nie upaść, musiała się o coś opierać. Miała też słaby wzrok i najprostsze czynności, takie jak krojenie jarzyn, parzenie herbaty czy chodzenie po schodach stały się dla niej zajęciami niebezpiecznymi. To spędzało sen z powiek Eve. Żyła w ciągłym strachu, że May się skaleczy, oparzy lub złamie nogę w biodrze i trzeba będzie zabrać ją do szpitala. Nie miała wątpliwości, że May byłaby tam postrachem. Obrażałaby zapewne badających ją lekarzy. Postępowałyby bezsensownie i irracjonalnie, kradnąc winogrona innym pacjentkom lub wyrzucając swe posiłki przez okno. Wzbudziłoby to podejrzenia władz szpitalnych i w końcu May mogłaby wylądować w domu dla umysłowo chorych starców.

Eve przeżywała te koszmary, ponieważ zdawała sobie sprawę, że May dziecinnieje. Album z Myszką Miki nie był jedynym z jej niedorzecznych nabytków. Mniej więcej miesiąc wcześniej przywiozła z Truro dziecinną wełnianą czapkę i teraz, ilekroć wychodziła z domu, naciągała ją na uszy jak pokrowiec na imbryk. List, który miała wysłać, znalazł się po trzech dniach w drzwiach lodówki. Świeżo ugotowaną potrawę wrzuciła do koryta dla świń.

Eve podzieliła się swymi obawami z Geraldem, a on oznajmił jej stanowczo, że nie powinna się niepokoić, dopóki nie ma prawdziwych powodów. Zapewnił ją, że choć May jest być może nieco zwariowana, nie robi nikomu żadnej krzywdy, i o ile nie podpali zasłon ani nie zacznie krzyzczyć nieludzkim głosem w środku nocy, jak biedna pani Rochester, nie ma nic przeciwko temu, by pozostała w Tremeneere aż do śmierci.

- Ale co zrobimy, jeśli będzie miała jakiś wypadek?

- Zaczniemy się martwić, kiedy to się stanie. Jak dotąd nie zdarzył się żaden wypadek.

- Och May, kochana, co robisz? - spytała Eve.

- Nie podoba mi się zapach tego dzbanka na mleko. Właśnie zamierzam go wyparzyć.

- Ależ on jest zupełnie czysty.

- Nie wyparzasz dzbanków przy tej pogodzie i wszyscy dostaniemy biegunki.

May była niegdyś dość zażywną, pulchną kobietą, ale teraz, w wieku niemal osiemdziesięciu lat, schudła tak chorobliwie, że pończochy zwijały się na jej cienkich nogach. Jej palce były zdeformowane i powykrzywiane jak korzenie starego drzewa. Miała wyblakłe oczy krótkowidza.

Była wspaniałą, kochającą, cierpliwą i czułą nianką. Ale już jako młoda kobieta miała zdecydowane poglądy, co niedzielię chodziła do kościoła i była żarliwą zwolenniczką abstynencji. Na starość stała się nietolerancyjna, a jej religijność graniczyła z bigoterią. Kiedy przyjechała z Eve, by zamieszkać w Tremeneere, odmówiła bywania w wiejskim kościele i wynalazła na peryferiach miasta jakąś ponurą, mieszczącą się w obskurnym budynku kaplicę, której proboszcz poświęcał swe kazania niebezpieczeństwom wynikającym z nadużywania alkoholu, a May wraz z resztą wiernych odnawiała śluby dotyczące abstynencji i wyteęzała swój starchy głos podczas zbiorowych płaczących modłów.

- Sama wyparzę ten dzbanek - powiedziała Eve i nalała do niego wrzącej wody z czajnika. May zrobiła kwaśną mi-

nę. Aby ją ułagodzić, Eve musiała wymyślić dla niej jakieś zajęcie. - Och, May, czy byłabyś tak dobra i napełniła solniczki, a potem postawiła je na stole w jadalni. Wszystko przygotowałam, łącznie z kwiatami, ale zapomniałam o soli. Gdzie jest ta duża miska z niebieskim paskiem? - spytała, zaglądając do kredensu. - Chcę do niej nazbierać malin.

May, z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy, zdjęła ją z półki przeznaczonej na rondle.

- O której przyjeżdża pan Alek z żoną?- - spytała, choć Eve informowała ją o tym już ze dwadzieścia razy.

- Mówili, że zjawią się w porze kolacji. Ale pani Marten ma nam przynieść kilka sadzonek... powinna tu być lada chwila i zostanie na drinka. Jeśli ją usłyszysz, powiedz, że admirał jest na tarasie. Zajmie się nią, dopóki nie wrócę.

May zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Taką miną zazwyczaj wyrażała swą dezaprobatę. Eve spodziewała się tego, ponieważ May nie tolerowała ani alkoholu, ani Sylwii Marten. Choć nigdy się o tym nie mówiło, wszyscy - łącznie z May - wiedzieli, że Tom Marten umarł z przepicia. Tragedią Sylwii było nie tylko to, że została wdową, lecz również to, że była biedną wdową. Dlatego Eve tak bardzo jej współczuła i usilnie próbowała jej pomagać oraz okazywała życzliwość.

May uważała Sylwię za kobietę podejrzaną. „Zawsze całuje admirała” - mamrotała niechętnie, a Eve na próżno jej tłumaczyła, że zna ona Geralda niemal od dziecka. May nie dawała się przekonać i uważała, że Sylwią powodują jakieś niskie pobudki.

- Wizyty u nas sprawiają jej przyjemność. Musi czuć się okropnie samotna.

- Hmm... - mruknęła bez przekonania May. - Samotna. Mogłabym powiedzieć ci na ten temat to i owo, ale z pewnością nie zechcesz mnie słuchać.

- Owszem, nie chcę tego słuchać - oznajmiła Eve, tracąc cierpliwość, i położyła kres rozmowie, odwracając się plecami do May i wychodząc przez drzwi prowadzące na osło-

nięty murem od wiatru, a teraz skąpany w promieniach zachodzącego słońca rozległy dziedziniec. Jego cztery boki tworzyły garaże, stara wozownia i domek przeznaczony kiedyś dla służby. Za wysokim murem rozciągał się jeden z wazywników, a pośrodku dziedzińca stał gołębnik, w którym siedziały na grzędach białe gołębie, cicho gruchając i trzepocząc skrzydłami, jakby próbowały zerwać się do lotu. Na rozpiętych między gołębnikiem a ścianą garaży sznurach wisiało czyste i suche pranie: śnieżnobiałe poszewki i ściereczki oraz nieco mniej białe pieluszki. Wszędzie ustawione były skrzynki z pelargoniami lub ziołami. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach rozmarynu.

Kiedy Gerald przeszedł na emeryturę i powrócił do Tremheere na dobre, wozownia oraz domek dla służby od dawna już były puste. Zaniedbane i nie używane, stały się składami zdewastowanych maszyn ogrodniczych, butwiejącej uprzęży i zardzewiałych narzędzi, których widok raził wpojone mu w Marynarce poczucie porządku. W związku z tym nie oszczędził wysiłku ani kosztów, by je odnowić i przebudować. Umeblowane i wyposażone, wynajmowane były na krótkie okresy jako domki letniskowe.

Obecnie oba budynki były zajęte, lecz nie przez urlopowiczów. Syn Eve, Ivan, mieszkał od niemal roku w wozowni, płacąc Geraldowi za ten przywilej spory czynsz. Domek dla służby zajmowała tajemnicza Drusilla ze swym tłuściutkim, opalonym dzieckiem, imieniem Joshua. To właśnie jego pieluszki wisiały na sznurze. Jak dotąd Drusilla w ogóle nie płaciła czynszu.

Ivana nie było w domu. Eve nie widziała jego samochodu, a drzwi frontowe wozowni, obok których stały drewniane skrzynki z różowymi pelargoniami, były zamknięte. Ivan i jego wspólnik, Mathie Thomas, załadowali wczesnym rankiem swą ciężarówkę wzorami mebli wytwarzanych w ich niewielkiej fabryce w Carnellow i wyruszyli do Bristolu w nadziei zebrania stałych zamówień od tamtejszych dużych sklepów. Eve nie miała pojęcia, kiedy wróca.

Drzwi do mieszkania Drusilli były szeroko otwarte, a z wnętrza domku słychać było słodko brzmiące dźwięki fle-  
tu. W ciepłym, pachnącym, wieczornym powietrzu unosiła  
się zachwycająco melodyjna muzyka. Eve rozpoznała jej  
kompozytora, Vill'a-Lobosa.

Drusilla ćwiczyła właśnie grę na flecie. Bóg raczył wie-  
dzieć, co robił Joshua.

Eve westchnęła.

„Nie pozwolę na to, żebyś traciła siły, opiekując się rów-  
nocześnie wszystkimi swoimi brzydkimi kaczątkami”.

- Tyle brzydkich kaczątek - pomyślała Eve. - Sylwia  
i Laura, i May, i Drusilla, i Joshua, i...

Przerwała tok swych myśli. Nie. Nie Ivan. Ivan nie był  
brzydkim kaczątkiem. Był trzydziestotrzyletnim mężczy-  
zną, dyplomowanym architektem i człowiekiem całkowicie  
niezależnym. Może irytującym i atrakcyjnym w stopniu  
niebezpiecznym dla siebie samego, ale umiejącym trosz-  
czyć się o swoje sprawy.

- Pójdę nazbierać malin - powiedziała do siebie Eve. -  
Nie będę martwić się o Ivana.

Kiedy wróciła do domu, Sylwia już była. Siedziała wygod-  
nie na tarasie, gawędząc z Geraldem. Podczas gdy Eve zbiera-  
ła maliny, Gerald zakrzętnął się i przygotował tacę z drin-  
kami, szklankami, plasterkami limony oraz kubkiem lodu  
i umieścił ją na stojącym między nimi niskim stole.

Sylwia dostrzegła Eve i uniosła swoją szklankę.

- Otóż i jestem! Gerald wspaniale się mną zajął.

Eve przysunęła sobie krzesło i usiadła obok męża.

- Czego się napijesz, kochanie?

- Lemoniady.

- Z plasterkiem limony... cóż za luksus... - stwierdziła  
Sylwia. - Gdzie je dostałaś? Od lat ich nie widziałam.

- W supermarkecie w mieście.

- Powinnam tam pojechać i kupić trochę, zanim znikną.

- Przepraszam, że nie było mnie, kiedy przyszłaś. Czy  
znalazałaś Geralda bez trudu?

- No cóż, niezupełnie - odparła Sylwia z chłopięcym uśmiechem. - Weszłam do domu i wołałam. Wydawało się to dość bezsensowne, bo nikogo nie było w pobliżu. W końcu May przyszła mi na ratunek i powiedziała, że Gerald jest tutaj. Muszę przyznać - zmarszczyła nos - że nie była zachwycona moim widokiem. Ale, na dobrą sprawę, nigdy nie jest nim zachwycona.

- Nie powinnaś zwracać na nią uwagi.

- Jest dziwną staruszką, prawda? Czy wiecie, że kiedy przed kilku dniami spotkałam ją w miasteczku, miała na głowie, mimo piekielnego upału, niezwykłą, wełnianą czapkę. Nie wierzyłam własnym oczom. Musiała umierać z gorąca.

Eve usiadła wygodniej na krześle, pokiwała głową i uśmiechnęła się, nie wiedząc, czy jest bardziej zaniepokojona, czy rozbawiona.

- Och, wiem, moja droga. Czy to nie okropne? Kupiła ją w Truro parę tygodni temu i od tej pory się z nią nie rozstaje. - Odruchowo ściszyła głos, choć istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by May - gdziekolwiek była - mogła ją przypadkowo usłyszeć. - Kupiła też sobie album z Myszką Miki na okładce i zaczęła wklejać do niego różne wycinanki z gazet.

- Nie ma w tym nic strasznego - zauważył Gerald.

- Nie. To jest po prostu... zaskakujące. Dziwne. Doszło do tego, że nigdy nie wiem, co może jeszcze zrobić. Ja... - Urwała, zdając sobie sprawę, że powiedziała już za dużo.

- Czy nie sądzisz, że jest zbzikowana? - Sylwia sprawiała wrażenie przerażonej.

- Ależ skąd, wcale tak nie myślę - odparła stanowczo Eve, nie zamierzając z nikim dzielić swych obaw. - Po prostu starzeje się.

- No cóż, sama nie wiem, ale uważam, że oboje z Geraldem postępujecie jak święci ludzie, opiekując się tą staruszką.

- Nie jestem świętą. Spędziłam z May większą część

swego życia. Przez całe lata opiekowała się mną, a potem Ivanem. Kiedy działo się coś złego, zawsze była przy mnie, niewzruszenie jak skała. Gdy Philip był taki chory... no cóż, nie dałabym sobie bez niej rady. Nie, nie jestem świętą. Jeśli ktoś jest świętym, to Gerald... przygarnął ją po naszym ślubie i zapewnił jej dach nad głową.

- Nie miałem wielkiego wyboru - wtrącił Gerald. - Kiedy poprosiłem Eve o rękę, odparła, że jeśli za mnie wyjdzie, będę zmuszony ożenić się również z May. - Nalał swojej żonie lemoniady i podał jej szklanę.

- Czy May nie odczuwała żalu, porzucając Hampshire i przenosząc się tutaj?

- Ależ nie, przyszło jej to z łatwością.

- Była na naszym ślubie - dodał Gerald - i miała na głowie niezwykle kapelusz, przypominający udekorowaną różami puszkę na ciastka. Wyglądała jak bardzo stara, bardzo niezadowolona druhna.

- Czy spędziła z wami również miesiąc miodowy? - spytała ze śmiechem Sylwia.

- Nie, nie zgodziłem się na to. Ale zanim wróciliśmy do Tremeneheere, zdążyła już się tu urządzić, a nawet sporządzić krótką, dokładną listę swoich zastrzeżeń.

- Och, Gerald, to niesprawiedliwe...

- Wiem. To był tylko żart. Poza tym, dzięki temu, że tu mieszka, mam wyprasowane koszule i pocerowane skarpetki, choć prawdę mówiąc, znalezienie ich zajmuje co najmniej godzinę, bo zawsze wkłada je do niewłaściwej szuflady.

- Pierze też wszystkie rzeczy Ivana - oznajmiła Eve - i jestem pewna, że ma wielką ochotę zająć się zszarzałymi pieluszkami Joshuy i dobrze je wygotować. Podejrzewam, że w gruncie rzeczy ma wielką ochotę zająć się również i nim samym, ale jak dotąd nie zrobiła w tej sprawie żadnego kroku. Przypuszczam, że instynkty niańki walczą w niej z zastrzeżeniami, jakie żywi wobec Drusilli.

- Drusilla. - Sylwia powtórzyła to niezwykle imię. - Kie-

dy się nad tym zastanowić, nie można by jej nazwać inaczej niż Drusilla, prawda? Zupełnie dziwaczne imię. Jak długo zamierza tu zostać?

- Nie mam pojęcia - odparł spokojnie Gerald.

- Czy trochę wam nie przeszkadza?

- Zupełnie nie - zapewniła ją Eve. - Bardzo rzadko ją widzimy. W gruncie rzeczy jest przyjaciółką Ivana. Od czasu do czasu przesiadują wieczorami na kuchennych krzesłach przed jej domkiem, popijając wino. Kiedy tak siedzą pośród sznurów do suszenia bielizny, gruchających gołębi i pelargonii, wyglądają na przedstawicieli artystycznej bohemy i Tremenheere przypomina nagle jakiś placyk w Neapolu lub jeden z tych małych hiszpańskich dziedzińców. Ładny widok. Czasami Drusilla ćwiczy grę na flecie. Grała dziś wieczorem. To bardzo romantyczne.

- Czy właśnie teraz z Ivanem piją wino w cieniu sznurów do suszenia bielizny?

- Nie, Ivan i Mathie na cały dzień pojechali do Bristolu, próbując rozkręcić swoje interesy.

- Jak idzie fabryka?

- O ile nam wiadomo, dobrze - odparł Gerald. - Jak dotąd jeszcze nie bankrutują. Sylwia, twoja szklanka jest pusta... czy mogę ci nalać?

- No cóż... - Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. - Czy Alek i jego żona nie zjawią się tu lada chwila?...

- Ale jeszcze ich nie ma.

- Wobec tego napiję się z przyjemnością... ale potem będę musiała was opuścić.

- Czuję się okropnie - powiedziała Eve - nie zapraszając cię na kolację, ale sądzę, że Laura będzie wyczerpana i najprawdopodobniej zjemy wczesny posiłek, żeby mogła położyć się do łóżka.

- Chciałabym ją poznać....

- Musisz wpaść któregoś wieczora na kolację, kiedy będę już wiedziała, jak znosi życie towarzyskie.

- ... i chętnie zobaczyłabym się z Alekiem.



- Możesz to zrobić, kiedy przyjedzie po nią w powrotnej drodze ze Szkocji.

- Gdy był tu po raz ostatni, Tom jeszcze żył... Och, dziękuję, Geraldzie. Pamiętacie? Poszliśmy wszyscy razem na kolację do Lobster Pot.

„Tak - pomyślała Eve - i Tom upił się do nieprzytomności”. Zastanawiała się, czy Sylwia również o tym pamięta, i doszła do wniosku, że chyba nie, bo inaczej nie wspominałaby o tym zdarzeniu. Być może błogosławiony upływ czasu przytępił jej pamięć, zacierając złe chwile, a pozostawiając jedynie szczęśliwe wspomnienia. Eve po śmierci Philipa nie pamiętała złych chwil, wspominając tylko dwadzieścia pięć lat przyjaźni, radości i miłości. W porównaniu z Sylwią miała w życiu naprawdę dużo szczęścia. Los rozdzielał swe łaski w sposób bardzo niesprawiedliwy.

Słońce stało już nisko nad horyzontem. Było chłodniej, ale zaczynały kąsać komary. Sylwia odpędziła jednego dłonią, potem usiadła wygodniej na krześle i spojrzała na świeżo skoszony trawnik.

- Tremenheere zawsze wygląda tak schludnie - powiedziała. - Nie widać żadnych chwastów. Nawet na ścieżkach. Jak sobie z nimi radzisz, Geraldzie?

- Niestety spryskuję je specjalnymi preparatami chwastobójczymi - przyznał się Gerald.

- Tom też je stosował, ale ja używam po prostu motyki. Uważam, że to daje lepsze rezultaty, a one nie odrastają. Skoro już o tym mowa, spotkałam pastora, który powiedział mi, że w przyszłym miesiącu podczas kiermaszu masz prowadzić kiosk ogrodniczy. Czy może potrzebne będą ci sadzonki?

- Oczywiście.

- Z pewnością znajdę coś dla ciebie w mojej szklarni. - Sylwia dopiła drugiego drinka. Odstawiła pustą szklanekę i sięgnęła po swoją torebkę, szykując się do odejścia. - Wezmę kilka sadzonek tych małych pelargonii, które mają liście o cudownym cytrynowym zapachu...

Eve przestała ich słuchać. W wieczornej ciszy dobiegł jej uszu cichy warkot nadjeżdżającego drogą od strony miasteczka samochodu. Zwolnił i wjechał przez bramę; usłyszała chrzęst opon na żwirowanej alejce. Zerwała się na równe nogi.

- Przyjechali!

Wszyscy troje przeszli po trawniku i minęli pergolę, by powitać nowo przybyłych gości. Przed domem, obok małego podniszczonego samochodu Sylwii, było zaparkowane wspaniałe ciemnoczerwone BMW. Alek stał już przy otwartych drzwiach i wyciągał rękę, by podtrzymać wysiadającą żonę.

Na pierwszy rzut oka Laura wydała się Eve zaskakująco młoda. Była szczupłą dziewczyną o ciemnych oczach i gestych ciemnych włosach, swobodnie opadających na ramiona. Ubrana była jak nastolatka, w wytarte džinsy i luźną, niebieską, bawełnianą koszulę, a na bosych stopach miała sandały. W ramionach trzymała małą, długowłosą jamniczkę, która zdaniem Eve wyglądała jak skrzyżowanie lisa z wiewiórką.

- Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby Lucy pozostała tu razem ze mną? - spytała Laura.

\* \* \*

Sylwia jechała swym małym samochodem do domu. Z silnika dochodził jakiś dziwny stukot, którego źródła nie potrafiła wytłumaczyć, a ssanie nie działało chyba prawidłowo. Brama wjazdowa do jej domu z namalowanym na niej napisem „Roskenwyn” była otwarta. Sylwia zawsze uważała, że to zbyt pretensjonalna nazwa dla tak niewielkiego i niepozornego domu, ale nosił on ją już wtedy, kiedy go kupili, a ani ona, ani Tom nie potrafili wymyślić nic lepszego.

Zaparkowała przed drzwiami frontowymi, wzięła z fotela torebkę i weszła do domu. W zagraconym korytarzu panowała śmiertelna cisza. Sprawdziła, czy nie ma poczty, za-

pominając o tym, że widziała, jak listonosz minął już jej dom i nic dla niej nie zostawił. Położyła torebkę u podnóża schodów. Czuła się przytłoczona ciszą, którą zakłócało tylko powolne tykanie stojącego na półpiętrze zegara.

Minęła przedpokój i weszła do saloniku tak małego, że znalazło się w nim miejsce tylko na kanapę, parę foteli i biurko, nad którym wisiały półki z książkami. W kominku leżał pokryty warstwą kurzu popiół.

Znalazła papierosa, zapaliła i włączyła telewizor; naciskała przełączniki kanałów, ale wszystkie programy wydały jej się nudne, więc wyłączyła odbiornik. Głosy spikerów zamilkły i znów zapadła przytłaczająca cisza. Była dopiero ósma. Rozsądek nie pozwalał jej pójść do łóżka jeszcze przez co najmniej dwie godziny. Pomyślała, że należy sobie drinka, ale wypła już dwa z Eve i Geraldem, a starała się nie nadużywać alkoholu. Była pora kolacji, ale ona nie czuła głodu.

Prowadzące do ogrodu oszklone drzwi były otwarte. Wrzuciła niedopałek papierosa do kominka i wyszła na dwór. Teraz, kiedy słońce już niemal zaszło, na trawnik padały ciemne, wydłużone cienie. Wzięła z kosza sekator, podeszła do zdobiącego trawnik klombu róż i zaczęła machinalnie obcinać zwiędłe kwiaty.

Zahaczyła brzegiem sukni o jakąś sterczącą gałązkę. Niecierpliwie szarpnęła materiał i niechcący zaczęła kciukiem o ostry, wystający kolec.

Syknęła z bólu i uniosła rękę, by obejrzyć skaleczone miejsce. Z maleńkiej bolesnej rany sączyła się krew. Kropek, kropla, mała strużka krwi. Sylwia obserwowała miniaturowy, purpurowy strumyk, spływający po dłoni.

Do jej oczu napłynęły łzy współczucia dla samej siebie. Stała w pośepnym świetle zmierzchu, obezwładniona przez żałosne poczucie samotności, krwawiąc i płacząc nad własnym losem.

\* \* \*

W porównaniu z sypialnią na Abigail Crescent pokój z kominkiem i kwiecistym różowym dywanem, który przygotowano dla Laury i Aleka, wydawał się ogromny. Z dwóch wysokich okien zwisały spłowiałe, wzorzyste zasłony. Na wielkim, mosiężnym łóżku leżały lniane prześcierała i duże puchowe poduszki, starannie ozdobione mereżką i haftami. Mahoniowa toaletka przeznaczona była dla Laury, a wysoka komoda dla Aleka. Otwarte drzwi prowadziły do łazienki, która niegdyś pełniła rolę garderoby. Ponieważ przerobienie jej polegało jedynie na zastąpieniu łóżka wanną, również w tym pomieszczeniu znajdował się kominek i dywan, na którym stały dwa wygodne krzesła.

Laura leżała w łóżku, czekając na Aleka. Tuż po kolacji opuściła towarzystwo, dosyć wyczerpana podróżą, a Alek został na dole, w jadalni, popijając z Geraldem porto i dyskutując o naprawie świata. Siedzieli na odsuniętych od stołu krzesłach, a w powietrzu unosił się mocny zapach cygar.

Laura oddychała atmosferą przyjemnego spokoju. Osłabiona po przebytej operacji, skłonna do płaczu i pełna lęków, bała się tej długiej wizyty, samotności i towarzystwa obcych osób. Ukrywała te obawy przed Alekiem, aby w ostatniej chwili nie zmienił zdania i nie zrezygnował z wyjazdu do Glenshandra, gdzie czekały na niego bogate łowiska łososi, ale w miarę zbliżania się do celu podróży coraz częściej pograżała się w milczeniu.

Bała się, że Tremenheere będzie przytłaczająco majestatyczne; że błyskotliwy Gerald będzie nadmiernie wysublimowany; że nie będzie miała o czym rozmawiać z Eve; że oboje uznają ją za okropną hipochondryczkę i zaczną przeklinać dzień, w którym dali się Alekowi namówić na ten eksperyment.

Ale wszystko zapowiadało się dobrze. Niekłamana radość, malująca się na twarzach gospodarzy, ich widoczna sympatia dla Aleka i gorące powitanie rozproszyły wątpliwości Laury i jej nieśmiałość. Nawet pojawienie się Lucy

przyjęli bez zastrzeżeń. Sam zaś dom nie był majestatyczny, jak sobie wyobrażała, lecz świadomie zaniedbany. Na tyle, by panowała w nim atmosfera beztrudnej przytulności. Laura mogła od razu wziąć kąpiel, o której marzyła bardziej niż o czymkolwiek innym na świecie. Potem wypili w salonie po kieliszku sherry, a następnie przenieśli się do wykładanej boazerią i oświetlonej blaskiem świec jadalni, której ściany zdobiły wiktoriańskie obrazy o tematyce marynistycznej. Na kolację podano pstragi z rusztu i sałatę, a na deser maliny ze śmietaną.

- To są maliny z naszego ogrodu - oznajmiła Eve. - Jutro nzebieramy ich więcej. Nawet jeśli wszystkich nie zjemy, możemy włożyć je do zamrażarki.

Jutro. Jutro Aleka już nie będzie.

Zamknęła oczy i poruszyła stopami, które zaczynały jej drętwieć, ponieważ leżała na nich ukryta pod kołdrą Lucy. Laura miała wrażenie, że pod chłodnym, gładkim, lnianym prześcieradłem jest lekka i bezcielesna... Nie odczuwała żadnego bólu po operacji, ale była wyczerpana i ociężała, więc z rozkoszą znalazła się w końcu w łóżku.

Jeszcze nie spała, kiedy wrócił Alek. Zamknął drzwi, podszedł do łóżka i pocałował ją w czoło. Potem odchylił kołdrę, wyjął Lucy z jej kryjówki i włożył ją do stojącego obok kominka koszyka. Lucy, oburzona takim traktowaniem, spojrzała na niego z chłodnym wyrzutem, ale uśmiechnęła się i pozostała na swym legowisku. Wiedziała, że poniosła porażkę.

Alek, odwrócony plecami do Laury, opróżnił swe kieszenie i ułożył starannie klucze, zegarek, drobne pieniądze i portfel w równym rzędzie na blacie komody. Rozluźnił krawat i zdjął go przez głowę.

Laura obserwowała go i doszła do wniosku, że czuje się bezpieczna, leżąc w łóżku i czekając na swego męża. Przypomniała sobie, jak przed laty, po jakiejś niegroźnej, dziecięcej chorobie pozwolono jej spać razem z matką. Leżała wtedy, tak jak teraz, i obserwowała spod półprzymkniętych

powiek matkę, która szczotkowała włosy, smarowała kremem twarz i wkładała cienką koszulę nocną.

Alek pogasił światła i położył się obok niej. Laura uniosła głowę, by mógł wsunąć pod nią swe ramię. Teraz naprawdę byli razem. Odwrócił się do niej i objął ją drugą ręką w talii. Jego palce poruszały się powoli, pieszczotliwie i łagodnie. Przez otwarte okna wpadało ciepłe nocne powietrze, przepełnione tajemniczymi zapachami i cichymi, nieznanymi odgłosami wsi.

- Będzie ci tu dobrze - powiedział.

To było stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

-Tak.

- Pokochali cię. Uważają, że jesteś czarująca. - **Wyczuła** w jego głosie nutkę zadowolenia.

- To wspaniałe miejsce, a oni są wspaniałymi ludźmi.

- Zaczynam tracić ochotę na wyjazd do Szkocji.

- Alek!

- Tremenheere zawsze tak na mnie działa.

Laura pomyślała, że inne kobiety, inne żony, bardziej pewne siebie, odparłyby na taką uwagę z przekazem: „Tremenheere! Sądziłam, że to ze mną nie chcesz się rozstać”. Ale ona nie miała dość odwagi, by zdobyć się na taką dokuczliwość.

- Kiedy tylko wyjedziesz za bramę - powiedziała - zaczniesz cieszyć się na myśl o Glenshandra. - Wiedziała, że reszta towarzystwa będzie już tam na niego czekać. Jego starzy przyjaciele. Zostanie wchłonięty przez swe dawne, nie związane z nią życie, o którym wiedziała zbyt mało, a równocześnie zbyt dużo. Jej oczy wypełniły się łzami. Ale przecież tego właśnie chciała. - W magazynach zawsze zapewniają, że sporadyczne rozstania dodają małżeństwu smaku - powiedziała, starając się zachować naturalny ton głosu.

- To brzmi jak jakiś przepis kulinarny.

- Dziesięć dni to naprawdę nie jest długo - wykrztusiła przez łyżki.

Otarła oczy. Alek pocałował ją.

- Kiedy po ciebie przyjadę - powiedział - mam nadzieję, że będziesz gruba, opalona i zdrowa. A teraz już śpij.

Nastawił budzik, który następnego ranka o wpół do szóstej przeraźliwie zadzwonił, wyrывая ich ze snu. Alek wstał, a Laura została w łóżku. Drzemała, gdy kąpał się i golił, a potem patrzyła, jak ubiera się i wrzuca kilka swoich rzeczy do neseseru. Kiedy był gotowy, Laura również wstała, włożyła szlafrok i wyjęła Lucy z koszyka. Wyszli z pokoju i ruszyli schodami na dół. Stary dom i jego mieszkańcy nadal byli pogrążeni we śnie. Alek otworzył drzwi frontowe. Na dworze budził się chłodny, mglisty świt. Laura postawiła Lucy na ziemi i dygocząc z zimna obserwowała, jak Alek pakuje do samochodu swój neseser, a potem wyciera szmatką z szyb poranną rosę.

- Laura - powiedział, odwracając się do niej.

Podeszła do niego, a on wziął ją w ramiona. Przez sweter i koszulę czuła bicie jego serca. Zdała sobie sprawę, że będzie przez cały dzień jechał na północ wielkimi autostradami prowadzącymi do Szkocji.

- Jedź ostrożnie - poprosiła.

- Postaram się.

- Zatrzymaj się na noc, jeśli będziesz zmęczony.

- Dobrze.

- Jesteś zbyt drogi, by cię utracić.

Uśmiechnął się, pocałował ją i wypuścił z objęć. Wsiadł do samochodu, zapiął pas i zatrzasknął drzwi. Uruchomił potężny silnik. Po chwili ruszył, okrążył obsadzany azaliami gazon i wyjechał przez bramę na wiodącą do miasteczka drogę. Laura stała, nasłuchując, dopóki warkot samochodu nie ucichł w oddali. Wtedy dopiero zawołała Lucy, weszła do domu i wróciła do sypialni. Była zziębnięta, ale kiedy położyła się z powrotem do łóżka, poczuła rozkoszne ciepło, ponieważ przed zejściem na dół Alek włączył elektryczny koc.

Spała do południa, a kiedy się obudziła, pokój zalany był jasnymi promieniami słońca. Wstała z łóżka, podeszła

do okna i wychyliła się, opierając nagie przedramiona o rozgrzany parapet. Ogród skąpany był w upale, jaki przyniósł ze sobą kolejny pogodny dzień. Jakiś mężczyzna w kombinezonie krzątał się przy grządkach z kwiatami; odległe morze wyglądało jak puchar błękitu.

Laura ubrała się i zeszła do kuchni, skąd dobiegały różne dźwięki i głosy. Eve, przepasana fartuszkim, mieszała coś na kuchni, a jakaś staruszka siedziała przy stole i łuskała groszek. Kiedy weszła, obie podniosły na nią wzrok.

- Przepraszam, że zjawiam się tak późno.

- Nic nie szkodzi, przecież powinnaś się wysypiać. Czy Alek wyjechał bez przeszkód?

- Tak, mniej więcej za piętnaście szosta.

- Och, Laura, to jest May... nie spotkałaś jej wczorajszego wieczora. May mieszka tu z nami.

Laura i May uściśniły sobie dłonie. Ręka May była wilgotna od groszku i powykrzywiana przez artretyzm.

- Miło mi panią poznać.

- Mnie również - odparła May i ponownie zabrała się do łuskania groszku.

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Nie musisz. Przecież powinnaś odpoczywać.

- Jeśli nie pozwolisz mi nic robić, poczuję się zupełnie bezużyteczna.

- W takim razie - Eve odstawiła rondel i schyliła się nad szafką, szukając miski - będziemy potrzebować więcej malin na dzisiejszy wieczór.

- Gdzie mam je zebrać?

- Pokażę ci.

Wyprowadziła ją na dziedziniec i wskazała wiodącą do warzywnika furtkę.

- Krzaki malin są tam, na samym końcu, pod siatką, żeby ptaki nie zjadały owoców. Jeśli zobaczysz kogoś zrywającego groszek, będzie to Drusilla. Pozwoliłam jej trochę sobie zebrać.

- Kim jest Drusilla?



- Mieszka tam, w tym domku. Gra na flecie. Ma synka imieniem Joshua. Sądzę, że jest teraz razem z nią. Ona wygląda nieco dziwnie, ale jest zupełnie nieszkodliwa.

Ogród warzywny musiał być bardzo stary. Równe, prostokątne grządki oddzielone były od siebie bukszpanowymi żywopłotami. Otaczające warzywnik mury chroniły go przed podmuchami wiatru, więc panował tu straszny upał. W powietrzu unosił się zapach bukszpanu, mięty, tymianku i świeżo skopanej ziemi. Laura weszła na ścieżkę. Na jej końcu stał olbrzymi, staroświecki wózek dziecienny, w którym leżał jakiś gruby, bardzo opalony chłopczyk. Był nagi i nie miał na sobie nawet kapelusza od słońca. Jego matka, ukryta w gąszczu pnącego groszku, zajęta była pracą.

Laura przystanęła, by przyjrzeć się z zachwytem dziecku. Zaniepokojona Drusilla uniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się.

- Dzień dobry - powiedziała Laura.

- Dzień dobry. - Drusilla odstawiła swój koszyk i podeszła bliżej, by z nią pogawędzić. Splotła ręce na piersiach i oparła się ramieniem o jakiś słupek.

- Śliczne dziecko.

- Ma na imię Joshua.

- Wiem. Powiedziała mi o tym Eve. **Jestem Laura Haverstock.**

- A ja Drusilla.

Mówiła z wyraźnym, północnym akcentem, co było dość zaskakujące, ponieważ wyglądała bardzo egzotycznie. Była tak drobna i szczupła, że trudno było uwierzyć, iż urodziła tak tłuste dziecko jak Joshua. Miała jasne oczy i burzę gęstych, Inianych włosów, które wyglądały, jakby nigdy nie widziały nożyczek. Starając się w jakiś sposób nad nimi zapanować, Drusilla przewiązała głowę kawałkiem wstążki, powyżej której jej włosy wybrzuszały się jak czepek kąpielowy, poniżej zaś sterczały niesfornie na boki.

Jej ubiór był równie niekonwencjonalny jak fryzura. Miała na sobie czarny podkoszulek, pod którym rysował się

biust tak płaski, jakby była jeszcze dzieckiem. Mimo upa-  
 łu, nosiła aksamitną marynarkę, obszytą tu i ówdzie skraw-  
 kami pociętego przez mole futra. Długa obszerna spódnica  
 z grubej wełny sięgała jej niemal do kostek, odsłaniając  
 bosa, brudne stopy.

Ten dziwny zestaw części garderoby uzupełniały licz-  
 ne dodatki: jeden zwisający z jej ucha i ozdobiony niebie-  
 skimi kamykami kolczyk, sznur paciorków oraz kilka srebr-  
 nych łańcuszków. Na przegubach jej szczupłych rąk  
 pobrzękiwały bransoletki, a na drobnych, zaskakująco deli-  
 katnych palcach lśniły liczne pierścionki. Widząc jej dło-  
 nie, można sobie było wyobrazić, jak gra na flecie.

- Eve uprzedziła mnie, że cię tu spotkam. Mam nazbie-  
 rać dla niej trochę malin.

- Rosną tam dalej. Przyjechałaś wczoraj wieczorem,  
 prawda?

- Zgadza się.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Myślę, że jakieś dziesięć dni.

- Eve mówiła, że nie czujesz się dobrze.

- Spędziłam parę dni w szpitalu. To nic poważnego.

- Tu poczujesz się lepiej. To spokojne miejsce. Czy nie  
 sądzisz, że przechodzą tędy korzystne prądy powietrzne?

Laura przyznała jej rację.

- Eve jest wspaniała. I dobra. Pożyczyła mi ten wózek,  
 bo nie miałam w czym wozić Josha. Zwykle nosiłam go  
 w starym kartonowym pudle, a on waży chyba z tonę. Od-  
 kąd mam wózek, życie stało się łatwiejsze.

- Wyobrażam sobie.

- No cóż - Drusilla oderwała ramię od słupka, o który  
 się opierała - muszę wracać do roboty. Dziś na lunch bę-  
 dziemy mieli groszek, prawda, mój maleńki? Groszek i ma-  
 karon. Josh bardzo to lubi. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Drusilla ponownie zniknęła w gąszczu liści, a Laura,  
 z miską w ręku, ruszyła na poszukiwanie malin.

\* \* \*

Tego popołudnia Eve i Laura wylegiwały się w ogrodzie na leżakach, które Eve ustawiła w pstrokatym cieniu drzewa morwy, ponieważ panował zbyt duży upał, by siedzieć w pełnym słońcu. Gerald pojechał do Falmouth na jakieś spotkanie w klubie żeglarskim, a May, skończywszy zmywanie naczyń, poszła do siebie na górę.

- Mogłybyśmy pojechać na plażę - powiedziała Eve, ale po krótkiej dyskusji uzgodniły, że jest zbyt gorąco, by wsiąść do samochodu, nawet mając w perspektywie kuszącą morską kąpiel. Zasiadły więc w ogrodzie. Było tu bardzo przyjemnie; w powietrzu unosił się zapach róż i rozbrzmiewał śpiew ptaków.

Eve przyniosła ze sobą materiał obiciowy i pracowicie go zszywała, natomiast Laura rozkoszowała się beczynnością, obserwując małą, rudą sylwetkę Lucy, która z zadartym ogonem radośnie węszyła po grządkach i zaroślach, tropiąc króliki. Kiedy w końcu znudziło jej się to interesujące zajęcie, przebiegła przez trawnik i zwinnie wskoczyła na kolana swej pani. Głaszcząc ją, Laura poczuła, że jej sierść jest aksamitna i nagrzana.

- To urocze zwierzątko - powiedziała Eve. - Jest taka grzeczna. Od jak dawna ją masz?

- Mniej więcej od trzech lat. Mieszkała ze mną w Fulham. Zazwyczaj zabierałam ją do pracy i spała pod moim biurkiem. Nauczyła się grzecznie zachowywać.

- Nie wiem nawet, co robiłaś, zanim wyszłaś za Aleka.

- Pracowałam przez piętnaście lat w pewnym wydawnictwie. Trzymanie się jednego miejsca przez tak długi czas świadczy o braku przedsiębiorczości, ale czułam się tam dobrze i doszłam do stanowiska redaktora.

- Dlaczego świadczy o braku przedsiębiorczości?

- Och, sama nie wiem. Inne dziewczęta podejmowały tak śmiałe działania... na przykład były kucharkami na jachtach lub podróżowały autostopem do Australii. Ale ja nigdy nie miałam za dużo fantazji.

Zapadła chwila ciszy. Nawet w cieniu drzewa panował okropny upał. Laura zamknęła oczy.

- Zaczęłam szyć obicia na krzesła do jadalni - powiedziała Eve. - Uszyłam tylko dwa, a zostało mi jeszcze osiem. Jeśli będę robiła to w takim tempie, umrę, zanim skończę.

- Wasz dom jest taki uroczy. Tak pięknie go urządziłaś.

- To nie ja tak pięknie go urządziłam. Był już taki, kiedy tu nastalam.

- Chyba trudno go prowadzić. Czy masz kogoś do pomocy?

- Och, tak. Mamy ogrodnika, który mieszka w miasteczku, a jego żona przychodzi pomagać mi niemal codziennie rano. Ponadto jest jeszcze May, choć ostatnio nieco się postarzała... Wiesz, ona dobiega osiemdziesiątki. Trudno wyobrazić sobie osobę, która naprawdę pamięta czasy sprzed pierwszej wojny światowej, z przełomu stuleci. Ale May dokładnie pamięta okres swego dzieciństwa, pamięta każdy szczegół. Nie pamięta natomiast, gdzie schowała skarpetki Geralda ani kto dzwonił i prosił mnie o telefon. Mieszka z nami, bo była moją niańką, a potem opiekowała się Ivanem.

Ivan. Alek opowiadał Laurze o Ivanie. Poznał go na ślubie Eve i Geralda. W wyniku jakiejś pomyłki przy układaniu terminarza swego życia towarzyskiego Ivan pojawił się na nim nie z jedną dziewczyną, lecz z dwoma, które w dodatku wzajemnie się nie znosiły. Syn Eve ukończył architekturę, został zatrudniony przez jakąś firmę w Cheltenham i otrzymał stanowisko, które otwierało mu drogę do kariery, ale popsuł sobie opinię, ogłaszając, że się żeni z pewną dziewczyną, a potem wycofując się. To nie byłoby jeszcze najgorsze, gdyby nie fakt, że Ivan odwołał swój ślub dopiero wtedy, kiedy goście otrzymali już zaproszenia i przysłali prezenty, a ogromny namiot, w którym miało odbyć się weselne przyjęcie, został już przygotowany. Zanim jeszcze ucichły reperkusje tego skandalicznego postępk,

Ivan porzucił swą pracę i przeniósł się do Kornwalii. W świetle tej opowieści nie wydawał się człowiekiem zbyt odpowiedzialnym.

- Ivan jest twoim synem, prawda?

- Tak. Moim synem, ale nie Geralda. Och, zapomniałam, że jeszcze go nie poznałaś. Mieszka w wozowni na tyłach dziedzinka. Pojechał do Bristolu w jakichś interesach. Chyba już wrócił. Może to dobry znak. Mam nadzieję, że sprzedał mnóstwo mebli.

- Sądziłam, że jest architektem.

- Tak, ale uruchomił małą fabrykę w nie używanej kapiicy w Carnellow... około sześciu mil stąd, na wrzosowisku. Ma współnika, Mathie Thomasa. Poznał go w jakimś pubie. To bardzo miły człowiek.

- Chyba cieszysz się, że mieszka tak blisko.

- Nie widzujemy go zbyt często.

- Czy on i Gerald pozostają w dobrych stosunkach?

- Och, tak. Przepadają za sobą. Ale widzisz, Gerald przyjaźnił się blisko z ojcem Ivana, więc zna go od dziecka.

- Moim zdaniem Gerald jest wspaniały - powiedziała Laura bez namysłu i sama się zdziwiła, że pozwoliła sobie na tak spontaniczną uwagę. Ale Eve nie tylko nie była zakłopotana, ale wręcz zachwycona.

- Och, to prawda. Cieszę się, że ty też tak uważasz.

- Jest bardzo przystojnym mężczyzną.

- Powinnaś była go zobaczyć w czasach jego młodości.

- Już wtedy go znałaś?

- Och, tak, ale niezbyt dobrze, po pierwsze, byłam wówczas żoną Philipa, a po drugie, Gerald był jego dowódcą, a ja starałam się zachować dystans i traktowałam go z repektem. Potem, kiedy obaj przeszli na emeryturę i Gerald osiadł w Kornwalii, a my zamieszkaliśmy w Hampshire, przez jakiś czas nie widywaliśmy się. Później Philip... zachorował. Gerald odwiedzał go w drodze do Londynu albo kiedy przypadkiem znalazł się w okolicy. Kiedy Philip umarł, przyjechał na jego pogrzeb. I został ze mną przez

parę dni, by pomóc mi rozwikłać prawne i finansowe problemy... ubezpieczenia, podatki... Pamiętam, że naprawił opiekacz do chleba, który był zepsuty od kilku miesięcy, i zrobił mi okropną awanturę, bo nie oddałam samochodu do przeglądu.

- Czy twój mąż długo chorował?

- Około sześciu miesięcy. Wystarczająco długo, by zapomnieć o przeglądzie samochodu.

- A potem wyszłaś za Geralda.

- Tak. Wyszłam za niego. Niekiedy wspominam swoje życie i nie mogę wprost uwierzyć we własne szczęście.

- Mam to samo uczucie - powiedziała Laura.

- Cieszy mnie to. Alek jest równie wspaniały, jak Gerald. Musisz być z nim bardzo szczęśliwa.

- To prawda - przyznała Laura.

Nastała długa chwila milczenia. Laura nadal leżała z zamkniętymi oczami, ale wiedziała, że Eve siedzi obok niej z igłą w ręku i spogląda na nią uważnie sponad swych okularów.

- Nie miał szczęścia - powiedziała Eve. - Nigdy nie poznaliśmy Eriki ani Gabrieli. Gerald zawsze twierdzi, że Erika wbijała klin między Aleka a jego rodzinę... mam na myśli rodzinę Haverstocków. Kiedy po rozwodzie przyjechał do nas z wizytą, nic o niej nie mówił, więc w gruncie rzeczy nie wiedzieliśmy, co się wydarzyło.

- Wyjechała do Ameryki z innym mężczyzną.

- Tyle wiedzieliśmy... ale niewiele więcej. Zresztą to nie była nasza sprawa. Czy miewa od niej jakieś wiadomości?

- Nie.

- A od Gabrieli?

- Chyba też nie.

- To smutne, że ludzie potrafią się nawzajem tak unieszczęśliwiać. Zawsze, przez cały czas, czuję się winna wobec Sylwii Marten.

- To ona była tutaj wczoraj wieczorem, kiedy przyjechaliliśmy?

- Tak, chciałam zatrzymać ją na kolacji, ale Gerald mi nie pozwolił.

- Kim ona jest?

- Och, mieszka tu od zawsze. Nazywała się Sylwia Trescarne. Kiedy Alek i jego brat byli młodzi, przyjeżdżali na letnie wakacje do Tremenheere i grywali z nią na plaży w krykieta. Później wyszła za Toma Martena. Przez jakiś czas byli bardzo szczęśliwi i niezwykle towarzyscy; biegali z jednego przyjęcia na drugie. Potem Tom zaczął pić i wyglądało, że nie może przestać. To był przerażający widok... Kiedyś był dość atrakcyjnym mężczyzną, ale pod koniec życia stał się odpychający, miał twarz koloru śliwki, rozdygotane ręce i rozbiegane oczy. Umarł w zeszłym roku.

- To okropne.

- Owszem. Okropne. A szczególnie okropne dla Sylwii, ponieważ jest kobietą, która naprawdę potrzebuje partnera. Zawsze krążyli wokół niej mężczyźni jak pszczoły wokół słoja z miodem. Zwykle byli to przyjaciele Toma, ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać. Niektóre kobiety potrzebują zainteresowania i adoracji ze strony innych mężczyzn. Nie widzę w tym nic złego.

Laura natychmiast przypomniała sobie Daphne Boulderstone.

- Znam kogoś takiego - powiedziała. - Jest żoną przyjaciela Aleka. Stale spotyka się na intymnych lunchach z jakimiś tajemniczymi wielbicielami. Nie wiem, jak znajduje na to czas i siły.

- Rozumiem - odparła Eve, uśmiechając się. - Trudno to sobie wyobrazić.

- Jest bardzo atrakcyjną kobietą. Mam na myśli Sylwię. Zapewne ponownie wyjdzie za męża.

- Chciałabym, żeby tak się stało. Ale smutna prawda polega na tym, że po śmierci Toma jej wielbiciele rozpięchli się. Sądzę, że teraz, kiedy została sama i może powtórnie wyjść za męża, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nikt nie chce się poważnie angażować.

- A ona?

- Z pewnością marzyłyby o tym.

- Nie zawsze tak bywa. Moja ciotka, Phyllis, jest najwspanialszą kobietą na świecie i choć owdowiała wiele lat temu, dotąd żyje samotnie. Po prostu nie chce ponownie wyjść za mąż.

- Czy została, jak to się mówi, bogatą wdową?

- Owszem - przyznała Laura.

- Obawiam się, że na tym właśnie polega różnica. Zapijanie się na śmierć jest kosztownym sposobem popełnienia samobójstwa, więc Tom nie zostawił Sylwii wiele. To jeden z powodów, dla których tak bardzo się o nią martwię. Mam wyrzuty sumienia, że wczoraj pozwoliłam jej samotnie odjechać do domu, podczas gdy my zostaliśmy razem i byliśmy tacy szczęśliwi.

- Czy nie mogłaby przyjść innego wieczora?

- Ależ oczywiście - odparła Eve, odzyskując dobry nastrój. - Zaprosimy ją na kolację jutro lub pojutrze, a kiedy przyjedzie po ciebie Alek, wybierzemy się wszyscy razem do jakiejś bardzo eleganckiej restauracji. To właśnie Sylwia naprawdę lubi. Wystawna kolacja w wytwornej restauracji. Sprawi jej to prawdziwą przyjemność. Ale czy uwierzysz, że dochodzi już wpół do piątej? Co powiedziałybyś na podwieczorek w ogrodzie?



# *Landrock*

Wszystko prażyło się w słońcu. W położonym za gąszczem pnącego groszku warzywniku rozebrany do pasa ogrodnik pracował w pocie czoła, sadząc młodą sałatę. Na brunatnym skrawku trawnika Gerald umieścił zraszacz. Promienie słoneczne padały na wirujące i rozpryskujące się strumienie wody, tworząc tęczę. Eve opuściła żaluzje w salonie. Drusilla siedziała na progu swego domku, a Joshua, przykucnąwszy obok niej, rozkopywał starą blaszaną łyżką narożnik grządki ziół.

Środa. May miała swój wolny dzień. Trzeba było odwieźć ją na stację, żeby zdążyła na pociąg do Truro, i Laura zaoferowała się to zrobić. Wyprowadziła ostrożnie samochód Eve z garażu i czekała na staruszkę przy tylnym wyjściu. Kiedy May się zjawiła, Laura otworzyła jej drzwi, by mogła usiąść obok niej. May wystroiła się na tę wyprawę w brązową suknię, ozdobioną wymyślnymi aplikacjami, i w swą dziecięcą wełnianą czapkę z pomponem. Zabrała ciężką torbę i plastikową torbę z nadrukiem brytyjskiej flagi, więc wyglądała, jakby wybierała się wiatować na cześć któregoś z członków rodziny królewskiej.

Laura pomogła jej kupić bilet powrotny i dopilnowała, żeby wsiadła do właściwego pociągu.

- Miłego dnia, May.

- Bardzo ci dziękuję, kochanie.

Laura wróciła do Tremenheere i odstawiła samochód do garażu. Drusilla i jej dziecko zniknęli, chroniąc się w chłód-

nym wnętrzu swego domku. Wchodząc do kuchni, Laura zobaczyła Geralda, który również udręczony upałem, siedział przy stole, pijąc zimne piwo i czytając *Timesa*. Eve krążyła wokół niego, starając się nakryć do lunchu.

- Och, jesteś aniołem, Lauro - powiedziała na jej widok.  
- Czy udało ci się ją wyprawić?

- Tak. - Laura przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw rozłożonej gazety Geralda. - Ale czy ona nie wyzionie ducha w tej czapce?

- Wyobrażam sobie, jak włączy się w tym upale po Truro, mając na głowie wełniany pokrowiec na imbryk. W dodatku dzisiaj jest dzień targowy. Przestańmy o tym myśleć. Ja już przestałam.

- Zrobię wam coś do picia. - Gerald odłożył gazetę, wstał i podszedł do lodówki. - Jest piwo, sok pomarańczowy...

Obie wybrały sok pomarańczowy. Eve zdjęła fartuszek, odgarnęła do tyłu swoje krótkie, srebrzyste włosy i opadła na krzesło stojące u szczytu długiego, porządnie wyszorowanego stołu.

- O której godzinie ona wróci? Mam na myśli May - spytała Laura.

- Koło siódmej. Ktoś musi wyjechać po nią na stację. Pomyślimy o tym później. Co będziemy dzisiaj robić? Jest zbyt gorąco, by podejmować decyzje... Dziękuję, kochanie.

Kostki lodu uderzały lekko o ścianki wysokich szklanek.

- Nie przejmuj się mną - powiedziała Laura. - Bardzo chętnie spędzam beczynn timer w ogrodzie.

- Mogłybyśmy pojechać na plażę. - Eve dotknęła ręki Geralda, który usiadł obok niej. - A co ty zamierzasz robić, kochanie?

- Utnę sobie poobiednią drzemkę. Przyłożę głowę do poduszki na jakieś dwie godziny. Potem, kiedy będzie chłodniej, rozważę możliwość zrobienia czegoś w ogrodzie. Grządki zarosły jak dżungla.

- Nie miałbyś ochoty pojechać z nami na plażę?

- Przecież wiesz, że w lipcu i sierpniu nigdy tam nie bywam. Nie znoszę być obsypywany piaskiem, ogłuszany przez tranzystory i narkotyzowany odorem olejku do opalania.

- Więc może...

- Eve - przerwał jej - jest zbyt gorąco, by cokolwiek organizować. Zjedzmy coś, a potem zdecydujemy, co robić.

Na lunch była szynka, chrupiący chleb z masłem i półmisek pomidorów. Kiedy jedli ten smaczny posiłek, panujący za otwartymi drzwiami upalny spokój dnia zakłócił odgłos samochodu, który wjechał przez bramę, minął pergolę i zatrzymał się na dziedzińcu. Trzasnęły głośno drzwi. Eve odłożyła widelec i odwróciwszy głowę w stronę wejścia, zaczęła nasłuchiwać. Usłyszeli kroki na żwirze, a potem na wyłożonej płytami alejce. Na zalaną słońcem kuchenną podłogę padł jakiś cień.

- Cześć!

- Już wróciłeś, kochanie - powiedziała Eve, uśmiechając się i nadstawiając policzek do pocałunku. - Czy przez cały czas byliście w Bristolu?

- Wróciliśmy dziś rano. Witaj, Geraldzie.

- Cześć, stary byku.

- A to - spojrzał na Laurę - musi być ukochana żona Aleka.

Sposób, w jaki powiedział „ukochana żona Aleka”, rozwiął jej nieśmiałość i skrępowanie. Wyciągnął do niej rękę, a ona uścisnęła ją i uśmiechnęła się.

Był młodym, postawnym mężczyzną, ale nie tak wysokim, jak Gerald czy Alek. Miał szerokie ramiona i bardzo opaloną, szczera, chłopięcą twarz, żywe niebieskie oczy swej matki i gęste, jasne włosy. Ubrany był w sprane bawełniane spodnie z naszytymi na kolanach łatami i niebiesko-białą, kraciastą koszulę. Na przegubie jego ręki lśnił duży zegarek, a w wycięciu koszuli połyskiwał złoty medalion na cienkim, srebrnym łańcuszku.

- Dzień dobry - powiedzieli oboje jednocześnie. Zabrzmiało to zabawnie i Ivan roześmiał się. Ten szeroki,

szczyry uśmiech był równie rozbrajający, jak uśmiech jego matki, a Laura dostrzegła w nim ten urok, który w ciągu lat naraził Ivana na tak wiele kłopotów.

- Jadłeś lunch? - spytał go Gerald, a Ivan puścił dłoń Laury i odwrócił się do swego ojczyma.

- Nie, w gruncie rzeczy nie jadłem. Czy jeszcze coś zostało?

- Całe mnóstwo - odparła jego matka. Wstała i poszła po jeszcze jedno nakrycie.

- Gdzie jest May? Och, oczywiście, przecież dziś jest środa, prawda? Dzień wyprawy do Truro. Chyba skona w tym upale.

- Jak wam poszło w Bristolu? - spytał Gerald.

- Bardzo dobrze. - Podszedł do lodówki po puszkę piwa, a potem, wróciwszy do stołu, ustawił swoje krzesło obok Laury. Eve położyła przed nim nakrycie. Otworzył puszkę, sięgnął po szklankę i zręcznie napełnił ją piwem, nie dopuszczając do powstania piany. - Dostaliśmy dwa zamówienia z jednego sklepu i niezobowiązujące zamówienie z drugiego. Główny zaopatrzeniowiec był na urlopie, a jego zastępca nie chciał podjąć żadnych zobowiązań. Dlatego właśnie byliśmy tam tak długo.

- Och, kochanie, to wspaniale... Mathie musi być zachwycony.

- Owszem, to wygląda zachęcająco. - Ivan wychylił się do przodu, by ukroić sobie grubą kromkę chleba. Miał sprawne i silne ręce. Grzbiety dłoni i jego nagie przedramiona pokrywały spłowiałe od słońca włosy.

- Gdzie nocowaliście w Bristolu? - spytała Eve.

- W jakimś zajeździe, który znał Mathie.

- Czy na autostradzie panował duży ruch?

- Nie było tak źle... przecież to środek tygodnia. - Wziął pomidorami zaczął go kroić w plasterki. - Przywiozłaś ładną pogodę - powiedział do Laury. - Słyszałem w radio prognozę. Podobno będzie pięknie przez kilka następnych dni. Jak się miewa Alek?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Żałuję, że go nie spotkałem. Ale przyjedzie tu po ciebie, prawda? To świetnie, wtedy się zobaczymy.

- Możesz pojechać z nami na kolację do miasta - zaproponowała Eve. - Zdecydowałyśmy z Laurą, że któregoś wieczora wszyscy razem wybierzemy się do jakiejś okropnie drogiej i wytwornej restauracji. Zaprośmy również Sylwię.

- Będzie zachwycona - powiedział Ivan. - Usłużni kelnerzy i szybki fokstrot pomiędzy daniami.

- A kto zapłaci rachunek? - spytał Gerald.

- Oczywiście ty, kochanie.

Jak przewidywała Eve, nie wyprowadziło go to bynajmniej z równowagi.

- W porządku. Ale nie zapomnij zadzwonić wcześniej i zarezerwować miejsce. I żeby to nie była ta restauracja, w której podano nam nieświeże krewetki. Chorowałem po nich przez kilka dni.

Ivan zaparzył kawę.

- Co będziecie robić dziś po południu?

- Dobrze pytanie - stwierdził Gerald.

- Gerald postanowił uciąć sobie krótką drzemkę. Mówi, że nie pojedzie z nami na plażę.

- Więc wybieracie się na plażę?

- Nie jesteśmy jeszcze pewne. - Eve wypła łyk kawy. - A co ty masz zamiar robić? Pewnie wybierasz się do fabryki?

- Nie, muszę jechać do Landrock. Pan Coleshill ma kilka starych sosnowych mebli... z wyprzedaży, która odbyła się w jakiejś starej rezydencji. Dał nam prawo pierwokupu, a jeśli nie pojedę tam dzisiaj, dowiedzą się o nich różni handlarze.

Eve wypła jeszcze jeden łyk kawy.

- Może zabrałbyś ze sobą Laure? - zaproponowała. - To ładna przejażdżka, a ona zapewne chętnie pokręci się po sklepie z antykami pana Coleshilla.

- Z przyjemnością - odparł natychmiast Ivan. Odwrócił się do Laury. - Czy chciałabyś pojechać ze mną?

- No... - zająknęła się Laura, zaskoczona tą niespodziewaną propozycją. - Tak... Ale, proszę się o mnie nie martwić.

Eve i Ivan roześmieli się.

- Wcale się nie martwimy - powiedziała Eve - a ty nie musisz jechać, jeśli wolisz odpocząć. Ale chyba ta wycieczka sprawiłaby ci przyjemność. Ten sklep zawalony jest zarówno piękną porcelaną, jak i całym mnóstwem zakurzonych rupieci. Lubię się po nim kręcić.

- Chyba się wybiorę... - powiedziała Laura, która kochała sklepy z antykami niemal tak bardzo jak księgarnie.

- Czy pozwolisz mi zabrać ze sobą mojego psa?

- Oczywiście, pod warunkiem, że nie jest to dog, który ma skłonności do wymiotowania w samochodzie.

- To śliczna, mała jamniczka - wtrąciła Eve - ale chyba będzie bardziej zadowolona, zostając ze mną. Może pobawić się w ogrodzie.

- Więc wszystko ustalone. - Ivan odsunął swoje krzesło. - Jedziemy do Landrock. A w drodze powrotnej możemy zatrzymać się w Gwenvoe i popływać.

- Byłam tam dwa dni temu - oznajmiła jego matka. - Właśnie nastała pora odpływu i kąpiel jest wspaniała.

- Czy chciałabyś popływać, Lauro?

- Z przyjemnością.

- Wyjeżdżamy za jakieś piętnaście minut. Mam jeszcze do załatwienia kilka telefonów... i nie zapomnij o kostiumie kąpielowym.

Jego samochód okazał się dokładnie taki, jak oczekiwała. Był to kabriolet z otwartym dachem, więc pęd powietrza rozwiewał jej włosy. Widząc, jak bezskutecznie próbowała odgarniać je z twarzy, Ivan dał jej starą jedwabną chustkę, którą związała na głowie, zastanawiając się, ile jego przyjaciółek używało jej w przeszłości.

Przejechali szybko parę mil główną szosą, a potem skręcili w labirynt osłoniętych od wiatru wysokimi żywopłotami wąskich, krętych polnych dróg. Ivan zwolnił i jechał

w spacerowym tempie. Od czasu do czasu mijali małe miasteczka i samotne gospodarstwa, nad którymi unosił się intensywny zapach nawozu, oraz przydomowe ogródki ozdobione barwnymi kwiatami. Purpurowe i ciemnoróżowe fuksje tworzyły żywopłoty, a przydrożne rowy porośnięte były jaskrami i wysokimi, żółtymi chwastami.

- Jak tu spokojnie - powiedziała Laura.

- Mogliśmy pojechać główną szosą, ale zawsze jeżdżę do Landrock tą drogą.

- Powiedz mi, po co kupujecie stare meble, skoro wyrabiacie nowe?

- Robimy jedno i drugie. Kiedy poznałem mojego wspólnika, zajmował się renowacją starych mebli. Miał małą, dość dobrze prosperującą firmę i nie narzekał na brak surowca. Potem odnawianie mebli stało się nagle bardzo modne, więc londyńscy handlarze jeździli na prowincję i wykupywali wszystko, co wpadło im w ręce. Zapasy zaczęły się kurczyć.

- Co wtedy zrobił?

- Nie mógł zrobić wiele. Nie mógł sobie pozwolić na przebicie ich cen i po jakimś czasie nie był już w stanie zopatrywać własnych klientów. Wtedy właśnie, a było to rok temu, spotkałem go w pubie, a on przy kuflu piwa opowiedział mi o swoich kłopotach. Jest tak miłym facetem, że następnego dnia poszedłem do jego warsztatu i zobaczyłem kilka wykonanych przez niego krzesel oraz stół. Spytałem go, dlaczego nie zacznie sam wyrabiać mebli, a on odparł, że nie może tego zrobić, bo nie ma kapitału na zakup maszyn i pokrycie wszystkich wiążących się z tym kosztów. Więc przystąpiliśmy do spółki. Ja wniosłem pieniądze, a Mathie swe doświadczenie. Przeżyliśmy kilka chudych miesięcy, ale teraz jestem pełen optymizmu. Myślę, że interes zaczyna się opłacać.

- Sądziłam, że jesteś architektem.

- Owszem, jestem. Uprawiałem ten zawód przez kilka lat, pracując w pewnej firmie z Cheltenham. Ale kiedy

przyjechałem, by zamieszkać w Tremeneheere, okazało się, że nie ma tu zapotrzebowania na człowieka z moimi kwalifikacjami. W gruncie rzeczy projektowanie mebli niewiele różni się od projektowania domów, a ja zawsze lubiłem zajęcia manualne.

- Czy zamierzasz pozostać tu na stałe?

- Jeśli będę mógł. O ile nie narażę się Geraldowi i nie zostanę wyrzucony z Tremeneheere. To twoja pierwsza wizyta, prawda? Jak ci się tu podoba?

- Jest jak w rajku.

- Pamiętaj, że trafiłaś na idealną pogodę. Poczekaj tylko, aż zacznie wiać wiatr i padać deszcz. Będziesz miała wrażenie, że nigdy się to nie skończy.

- Bałam się trochę tego przyjazdu - przyznała Laura, a słowa te bez trudu przeszły jej przez gardło, ponieważ Ivan był łatwym rozmówcą. - Wiesz, zostać sama wśród ludzi, których nigdy przedtem nie spotkałam. Mimo że są to krewni Aleka. Ale lekarka zabroniła mi jechać do Szkocji, więc nie miałam gdzie się podziać.

- Jak to?... - spytał Ivan ze zdumieniem. - Nie masz żadnych bliskich krewnych?

- Nie, nie mam nikogo.

- Nie wiem, czy ci zazdrościć, czy współczuć. Tak czy owak nie przejmuj się tym. Ulubionym zajęciem mojej matki jest dbanie o innych. Od czasu do czasu Gerald protestuje, ale ona uparcie obstaje przy swoim. On narzeka, że zamieniła jego dom w jakąś cholerną komunę, ale zaczyna mieć nas wszystkich dość dopiero wtedy, kiedy uważa, że Eve wygląda na zmęczoną. Czy poznałaś Drusillę?

- Tak.

- A tego okropnego Joshuę? Obawiam się, że to ja ponoszę odpowiedzialność za przyjazd Drusilli do Tremeneheere.

- Kim ona jest?

- W gruncie rzeczy nie mam pojęcia. Mniej więcej przed rokiem pojawiła się w Lanyon z niemowlęciem i męż-



czynną imieniem Kev. Sądzę, że jest on ojcem Joshuy. Uważał się za artystę, ale jego obrazy były tak okropne, że nikt, nawet w przypływie największego szaleństwa, nie zechciałby za nie płacić. Mieszkali w małym domku na wrzosowisku, a potem, po jakichś dziewięciu miesiącach, Drusilla przysłała pewnego wieczora do pubu z plecakiem, futerałem na flet, dzieckiem w kartonowym pudle oraz z wiadomością, że Kev uciekł od niej i wrócił z inną kobietą do Londynu.

- Cóż za bydlę.

- Och, ona miała do tego dość filozoficzny stosunek. Nie była tym szczególnie przejęta. Po prostu nie miała dachu nad głową ani grosza przy duszy. Mathie również był tego wieczora w pubie, a kiedy nadeszła pora zamknięcia lokalu, zlitował się nad nią i zabrał ją do siebie do domu. Przez kilka dni on i jego żona opiekowali się nią, ale było jasne, że nie może tam zostać, więc porozmawiałem z Geraldem i Drusilla zamieszkała w domku dla służby w Tremenheere. Wygląda na to, że zdomowiła się tutaj.

- Skąd ona pochodzi?

- Chyba z Huddersfield. Nie znam jej przeszłości. Nic o niej nie wiem. Z wyjątkiem tego, że uczyła się muzyki. Chyba pracowała kiedyś w jakiejś orkiestrze. Usłyszysz, jak gra na flecie. Jest bardzo dobra.

- Ile ma lat?

- Nie wiem. Pewnie około dwudziestu pięciu.

- A z czego żyje?

- Chyba z zasiłku.

- Ale co się z nią stanie? - nalegała Laura. Zafascynowało ją życie, którego istnienia nigdy sobie nie wyobrażała.

- Również nie mam pojęcia. Tutaj nie zadajemy tego rodzaju pytań. Ale nie martw się o nią. Ona i Joshua mają ogromną siłę przetrwania.

Szosa pięła się w górę, a okolica zmieniała wygląd. Droga biegła teraz wśród pól i rekultywowanych torfowisk, z których rozciągał się rozległy widok na łagodne pagórki,

upstrzone tu i ówdzie maszynowniami nieczynnych kopalń rud metali, sterczącymi na tle horyzontu jak wyszczerbione zęby.

Minęli drogowskaz z napisem Landrock i po chwili wjechali do miasteczka, które nie było tak malownicze, jak mijane po drodze miejscowości. Składało się w istocie z kilku rzędów ponurych kamiennych domów, zbudowanych wokół skrzyżowania ulic. Na jego czterech rogach znajdował się pub, sklep z gazetami, urząd pocztowy i długi, pokraczny budynek, który niegdyś zapewne służył jako stodoła. W jego małych, zakurzonych oknach stały liczne atrakcyjne drobiazgi, a nad drzwiami wisiał szyld: WM. COLESHILL. UŻYWANE MEBLE. ANTYKI.

Ivan zwolnił, zatrzymał się przy krawężniku i oboje wysiedli z samochodu. Tu, na wzgórzu, było chłodniej i bardziej przewiewnie. Okolica wydawała się opuszczona. Zeszli po schodkach do sklepu. Panująca w pomieszczeniu temperatura była niższa o co najmniej dziesięć stopni, a w powietrzu unosił się odór wilgoci, stęchlizny, zbutwiałych starych mebli i politory. Stali przez chwilę nieruchomo, by przyzwyczaić oczy do ciemności po jasnym świetle słonecznym. Z zaplecza sklepu dobiegło szuranie odsuwanego krzesła. Z mrocznej czeluści ciągnącej się między dwiema stertami mebli wychynął jakiś stary mężczyzna w obwisłym swetrze. Zdjął okulary, by móc ich lepiej widzieć.

- Ach... Ivan!

- Dzień dobry, panie Coleshill.

Ivan przedstawił Laurę. Wymienili zdawkowe uwagi na temat pogody. Pan Coleshill dopytywał się o Eve; potem zniknął z Ivanem w jakimś ciemnym zakamarku, by pokazać mu zakupione niedawno sosnowe meble. Laura została sama i z wielkim zainteresowaniem zaczęła krążyć po sklepie, zaglądając w niedostępne zakątki i potykając się o wiadra na węgiel, stołki do dojenia krów, połamane stojaki na parasole i stopy porcelanowych naczyń.

Ale nie kręciła się bez celu; szukała prezentu dla Eve. Przed wyjazdem z Londynu nie miała czasu, by kupić dla niej jakiś upominek i czuła się niezręcznie, przyjeżdżając z pustymi rękami. Kiedy w końcu natrafiła na dwie porcelanowe figurki, pasterza i pasterki, od razu wiedziała, że tego właśnie szuka. Sprawdziła, czy nie mają pęknięć, odprysków i śladów sklejanania, ale były w idealnym stanie. Zdmuchnęła kurz i wytarła pasterza brzegiem swej sukienki. Miał bladą różową twarz, a na głowie niebieski, ozdobiony drobnymi kwiatami kapelusz. Laura chętnie zatrzymała by te figurki dla siebie, co było najlepszym kryterium wyboru. Trzymała w rękach swą zdobycz, kiedy z zaplecza wrócili do sklepu Ivan i pan Coleshill, załatwiwszy najwyraźniej pomyślnie swoje interesy.

- Przepraszam... Znalazłam te... Ile kosztują?

Pan Coleshill podał cenę, która przyprawiła ją o zawrót głowy.

- To autentyczna dreźnieńska porcelana - zapewnił ją i odwrócił figurki, by pokazać jej znak firmowy. - Stare Dreźnie w idealnym stanie.

- Kupuję je.

Podczas gdy Laura wypisywała czek, pan Coleshill oddał się i wrócił z jej prezentem zawiniętym w brudną gazetę. Wręczyła mu czek i odebrała cenny pakunek. Pan Coleshill otworzył im drzwi. Pożegnali się i wsiedli do samochodu. Po panującym w sklepie chłodzie miło było się rozgrzać.

- Chyba przepłaciłaś - powiedział Ivan.

- To nie ma znaczenia.

- Są cudowne.

- Kupiłam je dla twojej matki. Czy myślisz, że się jej spodoba?

- Dla Eve? Jesteś wspaniałą dziewczyną!

- Będę musiała je umyć, zanim wręcę je Eve. Z pewnością od lat nie były myte. Może w drodze powrotnej zatrzymamy się gdzieś, żebym mogła kupić ozdobny papier pa-

kunkowy. Nie mogę dać jej prezentu zawiniętego w brudną gazetę.

- Jesteś najwyraźniej osobą, która bardzo lubi dawać prezenty - powiedział Ivan, uśmiechając się.

- Tak, to prawda. Zawsze to lubiłam. Ale... - dodała w nagłym przypływie odwagi - zanim wyszłam za Aleka, nigdy nie było mnie stać na kupowanie prezentów, które naprawdę mi się podobały. Teraz już mogę sobie na to pozwolić. - Miała nadzieję, że w jej głosie nie zabrzmiała nutka wyrachowania. - To cudowne uczucie - oznajmiła rozbijającym tonem.

- W mieście jest sklep z upominkami. Pojedziemy tam po kąpiel i kupimy ozdobny papier.

Laura umieściła pakunek na podłodze samochodu obok swoich stóp, żeby figurki nie spadły i nie potłukły się.

- A ty? Czy jesteś zadowolony ze swoich zakupów? - spytała.

- Owszem. Choć pan Coleshill z pewnością zdarł ze mnie skórę, podobnie jak z ciebie. Ale co z tego? Musi przecież zarabiać na życie. A teraz - uruchomił silnik - zapomnijmy już o zakupach, jedźmy wreszcie na plażę i wskoczmy do morza.

\* \* #

Sylwia siedziała na leżaku, który poprzedniego dnia zajmowała Laura. Gerald, skończywszy pracę w ogrodzie, pojechał do miasta, by załatwić kilka drobnych spraw, a Eve skorzystała z okazji, by uciszyć swe niespokojne sumienie i zatelefonowała do Sylwii, zapraszając ją na podwieczorek. Sylwia przyjęła to zaproszenie z budzącą niepokój skwapliwością i natychmiast przyszła, pokonując pieszo niewielką odległość między jej małym domkiem a Tremeneere.

Było wpół do szóstej, a one skończyły już podwieczorek. Na znajdującym się między nimi niskim stole stał pusty imbryk, delikatne porcelanowe filiżanki i spodki oraz kilka

herbatników. Lucy, która pod nieobecność Laury nie odchodziła na krok od Eve, leżała w cieniu obok jej krzesła. Eve nadal szyła obicia na krzesła.

- Sądzę, że powinni już być z powrotem - powiedziała, zerkając na zegarek. - Mam nadzieję, że Ivan nie zmusił Laury do zbyt wielkiego wysiłku... W Gwenvoe zazwyczaj wchodzi stromą ścieżką na urwisko i skacze do morza ze skał, ale ta wspinaczka byłaby dla niej zbyt męcząca. Powinnam była mu o tym wspomnieć.

- Przypuszczam, że Laura doskonale potrafi o sobie zadbać - stwierdziła Sylwia.

- Tak, chyba tak... - Eve uniosła głowę, a ręka, w której trzymała igłę, zastygła w powietrzu. Od strony miasteczka dobiegł warkot samochodu. - O wilku mowa, już są. Chyba powinnam zaparzyć dzbanek świeżej herbaty.

- Zaczekajmy i przekonajmy się, czy mają na nią ochotę - powiedziała rozsądnie Sylwia.

Usłyszały odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu. Jakieś głosy. Śmiech. Po chwili Ivan i Laura przeszli pod pergolą i ruszyli w ich kierunku po skąpanym w słońcu trawniku. Ivan i... tak, to była Laura. Ale była tak zmieniona i tak niepodobna do tej bladej dziewczyny, która przed dwoma dniami przyjechała do Tremenheere, że Eve w pierwszym momencie nie poznała jej. Ale, oczywiście, to była Laura. Jej ciemne włosy były wilgotne i lśniące po morskiej kąpieli, a luźna letnia sukienka odsłaniała nagie ramiona i nogi opalone już na złotobrazowy kolor. W pewnej chwili sandał zsunął jej się ze stopy. Stała na jednej nodze, chcąc go poprawić, a Ivan chwycił ją za ramię, by pomóc jej utrzymać równowagę. Coś do niej powiedział, a ona głośno się roześmiała.

Lucy usłyszała śmiech swojej pani. Usiadła, chwilę nasłuchiwała, dostrzegła Laurę i machając ogonem pobiegła jej na powitanie. Laura, poprawiwszy już swój sandał, schyliła się i wzięła na ręce Lucy, która z wdzięczności obliżała jej całą twarz. Idąc po trawniku w kierunku domu, wy-

glądali malowniczo: jasnowłosa młody mężczyzna, piękna ciemnowłosa kobieta i mały piesek.

- Cześć - zawołała Eve, kiedy znaleźli się w zasięgu jej głosu. - Byłyśmy ciekawe, co się z wami dzieje. Czy przyjemnie spędziliście czas?

-Tak. Cudownie. W końcu jest nam chłodniej. Cześć, Sylwia. Nie wiedziałem, że tu jesteś. - Ivan pochylił się i pocałował ją w policzek poniżej ogromnych okularów przeciwsłonecznych.

- Nic nie zostało? - spytał, zdejmując pokrywkę z imbryka. - Piekielnie chce mi się pić.

Eve odłożyła swoją robótkę.

- Zaparzę wam trochę świeżej herbaty - zaproponowała, ale Ivan powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie fatyguj się, damy sobie radę. - Padł na trawę i podparł się na łokciach. Laura przyklękała u stóp Sylwii i postawiła Lucy obok siebie.

- Witaj! - powiedziała do Sylwii, uśmiechając się.

- Dokąd ją zabrałeś? - spytała Sylwia Ivana.

- Do Gwenvoe. Na plaży roiło się od hałaśliwych ludzi, ale miałaś rację. Kąpiel była wspaniała.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczona - powiedziała Eve do Laury.

- Nie. Czuję się cudownie. - Klęczała na trawie, a Eve pomyślała, że wygląda jak nastolatka.

- Czy nigdy przedtem nie byłaś w Kornwalii? - spytała Sylwia Laurę.

- Nie. To moja pierwsza wizyta. Gdy byłam dzieckiem, mieszkłam w Dorset i latem zwykle jeździliśmy do Lyme Regis.

- Kiedy Alek i ja byliśmy bardzo młodzi, bawiliśmy się razem na tutejszej plaży... Żałuję, że nie miałam okazji pogawędzić z nim, gdy tu był, ale Eve obiecała mi, że poplotkujemy sobie, kiedy wróci po ciebie. Pojechał do Szkocji?

- Tak. Na łososie.

- Czy nadal mieszkacie w Londynie?

- Owszem. W starym domu Aleka, w Islington.
- Dawniej, jeszcze za życia mojego męża, dość często jeździłam do Londynu. To była zawsze wspaniała przygoda. Ale nie byłam tam już od lat. Hotele są teraz przerażająco drogie i wszystko tyle kosztuje... na dobrą sprawę nawet przejazd taksówką doprowadziłby mnie do ruiny.
- Mamy pokój gościnny. Nie jest zbyt elegancki, ale jeśli kiedykolwiek zechcesz z niego skorzystać, zawsze będziesz mile widziana.
- To bardzo uprzejmie z twojej strony.
- Musisz tylko nas uprzedzić. Jestem pewna, że Alek ucieszy się z twojego przyjazdu. Mieszkamy na Abigail Crescent. Numer trzydzieści trzy. Możesz też zadzwonić. Eve ma nasz numer telefonu.
- Och, naprawdę jesteś bardzo gościnna. Być może któregoś dnia skorzystam z zaproszenia.
- Bardzo się cieszę.
- Jak ci poszło z panem Coleshillem? - spytała Eve swego syna. Sylwia, słysząc znajome nazwisko, włączyła się do ich rozmowy.
- Czy znalazłeś jakieś ładne meble, Ivan?
- Owszem, to była owocna wyprawa. Kupiłem piękną komodę i kilka bardzo ładnych, stylowych krzeseł. Tak efektownych, że chyba warto je skopiować. Mathie będzie zachwycony.
- Kochanie, miałeś kilka wspaniałych, udanych dni - powiedziała Eve.
- To prawda. Zdecydowaliśmy z Laurą, że powinniśmy to uczcić. Dziś wieczorem odbędzie się w wozowni przyjęcie. Może to być nawet szampańskie przyjęcie, o ile uda mi się znaleźć odpowiedni gatunek szampana. Sylwia, ciebie również zapraszam. Koło siódmej.
- Sylwia spojrzała na niego zza swych ciemnych okularów.
- Och... sama nie wiem... - zaczęła, ale Eve przerwała jej.
- Nie wynajduj żadnych pretekstów, Sylwio. Musisz

przyjść. Bez ciebie nie będzie to prawdziwe przyjęcie. Ivan, jeśli nie znajdziesz szampana, jestem pewna, że Gerald...

- Wykluczone - odparł Ivan. - Pojadę do miasta, kupię kilka butelek i włożę je do lodówki. W końcu to moje przyjęcie.

W godzinę później Laura, siedząc w wannie, usłyszała głos Eve: - Laura, telefon do ciebie. Zamiejskowa ze Szkocji. To na pewno Alek.

- O Boże. - Wskoczyła z ciepłej, pachnącej wody i owinięta dużym, białym ręcznikiem zbiegła na dół, zostawiając na wypolerowanych schodach mokre ślady swych bosych stóp. Telefon stał na komódce obok frontowych drzwi. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Laura?

Głos Aleka wydawał się bardzo odległy.

- Och, Alek.

- Jak się miewasz?

- W porządku. Czy miałeś dobrą podróż?

- Tak. Pokonałem całą trasę za jednym zamachem. Do-tarłem tu około dziewiętej wieczorem.

- Musiałeś być zmęczony.

- Nie bardzo.

Laura nienawidziła telefonu. Zawsze uważała, że przez to okropne urządzenie trudno swobodnie rozmawiać.

- Jaka jest pogoda? - spytała.

- Leje deszcz i jest chłodno, ale rzeka wezbrała i roi się w niej od ryb. Daphne złowiła dziś swego pierwszego łososia.

Leje deszcz i jest chłodno. Laura podniosła głowę i zobaczyła przez okno bezchmurne niebo i wypalony słońcem ogród Tremenheere. Czuła się tak, jakby była gdzieś za granicą, oddzielona oceanem od swego męża. Nie umiała sobie wyobrazić, jak wygląda Glenshandra w strugach chłodnego deszczu, i to nie tylko dlatego, że nigdy tam nie była. Oczami duszy widziała Daphne w rybackich kaloszach



i nieprzemakalnym płaszczu, z ciężką wędką na łososie w rękach... wieczorne rozmowy przy dużej szklance whisky w jakimś małym barze, w którym z pewnością płonie kominek. Była zadowolona, że jej tam nie ma, ale ta egoistyczna satysfakcja natychmiast obudziła w niej poczucie winy.

- Och, to wspaniale. - Usiłowała okazać radość i entuzjazm, uśmiechając się do słuchawki, jakby Alek mógł ją zobaczyć. - Pozdrów ją ode mnie. Wszystkich ode mnie pozdrów.

- Co robiłaś? - spytał Alek. - Mam nadzieję, że wypoczywałaś.

- Wypoczywałam wczoraj, ale dziś poznałam Ivana i pojechaliśmy razem na uroczą plażę, żeby popływać.

- Więc Ivan już wrócił?

- Tak, przyjechał dziś rano.

- Jak mu poszło w Bristolu?

- Chyba pomyślnie. Wieczorem zamierza to uczcić. Zaprosił nas wszystkich do siebie na drinka. Jeśli dopisze nam szczęście, oblejemy jego sukces szampanem.

- Wygląda na to, że dobrze się bawisz.

- Och, Alek. Tu jest naprawdę cudownie.

- Ale nie przemęczaj się.

- Dobrze.

- Jeszcze do ciebie zadzwonię.

- Tak, zadzwoń.

- A więc do widzenia.

- Do widzenia... - Zawahała się, a po chwili dodała: - Do widzenia, kochanie.

Ale wahała się zbyt długo i Alek odłożył już słuchawkę.

\* \* \*

Eve wzięła prysznic i przebrała się w cienką suknię, a potem zeszła bocznymi schodami do kuchni. Tu, po przyjęciu u Ivana, wszyscy mieli wziąć udział w nieoficjalnej kolacji. Stół nakryty był z rustykalnym wdziękiem: kraciaste serwetki, białe świece i gliniany dzbanek pełen stokrotek.

Gerald, przebrany już na przyjęcie, pojechał odebrać May ze stacji. May zawsze jadała wieczorny posiłek w swoim pokoju, więc Eve przygotowała nakrycia dla Ivana oraz dla Sylwii i zastanawiała się, czy powinna nakryć również dla Drusilli. Nie wiedziała, czy Ivan zaprosił ją do siebie na drinka, który z uporem nazywał szampańskim przyjęciem, ale podejrzewała, że niezależnie od tego może się ona na nim zjawić. Po Drusilli można się było wszystkiego spodziewać. W końcu postanowiła nie przygotowywać dla niej nakrycia. Doszła do wniosku, że w razie potrzeby będzie je można dostawić w ostatniej chwili.

Podjąwszy tę decyzję, opuściła kuchnię i wyszła na rozgrzany, pachnący ziołami dziedziniec. Siedzące na dachu gołębie gruchały do siebie, a od czasu do czasu podrywały się do lotu, rozpościerając białe skrzydła na tle ciemnoniebieskiego nieba. Ivan nie miał ogrodu, ale ustawił krzesła i stoliki przed otwartymi drzwiami swego domku. Sylwia już przyszła i siedziała z kieliszkiem w ręku, paląc papierosa. Ivan, oparty o stół, coś do niej mówił, ale kiedy jego matka podeszła bliżej, wyprostował się.

- Chodź. Zjawiłaś się w samą porę na pierwszą kolejkę.

- To szampan, Eve - oznajmiła Sylwia, unosząc swój kieliszek.

- Prawdziwa ucztą.

Miała na sobie bladożółtą suknię, w której Eve już nieraz ją widziała i uważała, że Sylwia wygląda w niej niezwykle korzystnie. Gęste, falujące, siwe włosy Sylwii okalały jej twarz jak płatki chryzantemy i widać było, że poświęciła sporo czasu i wysiłku na makijaż. W jej uszach lśniły złote kolczyki, a na przegubie ręki pobrząkiwała złota, ozdobiona wisiorami bransoleta.

- Sylwio, wyglądasz czarująco - powiedziała Eve, siadając obok niej.

- Cóż, uważałam, że na tak niezwykłą okazję muszę się wystroić. Gdzie jest Gerald?

- Pojechał po May. Będzie tu lada chwila.

- A Laura? - spytał Ivan.

- Już idzie. Alek telefonował do niej ze Szkocji, więc może się trochę spóźnić. - Zniżyła głos. Drzwi domku Drusilli były otwarte. - Czy zaprosiłeś Drusillę?

- Nie - odparł Ivan. Nalał swej matce szampana i wręczył jej kieliszek. - Ale ona pewnie i tak się zjawi - zakończył beztruskim tonem.

W tym momencie Laura stanęła w kuchennych drzwiach i ruszyła w ich kierunku. Eve pomyślała, że w swej zwiewnej, jaskrawoniebieskiej batystowej sukni, ozdobionej delikatnymi marszczeniami i aplikacjami, wygląda zachwycająco. Jej brylantowe kolczyki z akwamaryną utrzymane były w podobnej gamie kolorystycznej.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam.

- Ależ tak, spóźniłaś się - oznajmił Ivan. - Okropnie się spóźniłaś. Co najmniej dwie minuty. Nie życzę sobie, żebyś kazała mi tak długo czekać.

Laura wykrzywiła się do niego żartobliwie i podeszła do Eve.

- To dla ciebie - powiedziała.

Eve myślała w pierwszej chwili, że Laura niesie torebkę, ale teraz odkryła, iż jest to pakunek zawinięty w różowy, ozdobny papier i przewiązany niebieską wstążką.

- Dla mnie? - Położyła swoje okulary na stole i wzięła paczkę z rąk Laury. - Och, to bardzo ekscytujące. Nie powinnaś kupować mi prezentu.

- W istocie to prezent dla pani domu - wyjaśniła Laura, siadając - ale nie miałam możliwości załatwić tego w Londynie, więc kupiłam go dzisiaj.

Eve, obserwowana z ciekawością przez zebranych, rozwiązała wstążkę i odwinęła papier - najpierw różowy, a potem biały - odsłaniając dwie porcelanowe figurki. Nigdy nie widziała czegoś równie pięknego, więc oniemiała z zachwyty.

- Och... och, dziękuję. - Wychyliła się do przodu i pocałowała Laurę. - Sama nie wiem, jak mam ci dziękować. Są zachwycające.

- Pokaż mi - poprosiła Sylwia i wzięła od niej jedną z figurek. Odwróciła ją, tak jak zrobił to pan Coleshill, żeby sprawdzić znak firmowy. - Drezno. - Zerknęła na Laurę, a ona spojrzała w jej oczy koloru topazu, błagając wzrokiem, by nie robiła aluzji do ich astronomicznej ceny. Sylwia po chwili zrozumiała jej przesłanie i uśmiechnęła się. Odwróciła pasterza z powrotem głową do góry i postawiła na stole. - Są bardzo piękne. Miałaś wspaniały pomysł, Lauro.

- Będą stały w mojej sypialni - oznajmiła Eve. - Trzymam w sypialni wszystkie swoje najcenniejsze przedmioty, bo lubię na nie patrzeć, gdy tylko otworzę oczy i przed zaśnięciem. Czy kupiłaś je u pana Coleshilla?

-Tak.

- Jest wstępnym, starym zdziercą - stwierdziła Sylwia - ale wśród tych zakurzonych rupieci można znaleźć sporo ładnych rzeczy. O ile jest się gotowym zapłacić za nie bajońską sumę.

- No cóż - powiedział Ivan - jak już mówiłem, musi zarabiać na życie. A w dzisiejszych czasach drezdeńska porcelana jest rzadkością.

- Zapakuję je z powrotem, zanim się potłuką. - Eve zaczęła zawijać figurki w papier. - Jesteś naprawdę kochana, Lauro. A teraz powiedz mi, co słychać u Aleka? Jak się miewa?

Laura otworzyła usta, ale ledwie zdążyła powiedzieć, że Alek dojechał bezpiecznie do Glenshandra, w bramie ukazał się samochód Geralda, przejechał obok nich przez dziedziniec i zniknął w garażu. Po chwili pojawił się Gerald, prowadząc May.

May nadal miała na głowie swoją wełnianą czapkę i wyraźnie padała z nóg. Eve zauważyła to natychmiast i serce w niej zamarło. May musiała spędzić męczący dzień i zbyt dużo chodzić, więc wydawała się zadowolona, że Gerald prowadzi ją pod rękę. W drugiej ręce niosła swoją torebkę i tajemniczo wypchaną plastikową torbę z flagą brytyjską.

Eve zaniepokoiła się jeszcze bardziej na myśl, co może ona zawierać.

Gerald i May zatrzymali się.

- Czy miło spędziłaś czas, May? - spytała Eve.

- Owszem, miło - odparła May. Ale nie uśmiechnęła się. Patrzyła na nich, przesuwając wzrok z jednej twarzy na drugą, a potem dostrzegła butelki szampana i kieliszki. Zaciśnęła usta.

- Musisz być zmęczona. Czy chciałabyś, żebym przyniosła ci coś do jedzenia?

- Nie, nie, dam sobie radę. - Energicznym ruchem oswobodziła rękę z uścisku Geralda. - Dziękuję, że pan po mnie przyjechał - powiedziała do niego, a potem odwróciła się do wszystkich plecami. Patrzyli, jak idzie wolnym krokiem w kierunku domu i znika w kuchni, głośno zatraskując za sobą drzwi.

- Złośliwa staruszka - powiedziała Sylwia.

- Sylwio, nie wolno ci mówić takich rzeczy. Gdyby to usłyszała, poczułaby się okropnie dotknięta.

- Och, Eve, daj spokój, ona jest złośliwą staruszką. Nigdy w życiu nikt tak na mnie nie spojrzał. Można by pomyśleć, że urządzamy tu jakąś orgię.

Eve westchnęła, dochodząc do wniosku, że dalszy spór jest bezprzedmiotowy. Kiedy Gerald przyłączył się do nich, podniosła głowę i wymieniła znaczące spojrzenia z Ivanem. A on, wiedząc, o czym myśli jego matka, uśmiechnął się do niej uspokajająco, a potem przysunął ojczymowi krzesło.

Jego uśmiech sprawił, że Eve poczuła się nieco lepiej. Uroczystość była tak miła, towarzystwo tak czarujące, szampan tak wspaniały, że popełniłaby grzech, zatruwając sobie ten piękny wieczór niewesołymi rozmyślaniami o losie May. Życie toczyło się tu i teraz, więc należało docenić każdą jego chwilę.

Słońce zachodziło, cienie wydłużały się. O tej porze Tremenheere stawało się zaczarowanym miejscem. Błękitna godzina. *Uheure bleu*. Eve przypomniała sobie inne, dawno

minione wieczory, spędzane w towarzystwie przyjaciół przy butelce wina na chłodnych tarasach po dniu słonecznej, śródziemnomorskiej pogody. Tarasy ozdobione girlandami z różowych i purpurowych pnączy tropikalnych, powietrze nasycone żywicznym zapachem sosen. Okrągły księżyc, wschodzący nad ciemnym, spokojnym morzem. Odgłosy cykad. Tak było na Malcie, gdzie pojechała po ślubie z Philipem, tak było na południu Francji podczas jej podróży poślubnej z Geraldem.

Podniosła wzrok i zauważyła, że Gerald jej się przygląda. Uśmiechnęła się, a on przesłał jej dyskretnego całusa.

Drusilla nie zjawiła się, a gdy zapadł zmierzch, zaczęła w swym domku grać na flecie. Goście Ivana dobrze się już bawili. Wszyscy wypili sporo szampana, a Sylwia zaczęła opowiadać Geraldowi starą anegdotę, która zawsze go rozśmieszała. Kiedy jednak w wieczornym powietrzu uniosły się pierwsze słodkie tony muzyki, śmiechy i głosy ucichły. Nawet Sylwia zamilkła.

Mozart. „Eine Kleine Nachtmusik”. Magiczna muzyka. Wydawało się zdumiewające, że w osobie tak dziwacznej jak Drusilla kryje się tak niezwykły talent. Zasłuchanej, pogrążonej w zachwycie Eve przypomniał się dzień, w którym Gerald zabrał ją po raz pierwszy na festiwal muzyczny do Glyndebourne. Pomyślała, że nastrój dzisiejszej uroczystości jest dość podobny, a wzniosłe doznania wywołane grą Drusilli równie przyjemne.

Kiedy krótki koncert dobiegł końca, wszyscy siedzieli jak urzeczeni, a potem zaczęli spontanicznie bić brawo.

- Drusilla! - zawołał Gerald, wstając z krzesła. - Drusilla! Bravo! Przyłącz się do nas. Zasłużyłaś na nagrodę za to, że sprawiłaś nam tyle przyjemności.

Po chwili Drusilla pojawiła się na progu swego domku i stanęła ze splecionymi na piersiach rękami, opierając się ramieniem o framugę. Burza niesfornych jasnych włosów i oryginalny strój podkreślały tajemniczą malowniczość jej postaci.

- Czy podobało się państwu? - spytała.

- „Podobało się”, to zbyt mało powiedziane. Grasz jak anioł. Chodź i napij się z nami szampana.

Drusilla odwróciła głowę i, podobnie jak zrobiła to May, obrzuciła wszystkich badawczym spojrzeniem. Jej twarz nigdy nie była zbyt ekspresyjna, ale teraz nikt nie potrafił odgadnąć, o czym myśli.

- Nie przyjdę - powiedziała po chwili. - Ale dziękuję za zaproszenie.

Weszła do swego domku i zamknęła drzwi. Nie zagrała już więcej na swym flecie.

# *Penjizal*

Pogoda zmieniała się, barometr gwałtownie opadał. Z południowego zachodu zaczął wiać ciepły, porywisty wiatr. Na horyzoncie gromadziły się ciemne kłęby chmur, a po nadal błękitnym niebie pędziły tabuny białych cumulusów. Morze, oglądane od strony ogrodów Tremenhoe nie było już tak lazurowe i gładkie jak jedwab, lecz pomarszczone szkwałami fal. Drzwi głośno trzaskały, okna skrzypiały, a suszące się od rana prześcieradła, poszewki i pieluszki małego Joshuy trzepotały i wydymały się na sznurze jak źle naciągnięte żagle.

Była sobota, a Eve, ku swej radości, miała kuchnię wyłącznie dla siebie. May poszła do siebie, zabierając stos rzeczy do cerowania i można było mieć nadzieję, że nie zjawią się ponownie przed lunchem. Drusilla, pchając przed sobą stary wózek z Joshuą, udała się do miasteczka po sprawunki. Z powodu porywistego wiatru zarzuciła sobie na ramiona wełniany szal, a także, co z zadowoleniem odnotowała Eve, ubrała swego syna w majtki i sfilcowany sweter, który kupiła na wyprzedazy.

Ponieważ w soboty fabryka była zamknięta, Ivan postanowił poświęcić wolny dzień Laurze i zabrał ją swym samochodem na zwiedzanie północnego wybrzeża, a zwłaszcza Penjizal Cove. Eve przygotowała dla nich koszyk z jedzeniem i przestrzegła Ivana, by nie pozwolił Laurze się przemęczyć.



- Ona była chora; nie wolno ci o tym zapominać. Dlatego właśnie tu przyjechała.

- Jesteś gderliwą, starą kwoką - odparł Ivan. - Co twoim zdaniem zamierzam zrobić? Zabrać ją na dziesięciomilową wspinaczkę?

- Dobrze wiem, jaki jesteś, a ja odpowiadam za nią przed Alekiem.

- Jaki jestem?

- Energiczny - odparła, myśląc, że mogłaby użyć znacznie dosadniejszego określenia.

- Urządzimy sobie piknik i być może popływamy.

- Czy nie będzie strasznie zimno?

- Jeśli wiatr zatrzyma się po tej stronie, zatoka Penjizal będzie osłonięta. Bądź spokojna. Zaopiekuję się nią.

Eve została sama. Była jedenasta, więc zaczęła przygotowywać kawę dla siebie i męża. Postawiła na tacy dwie filiżanki, mleko, cukier oraz imbirowe herbatniki dla Geralda i ruszyła korytarzem w kierunku jego gabinetu. Gerald siedział przy biurku nad jakimiś dokumentami, związany z administracją domu. Kiedy się zjawiła, odłożył pióro, usiadł wygodniej w fotelu i zdjął okulary.

- W domu zdaje się panować zadziwiający spokój - powiedział.

- To prawda. Nie ma tu nikogo, oprócz nas i May, która ceruje twoje skarpetki w swoim pokoju. - Postawiła przed nim tacę.

- Dwie filiżanki - zauważył.

- Jedna jest dla mnie. Usiądę, wypijemy kawę i spędzimy razem pięć minut na towarzyskiej, przez nikogo nie zakłócanej pogawędce.

- To będzie miła odmiana.

Eve wzięła filiżankę i poszła z nią w stronę stojącego pod oknem dużego fotela, w którym Gerald ucinał sobie niekiedy popołudniową drzemkę lub czytywał wieczorami gazety. Siedząc w fotelu, Eve wydawała się jeszcze drobniejsza, gdyż został on zaprojektowany dla postawnego

mężczyzny, podobnie jak cały gabinet, wyłożony boazerią i pełen fotografii okrętów oraz rozmaitych pamiątek z okresu służby Geralda w Marynarce.

- Co robi Laura? - spytał.

- Ivan zabrał ją samochodem na całodniową wycieczkę. Dałam im koszyk z jedzeniem. Chyba pojechali do Penjizal, by popatrzeć na foki.

- Mam nadzieję, że Ivan zachowa się przyzwoicie.

- Powiedziałam mu, żeby nie pozwolił jej się przemęczać.

- Nie to miałem na myśli - odparł Gerald. Bardzo lubił Ivana, ale nie miał co do niego żadnych złudzeń.

- Och, musisz mu trochę zaufać. Po prostu jest dla niej uprzejmy. Laura jest żoną Aleka, a poza tym jest starsza od Ivana.

- Twoja argumentacja nie wydaje mi się przekonująca. Laura jest bardzo ładną kobietą.

- Masz rację. Nie przypuszczałam, że jest taka ładna. Sądziłam, że będzie niepozorna i zalękniona. I myślę, że taka była, kiedy Alek ją poznał. Zdumiewające jest jednak to, co odrobina troskliwej miłości i kilka kosztownych strojów może zrobić z najbardziej nawet niepozornej kobiety.

- Dlaczego myślisz, że była niepozorna i zalękniona?

- Och, po prostu na podstawie tego, co mi opowiedziała w ciągu ostatnich kilku dni. Jest jedynaczką, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, a ją wychowywała ciotka.

- Niezameżna zgorzkniała staruszka?

- Nie, chyba dość pogodna osoba. Jest wdową. Mieszkały w Hampstead. Ale kiedy Laura dorosła, znalazła sobie posadę oraz małe samodzielne mieszkanie i, o ile dobrze zrozumiałam, żyła tak przez następne piętnaście lat. Pracowała w jakimś wydawnictwie. Doszła do stanowiska redaktora.

- To dowodzi raczej, że jest kobietą inteligentną, a nie zalęknioną i niepozorną.

- Ale wynika z tego, że nie jest zbyt przedsiębiorcza. Sama to przyznaje,

- Lubisz ją, prawda? - spytał Gerald, mieszając kawę.

- Bardzo.

- Czy sądzisz, że jest szczęśliwa z Alekiem?

- Tak. Myślę, że tak.

- Nie jesteś tego pewna.

- Ona jest zamknięta w sobie. Niewiele o nim mówi.

- Może jest po prostu skryta.

- Pragnie mieć dziecko.

- Co ją od tego powstrzymuje?

- Och, jakieś tajemnicze kobiece komplikacje ze zdrowiem. Nie zrozumiałbyś tego.

Gerald, człowiek światowy, przyjął tę ogólnikową wypowiedź bez komentarza.

- Czy brak dziecka będzie miał dla nich wielkie znaczenie? - spytał.

- Sądzę, że dla niej tak.

- A dla Aleka? Musi mieć już z pięćdziesiąt lat. Czy chciałby, żeby kręcił mu się po całym domu wrzeszczący brzdąc?

- Tego nie wiem. - Eve uśmiechnęła się łagodnie. - Nie pytałam go.

- Być może, gdyby...

Nagle rozległ się dzwonek stojącego na biurku telefonu.

- Cholera - zaklął Gerald.

- Nie odbieraj. Udawajmy, że nie ma nas w domu...

Ale Gerald podniósł już słuchawkę.

- Tremmenheere.

- Gerald?

- Tak.

- Mówi Sylwia... Ja... och, Gerald...

Eve dość wyraźnie słyszała jej głos i natychmiast zdała sobie z przerażeniem sprawę, że Sylwia tonie we łzach.

- Co się stało? - spytał Gerald, marszcząc brwi.

- Coś strasznego... okropnego... ohydneho...

- Sylwio, o co chodzi?

- Nie mogę... Nie mogę powiedzieć ci tego przez telefon. Och, czy mógłbyś przyjechać? Razem z Eve? Nikt inny. Tylko ty i Eve...

- Co, mamy przyjechać teraz?

- Tak... natychmiast. Proszę. Przepraszam, ale nie ma nikogo...

Gerald spojrział na Eve, która gorączkowo kiwnęła głową.

- Przyjedziemy - zapewnił ją pocieszającym tonem. - Czekaj na nas i spróbuj się uspokoić. Będziemy tam za jakieś pięć minut.

Zdecydowanym ruchem odłożył słuchawkę, zanim Sylwia zdążyła powiedzieć coś więcej. Potem popatrzył na siedzącą po drugiej stronie biurka żonę i dostrzegł jej zaleknione, pytające spojrzenie.

- To była Sylwia - oznajmił niepotrzebnie. - Na tym kończy się nasza spokojna, towarzyska pogawędka.

- Ale o co chodzi?

- Bóg raczy wiedzieć. Przeklęta baba. Z jakiegoś powodu wpadła w histerię. - Wstał, odsuwając krzesło. Eve również zerwała się z fotela, nadal trzymając w drżącej dłoni filiżankę, która cicho pobrzękiwała o spodek. Gerald wziął ją i odstawił na tacę.

- Chodź. - Otoczył ją ramieniem i delikatnie pociągnął w kierunku wyjścia. - Lepiej będzie, jeśli weźmiemy samochód.

Drogę do miasteczka pokrywały opadające z drzew zielone liście. Kiedy skręcili w bramę prowadzącą do domu Sylwii, Eve zauważyła, że drzwi frontowe są otwarte. Dręczona obawami, wysiadła z samochodu, zanim Gerald zdążył zgasić silnik.

- Sylwia!

Kiedy wbiegła do wnętrza domu, dostrzegła w drzwiach salonu Sylwię. Na jej twarzy malowała się rozpacz.

- Och... Eve, tak się cieszę, że jesteś.

Padła jej w ramiona, płacząc i mówiąc coś bez związku. Eve, głaszcząc ją po plecach, szeptała jej do ucha pocieszające słowa.

- Dobrze... już dobrze, wszystko jest w porządku. Jesteśmy z tobą.

Gerald, który wszedł tuż za swą żoną, zdecydowanym ruchem zamknął drzwi frontowe.

- Przestań płakać, Sylwio - powiedział po chwili. - Uspokój się.

-Przepraszam... jesteście aniołami... - Sylwia, odzyskawszy z trudem panowanie nad sobą, odsunęła się od Eve, a potem wyciągnęła schowaną w rękawie swetra chusteczkę i demonstracyjnie wytarła nią swą moką od łez twarz. Eve była głęboko wstrząśnięta jej wyglądem. Chyba nigdy nie widziała Sylwii bez makijażu, więc teraz wydawała jej się obnażona, bezbronna i znacznie starsza. Miała włosy w nieładzie i nie mogła opanować drżenia opalonych, zniszczonych od pracy w ogrodzie rąk.

- Chodźmy - powiedział Gerald - i usiądźmy gdzieś spokojnie. Wtedy o wszystkim nam opowiesz.

- Tak... tak, oczywiście.

Odwróciła się, a Gerald i Eve weszli za nią do małego salonu. Eve, która poczuła, że ma nogi jak z waty, zajęła miejsce w rogu kanapy. Gerald przysunął sobie stojące za biurkiem krzesło i usiadł na nim prosto, z nieugiętym wyrazem twarzy. Najwyraźniej postanowił zapanować nad przebiegiem rozmowy.

- No więc. O co chodzi?

Sylwia, drżącym głosem, opowiedziała im całą historię, co jakiś czas przerywając ją szlochami. Robiła w miasteczku jakieś zakupy. Kiedy wróciła, poranna poczta leżała już na wycieraczce. Parę rachunków i... to...

Wzięła z biurka małą, gładką, brązową kopertę i podała ją Geraldowi.

- Czy chcesz, żebym ją otworzył? - spytał Gerald.

-Tak.

Włożył okulary i wyciągnął list. Była to kartka bladobiałego papieru. Rozłożył ją i przeczytał. Nie trwało to długo.

- Rozumiem - powiedział po chwili.

- Co to jest? - spytała Eve.

Gerald wstał i w milczeniu podał jej kartkę. Eve wzięła ją od niego tak ostrożnie, jakby bała się, że jest skażona. Gerald usiadł z powrotem na krześle i zaczął dokładnie oglądać kopertę.

Eve trzymała w ręku liniowaną kartkę z dzieciennego zeszytu, ozdobioną u góry wizerunkiem jakiejś odrażającej czarownicy. Słowa listu złożone były z liter wyciętych z nagłówek gazet, starannie naklejonych na papier:

ZADAWAŁAŚ SIĘ z iNNymi MEŻCZYZNAMI  
I WPĘDZIŁAŚ SWOJEGO MĘŻA  
w PIJAŃSTWO ZaBIŁAŚ GO  
POwiNnaś Się WStyDziĆ

Eve pomyślała, że po raz pierwszy w życiu **styka się** z niegodziwością. Poczowała odrazę i ogromny lęk.

- Och, Sylwio!

- Co... co ja mam zrobić?

Eve przełknęła ślinę. Starła się zachować dystans do całej sprawy.

- Jak wygląda adres? - spytała.

Gerald podał jej kopertę, a ona stwierdziła, że nierówne litery odcisnięte zostały za pomocą gumowej pieczętki. Być może nadawca posłużył się dziecięcą drukarką. Znaczek na zwykły list. Stempel miejscowego urzędu pocztowego z wczorajszą datą. To było wszystko.

Zwróciła list i kopertę Geraldowi.

- Sylwio, czy masz choćby najmniejsze podejrzenie, kto mógł przysłać ci coś tak okropnego?

Sylwia, która stała przy oknie, tyłem do nich, odwróciła głowę i spojrzała na Eve. Jej oczy były zapuchnięte od płą-

czu. Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie. Sylwia milczała. Eve odwróciła się do Geralda, szukając w nim oparcia, ale on tylko obserwował ją znad swoich okularów. Na jego twarzy malowało się pełne troski przygnębienie. Oboje czytali w swoich myślach. Ale żadne z nich nie miało odwagi wymówić imienia.

Eve westchnęła głośno.

- Myślisz, że to May, prawda?

Ani Gerald, ani Sylwia nie odezwali się ani słowem.

- Myślisz, że to May. Wiem, że tak myślisz... - powiedziała podniesionym, drżącym głosem. Zaciśnęła zęby, tłumiąc napływywające jej do oczu łzy.

- A co ty myślisz? - spytał cicho Gerald.

- Sama nie wiem, co o tym sądzić - odparła, potrząsając głową.

- Dlaczego May miałyby napisać do ciebie taki list? - spytał Gerald, patrząc na Sylwię. - Co mogłoby ją do tego skłonić?

- Nie mam pojęcia. - Przestała już płakać, uspokoiła się i odzyskała panowanie nad sobą. Trzymając ręce w kieszeniach spodni, odeszła od okna i zaczęła przechadzać się nerwowo po pokoju. - Ale wiem, że mnie nie lubi.

- Och, Sylwio.

- To prawda, Eve. Nigdy się tym specjalnie nie przejmowałam, ale z jakiegoś powodu May nie może znieść mojego widoku.

Eve, wiedząc, że Sylwia ma raczej, siedziała pogrążona w posępnym milczeniu.

- Nawet jeśli masz słuszość, trudno to uznać za wystarczający motyw - powiedział Gerald.

- Wszystko się zgadza. Tom istotnie zapisał się na śmierć.

Eve była zaszokowana jej opanowaniem, ale równocześnie pełna podziwu. Szczerść, z jaką Sylwia mówiła o swej osobistej tragedii, dowodziła jej zdaniem rozsądku i wielkiej odwagi.

- Wiem, że May ma wyrobione poglądy na temat picia -

oznajmił Gerald - a jej wypowiedzi często bywają irytujące. Ale przecież autor tego anonimu nie zarzuca ci nadużywania alkoholu.

- Ale zarzuca mi, że zadawałam się z innymi mężczyznami. Czy do tego zmierzasz?

- Do niczego nie zmierzam. Staram się być obiektywny. I nie sądzę, by May mogło obchodzić twoje życie prywatne lub twoi przyjaciele.

- Chyba, że chodziłoby o Ivana.

- O Ivana? - W głosie Eve zabrzmiało niedowierzanie. - Chyba żartujesz.

- Bynajmniej. Och, Eve, kochanie, nie rób takiej przerażonej miny... chodzi mi o to, że czasem, kiedy nie ma was w domu, Ivan zaprasza mnie do siebie na drinka... Po prostu jest uprzejmy. Kiedyś zawiózł mnie do Falmouth na przyjęcie, na które oboje się wybieraliśmy. Nie ma w tym nic złego. Nic. Ale zauważyłam, że stara May szpiegowała nas z okna swego pokoju. Nic nie uchodzi jej uwagi. Być może sądzi, że go demoralizuję czy coś w tym rodzaju. Stare niańki zawsze są zaborcze, a bądź co bądź, on jest jej wychowankiem.

Eve splótła mocno dłonie na kolanach. W uszach zabrzmiał jej głos May: „Hmm. Samotna. Mogłabym powiedzieć ci na ten temat to i owo, ale z pewnością nie zechcesz mnie słuchać”.

Oczami wyobraźni ujrzała album. Dziwny album, gazety, nożyczki i klej. Przypomniała sobie plastikową torbę z flagą brytyjską, tajemniczo wypchaną jakimiś przedmiotami, które May kupiła podczas swej wyprawy do Truro. Zaczęła się zastanawiać, czy w torbie niańki był papier listowy z wizerunkiem czarownicy i dziecięcy zestaw drukarski.

„Och, May, moja kochana May, coś ty zrobiła? ”

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić - powiedziała.

- O co ci chodzi? - spytała Sylwia, marszcząc czoło.

- Nie wolno ci nikomu mówić o tej strasznej sprawie.

- Ale przecież to jest przestępstwo.

- May jest już bardzo starą kobietą...



- Musi być obłąkana, żeby wysłać coś takiego.

-Może... może jest... trochę... - Eve nie była w stanie wykrztusić słowa „obłąkana”. - ... zdziwaczała - dokończyła słabym głosem.

- Został wysłany wczoraj - stwierdził Gerald, ponownie oglądając kopertę. - Czy May była wczoraj w miasteczku?

- Och, nie wiem. Ona ciągle zagląda na pocztę. Traktuje to jak codzienny spacer. Odbiera tam swoją emeryturę, kupuje miętówki i przędę do cerowania.

- Czy panienka na poczcie mogła ją zapamiętać?

- May nie musiała wstępować na pocztę. Ma zawsze zapas znaczków w torebce. Stale je od niej pożyczam. Mogła po prostu wrzucić list do skrzynki i wrócić do domu.

Gerald kiwnął głową, przyznając jej rację. Zapadło milczenie. Eve nękał obraz May, która w swojej wełnianej czapce wychodzi wolno z bramy Tremenheere, idzie do miasteczka i wrzuca jadowity list do otworu czerwonej skrzynki pocztowej.

Sylwia podeszła do kominka, wzięła papierosa z leżącej na gzymsie paczki i zapaliła go. Stała, wpatrując się w puste, nie sprzątnięte palenisko.

- Nigdy nie mogła mnie znieść - powtórzyła Sylwia. - Zawsze to czułam. Nie wiem, czy kiedykolwiek usłyszałam od tej starej krowy jakieś miłe słowo.

- Nie masz prawa tak się o niej wyrażać! Nie wolno ci nazywać May starą krową. Może popełniła ten haniebny czyn, ale jest przecież zdziwaczała i stara. A jeśli ktokolwiek się o tym dowie... jeśli zawiadomimy policję lub kogokolwiek, kogo powinniśmy zawiadomić, zaczną nam zadawać pytania i... nikt nie zrozumie... i May naprawdę postrada zmysły... i zabiorą ją... i...

Bezskutecznie usiłowała powstrzymać łzy, ale Gerald natychmiast wstał z krzesła i usiadł obok niej na kanapie. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła twarz do jego piersi. Wstrząsana szlochem, wypłakiwała się w klapę jego granatowej marynarki.

- Dobrze, już dobrze - mówił łagodnym tonem Gerald, głaszcząc ją po plecach, tak samo jak przedtem ona Sylwię.  
 - Wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie w najlepszym porządku.

- Przepraszam cię - powiedziała Eve do Sylwii, kiedy odzyskała w końcu panowanie nad sobą. - Przyjechaliśmy tu, by ci pomóc, a ja zaczynam się rozklejać.

Sylwia zdobyła się na niezbyt przekonujący uśmiech.

- Biedny Gerald, cóż z nas za okropne kobiety. Nie chciałam was w to wciągać, ale uznałam, że musicie się o tym dowiedzieć. Bo tylko May przyszła mi do głowy, kiedy otworzyłam kopertę i przeczytałam z przerażeniem ten straszny list. - Przestała chodzić po pokoju, stanęła obok kanapy, pochyliła się i pocałowała Eve w policzek. - Nie denerwuj się. Ja nie zamierzam się już dłużej tym przejmować. I wiem, jak bardzo ją lubisz...

Eve wytarła nos.

- Myślę - powiedział Gerald, zerkając na zegarek - że powinniśmy się czegoś napić. Sylwio, czy nie masz przypadkiem w domu odrobiny koniaku?

Miała. Wypili po kieliszku, omawiając całą sytuację. W końcu postanowili nie robić nic i nikomu o tym nie mówić. Gerald stwierdził, że jeśli ten list istotnie wysłała May, zapewne zrobiła to na skutek demencji, a jej pamięć jest tak zawodna, iż do tej pory zapomniała już chyba o całej sprawie. Poprosił jednak Sylwię, by zawiadomiła go, gdyby coś takiego wydarzyło się ponownie.

Sylwia zgodziła się i oznajmiła, że zamierza spalić list.

- Nie wolno ci tego zrobić - powiedział Gerald stanowczym tonem. - Nigdy nic nie wiadomo. Jeśli sprawy ułożą się niepomyślnie, może on być potrzebny jako dowód rzeczowy. Jeśli chcesz, przechowam go u siebie.

- Nie pozwolę ci na to. Nie zniosłabym myśli, że kała on Tremenheere. Nie, schowam go w szufladzie biurka i zapomnę o nim.

- Przyrzeknij, że go nie spalisz.

- Przysięgam, Geraldzie. - Uśmiechnęła się do niego jak zawsze ujmująco. - Jaka byłam głupia, żeby tak się tym przejąć.

- Wcale nie byłaś głupia. Anonim jest czymś przerażającym.

- Tak mi przykro - powiedziała Eve. - Tak strasznie mi przykro. W pewnym sensie czuję się za to osobiście odpowiedzialna. Ale jeśli spróbujesz wybaczyć biednej May i zrozumiesz moje położenie...

- Ależ oczywiście, że rozumiem.

Gerald i Eve w milczeniu przebyli niewielką odległość dzielącą ich od Tremenheere. Gerald zaparkował samochód na dziedzińcu i weszli do domu tylnymi drzwiami. Eve minęła kuchnię i ruszyła w kierunku bocznych schodów.

- Dokąd idziesz? - spytał Gerald.

Eve zatrzymała się z ręką na poręczy i odwróciwszy głowę, spojrzała na niego.

- Idę na górę zobaczyć się z May - odparła.

- Po co?

- Nic jej nie powiem. Chcę tylko sprawdzić, czy dobrze się czuje.

Zanim skończyli jeść lunch, Eve dostała silnego, pulsującego bólu głowy. Gerald zauważył, że w tych okolicznościach trudno się temu dziwić. Eve zażyła dwie aspiryny i położyła się do łóżka, co robiła niezwykle rzadko. Aspiryna poskutkowała, a Eve przespała całe popołudnie. Obudził ją dzwonek telefonu. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że minęła już szósta. Podniosła słuchawkę.

- Tremenheere.

- Eve?

Był to Alek, który dzwonił ze Szkocji i chciał porozmawiać z Laurą.

- Nie ma jej w domu. Pojechała z Ivanem do Penjizal

i chyba jeszcze nie wrócili. Czy mam ją poprosić, żeby do ciebie zadzwoniła?

- Nie, zatelefonuję później. Koło dziewiątej.

Wymienili kilka zdawkowych uwag, a potem rozłączyli się.

Eve leżała jeszcze przez chwilę, obserwując przez otwarte okno pędzące po niebie chmury. Ból głowy szczęśliwie mijał, ale nadal czuła się bardzo zmęczona. Musiała jednak przygotować kolację. Wstała i poszła do łazienki, by wziąć prysznic.

\* \* \*

Wiodąca na szczyt urwiska dróżka była poryta koleinami, kręta i tak wąska, że rosnące po obu jej stronach krzewy janowca, pokryte żółtymi kwiatami i pachnące migdałami, ocierały się o błotniki samochodu Ivana. Dookoła rozpościerały się pastwiska, na których skubały trawę krowy. Pastwiska te oddzielone były od siebie kamiennymi murami i tworzyły coś w rodzaju szachownicy. Teren był skalisty, więc harmonię zielonych przestrzeni zakłócały sterczące tu i ówdzie granitowe bloki.

Dróżka kończyła się na podwórzu jakiegoś gospodarstwa. Siedzący na traktorze mężczyzna ładował gnój podnośnikiem widłowym. Ivan wysiadł z samochodu i podszedł do niego, by porozmawiać. Musiał podnieść głos, by przechrzyczeć warkot silnika.

- Cześć, Harry.

- Cześć, Ivan.

- Czy możemy zostawić tu samochód? Chcemy zejść nad zatokę.

- Oczywiście. Nikomu nie będzie tu przeszkadzał.

Ivan wrócił do samochodu, a farmer ponownie zabrał się do pracy.

- Wysiadajcie! - zawołał Ivan do Laury i Lucy. Zarzucił sobie plecak na ramię, wziął koszyk z jedzeniem i ruszył w stronę morza. Dróżka zwężała się w kamienistą ścieżkę,

opadając w dolinę, gęsto porośniętą fuksjami. Płynął przez nią ukryty w gąszczu leszczyny strumyk. Kiedy zbliżyli się do stromych urwisk, dolina przeszła w głęboki wąwóz, pełen paproci i krzaków jeżyn. Przed nimi rozpościerało się morze.

W tym miejscu strumyk wynurzał się z gąszczu i spływał ze wzgórza po utkanym z kaczeńców dywanie. Ivan i Laura przeszli nad nim po drewnianej kładce i zatrzymali się na krawędzi urwiska.

Szorstka trawa pod ich stopami poprzerastana była kępami wrzosu i usiana kwiatami nadmorskich goździków. Orzeźwiający, nasycony solą wiatr zwiewał Laurze włosy na twarz. Nastąpiła pora odpływu. W tym miejscu nie było piaszczystej plaży, tylko ostre, postrzępione skały, ciągnące się aż do linii brzegu. Pokryte szmaragdowymi wodorostami lśniły w promieniach słońca. Ogromne fale piętrzyły się na otwartym morzu - Laura musiała sobie przypomnieć, że jest to Ocean Atlantycki - i uderzały z wściekłym hukiem o brzeg, tworząc kłęby białej piany. Za pasmem przybrzeżnych fal rozciągała się aż do horyzontu tafla wody, a Laura stwierdziła z zachwytem, że jej kolor zawiera wszystkie odcienie błękitu: turkus, akwamarynę, indygo i fiolet. Nigdy jeszcze nie widziała takiej gamy barw.

- Czy morze zawsze tak wygląda? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie. Bywa też zielone. Lub granatowe. A niekiedy, w ponure, mroźne, zimowe wieczory przybiera szczególnie posępny odcień szarości. - Wskazał ręką jakiś punkt w oddali. - Tam właśnie idziemy.

Laura spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła otoczony bastionem skał wielki, naturalny basen, lśniący w promieniach słońca jak olbrzymi klejnot.

- Jak się tam dostaniemy?

- Tą małą ścieżką, a potem po skałach. Ja pójdę pierwszy. Uważaj na nogi, bo droga jest zdradliwa. I lepiej weź Lucy na ręce, żeby nie spadła w przepaść.

Po długiej męczącej wędrówce, która trwała niemal pół godziny, dotarli wreszcie do celu. Laura pokonała ostatnie strome wzniesienie i stanęła obok Ivana na dużym, skalistym płaskowyżu, który łagodnie opadał ku obrzeżu basenu.

Ivan umieścił koszyk z jedzeniem w jakiejś szczelinie skalnej i zrzucił z ramienia plecak z ich sprzętem pływackim. Uśmiechnął się do Laury.

- Brawo. Udało nam się.

Laura postawiła na ziemi Lucy, która natychmiast zaczęła obwąchiwać teren, ale nie udało jej się wpaść na trop królika. Wszędzie pachniało tylko wodorostami i mięczakami. Po chwili znudzona i zmęczona upałem znalazła sobie zacienione miejsce i zwinąwszy się w kłębek zasnęła.

Ivan i Laura przebrali się w stroje kąpielowe i poszli pływać. Wskakiwali do chłodnej słonej wody, głębokiej na co najmniej dwadzieścia stóp, przejrzystej i błękitnej jak kryształ skalny. Dno usiane było jasnymi, okrągłymi kamyczkami. Ivan zanurkował, wyłowił jeden z nich i podał go Laurze.

- Nie jest to perła, ale będziesz musiała się nim zadowolić.

Po jakimś czasie wyszli z wody i położyli się na słońcu, osłonięci skałami od wiatru. Laura rozpakowała koszyk. Jedli kurczaka na zimno, pomidory z ogrodów Tremenheere, chrupiący chleb i jędrne, soczyste, pokryte meszkiem brzoskwinie. Pili wino, które Ivan uprzednio ochłodził, zanurzając butelkę w jakiejś skalnej rozpadlinie. Pływające w niej krewetki rozpierzchnęły się, kiedy ten dziwny przedmiot wtargnął w ich prywatny świat.

- Pewnie myślą, że to jakiś Marsjanin - zażartował Ivan.  
- Jakaś istota z przestrzeni kosmicznej.

Słońce piekło, skały były rozgrzane.

- W Tremenheere było pochmurno - zauważyła Laura, leżąc na plecach i patrząc w niebo.

- Wiatr przegnał chmury nad tamto wybrzeże.

- Dlaczego tu panują inne warunki klimatyczne?
- Inne wybrzeże, inny ocean. W Tremenheere rosną palmy i kamelie. Tu prawie nie ma drzew, a *escallonia* jest chyba jedynym krzewem, który znosi te wiatry.
- Czuję się jak w innym kraju - powiedziała Laura. - Jak byśmy byli za granicą.
- Jak często wyjeżdżałaś z Anglii?
- Niezbyt często. Raz pojechałam do Szwajcarii na grupową wycieczkę narciarską. A Alek zabrał mnie do Paryża w podróż poślubną.
- To brzmi bardzo romantycznie.
- Istotnie, ale spędziliśmy tam tylko weekend, bo Alek był w trakcie załatwiania jakiejś ważnej transakcji i musiał wracać do Londynu.
- Kiedy się pobraliście?
- W listopadzie zeszłego roku.
- Gdzie?
- W Londynie. W urzędzie stanu cywilnego... **Cały dzień** padał deszcz.
- Kto był na waszym ślubie?
- Laura otworzyła oczy. Ivan leżał obok niej, opierając się na łokciu i patrząc w jej twarz.
- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - spytała z uśmiechem.
- Próbuję to sobie wyobrazić.
- W gruncie rzeczy... nie było nikogo, oprócz Phyllis i kierowcy Aleka, bo musieliśmy mieć dwóch świadków. - Opowiadała mu już o swojej ciotce. - Po ślubie Alek zaprosił Phyllis i mnie na lunch do Ritza, a potem poleciliśmy we dwoje do Paryża.
- Jak byłaś ubrana?
- Nawet nie pamiętam - odparła ze śmiechem. - Och, tak, przypomniałam sobie. Włożyłam jakąś suknię, którą miałam już od lat. A Alek kupił mi bukiet ślubny z goździków i frezji. Goździki śmierdziały sosem chlebowym, ale frezje pachniały bosko.
- Jak długo go znałaś?

- Chyba miesiąc.

- Czy mieszkaliście razem?

- Nie.

- Jak się poznaliście?

- Och - Laura usiadła, opierając łokcie na kolanach. - Na jakimś przyjęciu. Bardzo banalne. - Obserwowała fale uderzające o skały. - Ivan, zaczyna się przypływu.

- Wiem. To naturalna kolej rzeczy. Ma to coś wspólnego z fazami księżycy. Ale nie musimy się jeszcze przenosić.

- Czy zaleje ten basen?

- Owszem, właśnie dlatego woda jest tak przejrzysta. Fale zatapiają go dwa razy w ciągu dnia. Morze zalewa miejsce, w którym teraz siedzimy i sięga znacznie dalej. Ale nastąpi to nie wcześniej niż za jakąś godzinę. Jeśli będziemy mieli szczęście i wyteżymy wzrok, zobaczymy foki. Zawsze pojawiają się tu podczas przypływu.

Laura uniosła głowę, a wiatr rozwiązał jej mokre włosy.

- Opowiedz mi coś jeszcze o Aleku - poprosił Ivan.

- Nie ma już nic więcej do opowiedzenia. Pobraliśmy się. Pojechaliśmy w podróż poślubną. Wróciliśmy do Londynu.

- Czy jesteś z nim szczęśliwa?

- Oczywiście.

- Jest od ciebie o wiele starszy.

- Zaledwie o piętnaście lat.

- Zaledwie. - Rozeźmiał się. - Gdybym ożenił się z dziewczyną o piętnaście lat młodszą od siebie, miałaby... osiemnaście.

- Byłaby wystarczająco dorosła.

- Chyba masz rację. Ale sama myśl o tym wydaje mi się absurdalna.

- Czy sądzisz, że postąpiłam absurdalnie, wychodząc za Aleka?

- Skądże. Uważam to za coś wspaniałego. Moim zdaniem Alek jest wielkim szczęściarzem.

- To ja miałam szczęście.



- Kochasz go?

- Oczywiście.

- Czy się w nim zakochałaś? Być zakochanym to nie to samo co kochać, prawda?

- Owszem. To nie to samo. - Pochyliła się i wyjęła ze szczeliny niewielki kamyk. Potem rzuciła go przed siebie, a on odbił się od skały i z cichym pluskiem zatonął w basenie.

- A więc poznałaś Aleka na jakimś przyjęciu. „To jest Alek Haverstock” - powiedziała pani domu, a wasze spotkanie spotkały się nad tacą z drinkami i...

- Nie - mruknęła cicho Laura.

- Nie?

- Nie. To wcale nie było tak.

- Więc jak?

- Spotkaliśmy się wtedy **po raz pierwszy, ale widziałam go** już wcześniej.

- Opowiedz mi o tym.

- A nie będziesz się śmiała?

- Nigdy nie śmieję się z poważnych rzeczy.

- Więc... po raz pierwszy zobaczyłam go sześć lat wcześniej. Było to w porze przerwy obiadowej. Poszłam odwiedzić przyjaciółkę, która pracowała w galerii sztuki na Bond Street. Zamierzałyśmy razem zjeść lunch, ale ona nie mogła wyjść z pracy. Dlatego właśnie poszłam do niej. W galerii nie było wielkiego ruchu, więc po prostu siedziałyśmy, spokojnie gawędząc. W pewnym momencie zjawił się tam Alek. Porozmawiał chwilę z moją przyjaciółką, a potem kupił katalog i poszedł oglądać obrazy. Patrząc na niego, pomyślałam sobie: „To jest mężczyzna, za którego wyjdę za mąż”. Spytałam moją przyjaciółkę, kim on jest. A ona odparła, że nazywa się Alek Haverstock. Powiedziała, że często wpada do galerii w porze lunchu, by trochę się rozejrzeć, a od czasu do czasu kupuje obrazy. „Co on robi?” - spytałam, a ona wszystko mi opowiedziała... że pracuje w Sandberg Harpers, Northern Investment Trust... że do-

brze mu się powodzi, że ma piękną żonę i wspaniałą córkę. A ja pomyślałam: „To zabawne. Przecież ożeni się”ze mną”.

Zamilkła. Znalazła kolejny kamyk i wrzuciła go do basenu.

- I to wszystko? - spytał Ivan.

- Tak, to wszystko.

- Moim zdaniem to zdumiewające.

- Ale to prawda - powiedziała, odwracając się i patrząc na niego.

- Ale co robiłaś przez te sześć lat? Siedziałaś i kręciłaś młynka palcami?

- Nie. Pracowałam. Żyłam. Po prostu istniałam.

- Czy kiedy spotkałaś go na tym przyjęciu, wiedziałaś już, że jego małżeństwo rozpadło się i że jest rozwiedziony?

- Owszem.

- Czy padłaś mu w objęcia, wołając: „Nareszcie”, i zarzucając mu ręce na szyję?

- Nie.

- Ale wiedziałaś?

- Tak, wiedziałam.

- A on też zapewne wiedział?

- Zapewne.

- Jesteś szczęśliwą kobietą, Lauro.

- Czy dlatego, że za niego wyszłam?

- Tak. Ale przede wszystkim dlatego, że byłaś taka bardzo pewna.

- Czy ty nigdy nie byłeś pewien?

- W gruncie rzeczy, nie - odparł, potrząsając głową. - Właśnie dlatego jestem nadal samotnym, wolnym, atrakcyjnym kawalerem. Tak przynajmniej lubię o sobie myśleć.

- Uważam, że jesteś atrakcyjny - oznajmiła. - Nie mogę pojąć, dlaczego dotąd się nie ożeniłeś.

- To długa historia.

- Wiem, że byłeś zaręczony. Powiedział mi o tym Alek.

- Jeśli zacznę o tym opowiadać, będziemy tu siedzieć do zmroku.

- Czy nie lubisz o tym mówić?
- Nie, w gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu. To była po prostu pomyłka. Ale nieszczęście polegało na tym, że zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy było za późno.
- Jak miała na imię?
- Czy to ważne?
- Ja odpowiedziałam na wszystkie twoje pytania. Teraz kolej na ciebie.
- Więc dobrze. Miała na imię June. Mieszkała w sercu Cotswolds, w pięknym, starym domu z witrażowymi oknami. W stajniach stały wspaniałe wierzchowce, na których polowała z psami na lisa. W ogrodzie znajdował się błękitny basen w kształcie nerki, ziemny kort tenisowy oraz wiele posągów i egzotycznych krzewów. Doszło do naszych zaręczyn, którym towarzyszyły huczne obchody, a jej matka przez siedem następných miesięcy przygotowywała najbardziej wystawne i najkosztowniejsze wesele, jakie sąsiedzi mieli widzieć od lat.
- Mój Boże - westchnęła Laura.
- To już przeszłość. W ostatniej chwili dałem nogę, znikając jak tchórz, którym zresztą jestem. Po prostu zdałem sobie sprawę, że nie łączy nas żadne tajemne porozumienie, że wcale nie jestem pewny swego uczucia, a zbyt lubiłem tę biedną dziewczynę, by skazywać ją na związek bez miłości.
- Uważam, że postąpiłeś bardzo odważnie.
- Nikt inny tak nie myślał. Nawet Eve była zła, może nie dlatego, że zerwałem zaręczyny, lecz dlatego, że kupiła sobie nowy kapelusz, a nigdy nie nosi kapeluszy.
- Ale dlaczego rzuciłeś pracę? Nie musiałeś chyba tego robić tylko dlatego, że zerwałeś zaręczyny.
- W gruncie rzeczy musiałem. Widzisz, tak się złożyło, że szefem firmy, w której pracowałem, był ojciec June. Miałem pecha, co?
- Laura nie umiała wymyślić żadnej odpowiedzi.

Była już siódma, kiedy wrócili do Tremenheere. Jadąc na południe przez wrzosowiska, a potem przez długą, zalesioną dolinę, która wiodła do miasteczka, zauważyli, że chmury coraz bardziej gęstnieją i przemieszczają się w stronę lądu. Po wspaniałej pogodzie, jaka panowała na północnym wybrzeżu, zaskoczyła ich mgła. Spowite w niej miasteczko było ledwie widoczne. Pochłaniała promienie zachodzącego, wieczornego słońca i przesuwała się od morza w ich kierunku.

- Cieszę się, że nie spędziliśmy tego dnia tutaj - powiedział Ivan. - Siedzielibyśmy w swetrach zamiast zażywać kąpieli słonecznej na skałach.

- Czy to już koniec ładnej pogody, czy też słońce jeszcze powróci?

- Och, słońce z pewnością jeszcze powróci. Zawsze powraca. Jutro może nastać kolejny upalny dzień. To tylko mgła od morza.

„Słońce zawsze powraca”. Pewność, z jaką Ivan to powiedział, podniosła Laurę na duchu. Optymizm jest cudowną cechą charakteru, a jedna z najbardziej ujmujących zalet Ivana polegała na tym, że zdawał się promieniować optymizmem. Nie umiała sobie wyobrazić, by kiedykolwiek był przygnębiony, a jeśli wpadał czasem w taki nastrój, nie trwało to długo. Nawet historię swych nieszczęśliwych zaręczyn i utraty pracy opowiedział z poczuciem humoru, obracając cały epizod w autoironiczny żart.

Ten optymizm był zaraźliwy. Siedząc obok Ivana w jego kabriolecie, zmęczona, spalona przez słońce i pokryta warstwą soli, czuła się beztroska jak dziecko i jak nigdy od dłuższego czasu spokojna o przyszłość. Przecież miała dopiero trzydzieści siedem lat. A więc była młoda. Przy odrobinie szczęścia będzie mogła zajść w ciążę. Może wtedy Alek sprzeda dom w Islington i kupi inny, większy, z ogrodem. Ten dom nie będzie już domem Eriki, lecz jej domem. A pokój dziecinny na piętrze będzie pokojem ich

dziecka, nie Gabrieli. I kiedy Daphne Boulderstone wpadnie z wizytą, nie będzie mogła siedzieć w sypialni Laury, robiąc uwagi na temat mebli i zasłon, bo nie będą one usprawiedliwione wspomnieniami związanymi z Eriką.

Skręcili w kierunku bramy Tremenhoe, przejechali pod arkadą i zatrzymali się przed drzwiami domku Ivana.

- Ivan, bardzo ci dziękuję. To był wspaniały dzień.

- A ja ci dziękuję za to, że ze mną pojechałaś. - Lucy, zwinęta dotąd w kłębek na kolanach Laury, usiadła, ziewnęła i zaczęła się rozglądać. Ivan pogłaskał ją po głowie, pociągając za długie jedwabiste uszy. Potem uniósł rękę Laury i w najbardziej naturalny na świecie sposób ucałował jej dłoń. - Mam nadzieję, że nie zmęczyłem was za bardzo.

- Nie wiem jak Lucy, ale ja od lat nie czułam się tak dobrze... i nie byłam taka szczęśliwa.

Rozstali się. Ivan musiał gdzieś zatelefonować, a potem zamierzał wziąć prysznic i przebrać się. Wiedział, że być może później wszyscy spotkają się na drinka. Zależało to od planów Eve i Geralda. Wyjął z plecaka mokre kostiumy kąpielowe i powiesił je na sznurze do suszenia bielizny.

Laura zaniósła koszyk do kuchni. Nie zastała tam nikogo. Nalała Lucy trochę wody, a potem wypakowała koszyk; wyrzuciła śmieci i zmyła plastikowe talerze oraz szklanki. Wyszła z kuchni i ruszyła korytarzem na poszukiwanie Eve.

Zastała ją siedzącą spokojnie w salonie. Za oknami unosiła się mgła, a spowita w niej okolica wyglądała dość przygnębiająco, więc Eve rozpałała w kominku, w którym teraz wesoło płonął ogień.

Przebrała się już na wieczór i szyła obicia na krzesła, ale kiedy Laura weszła do pokoju, odłożyła swą robotkę i zdjęła okulary.

- Czy przyjemnie spędziłaś dzień?

- Och, cudownie... - Laura opadła na krzesło i zaczęła opowiadać jej o wycieczce. - Pojechaliśmy do Penjizal, była przepiękna pogoda, ani chmurki na niebie. Pływaliśmy,

zjedliśmy lunch - za który dziękuję - a potem siedzieliśmy i czekaliśmy na przypływ. Widzieliśmy całe mnóstwo barszkujących w morzu fok, które miały śliczne, psie pyszczki. A kiedy nastał przypływ, wdrapaliśmy się z powrotem na skały i spędziliśmy tam resztę popołudnia. Później Ivan zabrał mnie do Lanyon, gdzie wypiliśmy piwo w jakimś pubie, a potem wyruszyliśmy do domu. Przepraszam, że wróciliśmy tak późno. Nie pomogłam ci w przygotowaniu kolacji ani w niczym...

- Och, nie przejmuj się, wszystko już gotowe.

- Widzę, że rozpaliłaś w kominku.

- Tak, było mi trochę chłodno.

- Jesteś blada - powiedziała Laura, przyglądając jej się dokładniej. - Czy dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście. W czasie lunchu rozboleła mnie trochę głowa, ale przespałam się i teraz już wszystko dobrze. Telefonował Alek. Tuż po szóstej. Ma zadzwonić ponownie o dziewiątej.

- Alek... ? Czego chciał?

- Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej chciał po prostu z tobą pogawędzić. Jak ci powiedziałam, ma zadzwonić jeszcze raz. - Uśmiechnęła się. - Wyglądasz wspaniale. Jak zupełnie inna osoba. Alek cię nie pozna, kiedy tu przyjedzie.

- Czuję się wspaniale - oznajmiła Laura. Wstała i ruszyła w stronę wyjścia, zamierzając udać się do swego pokoju i wziąć kąpiel. - Czuję się jak zupełnie inna osoba. - Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Eve patrzyła za nią przez chwilę, marszcząc lekko brwi. Potem westchnęła, włożyła okulary i zabrała się z powrotem do szycia.

\* \* \*

Gerald stał przy toaletce z uniesionym podbródkiem, patrząc w lustro i podciągając węzeł swego krawata. Ciemnoniebieskiego, jedwabnego krawata, ozdobionego czerwonymi koronami, które były insygniami Marynarki Wojen-

nej. Węzeł osiadł precyzyjnie pomiędzy dwoma sztywnymi końcami kołnierzyka jego koszuli. Uporawszy się z tym zadaniem, wziął z toaletki oprawną w kość słoniową szczotkę i przystąpił do czesania tego, co pozostało z jego włosów.

Starannie ułożył szczotkę w równym rzędzie między szczotką do czyszczenia ubrań, pudełkiem na spinki, nożyczkami do paznokci i oprawioną w srebrną ramkę fotografią Eve, wykonaną w dniu ich ślubu.

W jego garderobie - podobnie jak niegdyś w jego kajucie - panował wzorowy porządek. Ubrania były złożone, buty stały parami; nic nigdy nie leżało na wierzchu. Pokój nawet przypominał kajutę. Pojedyncze łóżko, w którym czasami sypiał, kiedy miał gripę lub Eve bolała głowa, było wąskie, ale funkcjonalne, starannie pościelone w kostkę i przykryte granatowym kocem. Funkcję toaletki pełniła stara, marynarska skrzynia z dwoma mosiężnymi uchwyta-  
mi. Na ścianach wisiały grupowe fotografie: jego klasa w Dartmouth, załoga okrętu „Excellent” z roku, w którym był dowódcą baterii dział.

Miał głęboko wpojone poczucie porządku... poczucie porządku i zasady, którymi kierował się w życiu. Dawno już doszedł do wniosku, że stare, surowe maksymy Królewskiej Marynarki mogą być z korzyścią stosowane w życiu codziennym.

„Okręt poznaje się po jego szalupach”.

Znaczyło to, że jeśli wejście do domu wygląda schludnie i czysto, klamki są wypolerowane, a podłoga lśniąca, goście mogą zakładać, iż pozostałe pomieszczenia są równie nieskazitelne. Nie zawsze tak było, a w przypadku Tremenhoeera zasada ta często się nie sprawdzała. Ale pierwsze wrażenie było najważniejsze.

„Bрудna łódź podwodna to zatopiona łódź podwodna”.

W opinii Geralda reguła ta wyjaśniała przyczyny nie kończących się bolączek współczesnej gospodarki. Każde źle zarządzane i nieefektywnie funkcjonujące przedsiębiorstwo było jego zdaniem skazane na bankructwo. Z natury

był człowiekiem spokojnym i łagodnym, ale kiedy czytał w *Timesie* o zatargach między pracownikami a pracodawcami, strajkach, demonstracjach i niemożności osiągnięcia porozumienia, niemal zgrzytał ze złości zębami. Żałował wtedy, że jest już na emeryturze i nie może przystąpić do działania. Był bowiem przekonany, że gdyby zastosowano logiczne, obowiązujące w Marynarce reguły współpracy, wszystkie problemy udałoby się rozwiązać.

I ostatnia zasada. „Trudne zadania wykonujemy natychmiast, zadania niemożliwe mogą zająć nam trochę więcej czasu”.

Trudne zadania wykonujemy natychmiast. Włożył granatową marynarkę, wyjął z szuflady czystą chusteczkę do nosa i wsunął ją do górnej kieszeni. Wyszedł z pokoju i wyrzął przez okno, z którego widać było dziedziniec. Samochód Ivana stał przed drzwiami jego domku. Gerald wiedział, że Eve siedzi w salonie. Cicho szedł tylnymi schodami do opustoszałej kuchni.

Kiedy znalazł się na dworze, stwierdził, że mgła zgęstniała, a powietrze jest wilgotne i chłodne. Z daleka, od strony morza, dochodziło słabe, regularne pojękiwanie syren straży przybrzeżnej. Przeszedł przez dziedziniec i otworzył drzwi domku Ivana.

Zadania niemożliwe mogą zająć nam trochę więcej czasu.

- Ivan!

Usłyszał dobiegający z góry odgłos spływającej z wanny wody, która bulgotała w rurach kanalizacyjnych. Z włączonego przez Ivana radia płynęły dźwięki pogodnej muzyki tanecznej.

Drzwi frontowe prowadziły prosto do przestronnej kuchni połączonej z salonem i zajmującej cały parter domu. Na środku pokoju stał stół, a wygodne fotele ustawione były przed rozpalonym piecykiem. Większość znajdujących się w tym pomieszczeniu mebli należała do Geralda, ale Ivan uzupełnił wystrój wnętrza własnymi przedmiotami. Komo-



dę ozdabiały holenderskie porcelanowe figurki, na ścianach wisały obrazy, a z sufitu zwisał różowo-czerwony, japoński, papierowy ptak. Nie obudowane, strome jak drabina, drewniane schody prowadziły na piętro, gdzie mieściły się dwie niewielkie sypialnie i łazienka, przerebione ze starego strychu na siano. Gerald podszedł do nich i ponownie zawołał: - Ivan!

Radio natychmiast umilkło. Woda bulgotała dalej. Po chwili u szczytu schodów pojawił się Ivan. Był owinięty małym ręcznikiem, a mokre jasne włosy sterczały na czubku jego głowy.

- Gerald! Przepraszam, nie słyszałem cię.

- To mnie nie dziwi. Chcę zamienić z tobą parę słów.

- Oczywiście, czuj się jak u siebie. Zaraz zejde. Było tak wilgotno i paskudnie, że rozpałem w piecyku. Mam nadzieję, że nie wygasł. W każdym razie zrób sobie drinka. Wiesz, gdzie trzymam alkohole.

Zniknął, a z góry dobiegły odgłosy jego kroków. Gerald zajrzał do piecyka i stwierdził, że ogień nie wygasł. Z jego czarnej, żeliwnej obudowy promieniowało już ledwie wyczuwalne ciepło. W szafce nad zlewem znalazł butelkę Haiga, nalał odrobinę whisky do szklanki i uzupełnił ją wodą z kranu. Z drinkiem w ręku zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Eve nazywała to spacerem po pokładzie. Ale wolał chodzić niż siedzieć beczynninie.

Ustalili, że zachowają całą sprawę w tajemnicy. „Och, Gerald - prosiła Eve - nie wolno nam nikomu o tym mówić”.

A teraz zamierzał złamać dane jej słowo, bo był przekonany, że musi poinformować o tym Ivana.

Jego pasierb szedł po stromych schodach, pochylony jak doświadczony marynarz. Zdażył już uczesać wilgotne jeszcze włosy i włożyć dzinsy oraz ciemnoniebieską koszulkę polo.

- Przepraszam, że czekałeś. Masz już drinka? Czy ogień nie wygasł?

- Nie, pali się.

- To zadziwiające, jak szybko robi się zimno. - Poszedł nalać sobie whisky. - Na tamtym wybrzeżu było naprawdę gorąco, ani chmurki na niebie.

- Więc spędziliście miły dzień?

- Było wspaniale. A wy? Ty i Eve?

- My - odparł Gerald - nie spędziliśmy miłego dnia. Dlatego właśnie tu jestem.

Ivan natychmiast odwrócił się, trzymając w ręku szklanekę do połowy wypełnioną czystą whisky.

- Proponuję, żebyś dolał sobie trochę wody, a potem usiądziemy i wszystko ci opowiem.

Ich spojrzenia spotkały się. Gerald miał poważny wyraz twarzy. Ivan odkręcił kran i dopełnił szklanekę wodą. Podszedł do piecyka. Usiedli na fotelach stojących po obu stronach rozłożonej na podłodze baraniej skóry.

- Strzelaj.

Gerald spokojnie zrelacjonował Ivanowi wydarzenia, które miały miejsce tego ranka. Powiedział mu o histerycznym telefonie Sylwii. O ich natychmiastowej reakcji na jej wezwanie. O liście.

- Co było w tej kopercie?

- Anonimowy list.

-A... - Ivan otworzył usta ze zdziwienia. - Anonim? Chyba żartujesz.

- Niestety, to prawda.

- Ale... ale od kogo? Kto mógł, do diabła, wysłać do Sylwii anonim?

- Tego nie wiemy.

- Gdzie on jest?

- Nadal go ma. Kazałem jej go zachować.

- Co było w nim napisane?

- Było napisane... - Gerald natychmiast po powrocie do domu, mając jeszcze w pamięci słowa listu, zanotował je starannym pismem w swoim kalendarzyku. Teraz wyjął go z kieszeni, włożył okulary i zaczął czytać: „Zadawałaś się

z innymi mężczyznami i wpędziłaś swojego męża w pijaństwo. Zabiłaś go. Powinnaś się wstydzić. "

Wyrecytował te zdania jak adwokat odczytujący podczas rozprawy rozwodowej swoje notatki, dotyczące wstydlivych szczegółów pożycia małżeńskiego. Jego spokojny głos złagodził brzmienie nikczemnych słów. Ale nie złagodził zawartej w nich nienawiści.

- To obrzydliwe.

- Owszem.

- Czy został napisany odręcznie?

- Nie, użyto klasycznej metody: wycięto litery z nagłówków gazet i naklejono je na papier listowy. Dziecinny papier listowy. Adres odcisnięto za pomocą gumowej pieczętuki... wiesz, co mam na myśli. Stempel tutejszego urzędu pocztowego, wczorajsza data.

- Czy Sylwia domyśla się, kto mógł go wysłać?

- A ty?

Ivan roześmiał się.

- Gerald, chyba nie przypuszczasz, że zrobiłem to ja!

- Nie - odparł z powagą Gerald. - Podejrzewamy May.

- May?

- Tak, May. Sylwia twierdzi, że May nigdy nie mogła znieść jej widoku. May ma bzika na punkcie alkoholu. Wiesz o tym równie dobrze jak my...

- To niemożliwe. - Ivan wstał i zaczął chodzić po pokoju, tak jak przed chwilą robił to Gerald.

- May jest staruszką, Ivan. W ciągu kilku ostatnich miesięcy, z każdym dniem zachowywała się coraz bardziej dziwnie. Eve podejrzewa, że cierpi na starczą demencję, a ja jestem skłonny przyznać jej rację.

- Ale to do niej nie pasuje. Znam May. Może nie lubić Sylwii, ale w głębi duszy na pewno jej współczuje. Wiem, że może być irytująca, ale nigdy nie nosi długo żalu w sercu. Nigdy nie miała chorej wyobraźni. To wy musicie mieć chorą wyobraźnię, żeby coś takiego wymyślić.

- Tak, ale z drugiej strony May zawsze miała bardzo zde-

cydowane poglądy. Nie tylko na temat alkoholu, lecz również moralności.

- Co masz na myśli?

- „Zadawałaś się z innymi mężczyznami”. Może May uważa, że Sylwia jest kobietą rozwiązłą.

- No cóż, zapewne jest. To znaczy, była, ale nigdy nie wyrządziła May żadnej krzywdy.

- Może May sądzi, że Sylwia zaleca się do ciebie.

Ivan odwrócił się tak gwałtownie, jakby Gerald go uderzył. Patrzył z niedowierzaniem na swego ojczyma, a jego niebieskie, szeroko otwarte oczy lśniły z oburzenia.

- Do mnie? Kto to wymyślił?

- Nikt tego nie wymyślił. Ale Sylwia jest atrakcyjną kobietą. Stale bywa w Tremeneheere. Powiedziała nam, że kiedyś zawiozłaś ją na jakieś przyjęcie...

- To prawda. Dlaczego marnować benzynę, biorąc dwa samochody? Czy to oznacza, że jest rozwiązłą?

- ... i że od czasu do czasu, kiedy nie ma nas w domu, zapraszasz ją na drinka lub na jakiś posiłek.

- Gerald, ona jest przyjaciółką Eve. Eve się nią opiekuje. Kiedy nie ma Eve, zapraszam ją tu...

- Sylwia uważa, że May obserwowała was przez okno i była oburzona.

- Och, na miłość boską, w co właściwie Sylwia usiłuje mnie zrobić?

- W nic - odparł Gerald, rozkładając ręce.

- A mnie wydaje się to niepokojące. Za chwilę zostanę oskarżony o uwiedzenie tej przeklętej baby.

- A czy ją uwiodłeś?

- Słucham? Do cholery, przecież mogłaby być moją matką!

- Czy spałeś z nią?

- Nie, do diabła, nie spałem z nią!

Zapadła cisza. Ivan wypił ostatni łyk swego drinka. Poszedł nalać sobie następnego. Butelka zabrzczała o brzeg szklanki.

- Wierzę ci - oznajmił Gerald.

Ivan dolał do whisky trochę wody.

- Przepraszam - powiedział, nadal stojąc tyłem do Geralda. - Nie miałem prawa podnosić głosu.

- Ja również przepraszam. I nie powinienś mieć o to żalu do Sylwii. Ona nic nie insynuowała. Po prostu musiałem się upewnić.

Ivan odwrócił się i przysiadł na krawędzi zlewu. Nagły przypływ jego gniewu już minął.

- Tak, rozumiem cię - stwierdził z sarkastycznym uśmiechem. - Bądź co bądź, moja przeszłość nie zawsze była nieskazitelna.

- Nie mam żadnych zastrzeżeń do twojej przeszłości. - Gerald schował kalendarzyk do kieszeni i zdjął okulary.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie tego listu?

- Nic.

- A co będzie, jeśli przyjdzie następny?

- Wtedy będziemy się martwić.

- Czy Sylwia nie podejmie żadnych działań?

- Nie. Wie o tym tylko ona, ja i Eve. A teraz ty. Ty oczywiście nic nie powiesz. Nawet swojej matce, bo ona nie wie, że cię w to wtajemniczyłem.

- Czy jest bardzo przygnębiona?

- Bardzo. Chyba nawet bardziej niż biedna Sylwia. Boi się, co May może jeszcze zrobić. Miewa koszmarne sny, w których nieszczęsną May odwożą do jakiegoś zakładu dla umysłowo chorych starców. Stara się chronić May. Tak jak ja staram się chronić ją.

- No cóż - powiedział Ivan - May też nas chroniła. Opiekowała się mną i stała przy boku mojej matki podczas śmiertelnej choroby mojego ojca. Była wtedy twarda jak skała. Można było zawsze na nią liczyć. A teraz coś takiego. Kochana, stara May. Nie mogę o tym myśleć. Tak wiele jej zawdzięczamy. - Zastanawiał się przez chwilę. - Sądzę, że wszyscy mamy wobec siebie długi wdzięczności.

- Owszem - potwierdził Gerald. - To smutna sprawa.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Pozwól, że naleję ci jeszcze trochę whisky - powiedział Ivan.

\* \* \*

Eve i Laura siedziały przy płonącym kominku w salonie, słuchając koncertu nadawanego przez BBC2. Koncert fortepianowy Brahmsa. Było już po dziewiątej, więc Gerald, nie chcąc im przeszkadzać, poszedł do swojego gabinetu, by obejrzeć wiadomości telewizyjne.

Laura siedziała wygodnie w dużym fotelu, a Lucy leżała na jej kolanach. Ivan już się nie pojawił. Laura, przebierając się, usłyszała, jak jego samochód mija bramę i rusza w kierunku Lanyon. Domyśliła się, że pojechał do baru, by wypić piwo z Mathie Thomasem.

Pani domu szyła obicia na krzesła. Laura zauważyła, że Eve wydaje się tego wieczora znużona i bardzo osłabiona; jej skóra była mocno napięta na kościach policzkowych, a oczy podkrążone ze zmęczenia. Podczas kolacji, złożonej z kotletów i sałatki owocowej, Gerald podtrzymywał rozmowę, a ona prawie się nie odzywała, jadła niewiele i piła wodę zamiast wina. Laura, przyglądając jej się sennymi, na wpół przymkniętymi oczami, poczuła niepokój. Eve była zawsze tak aktywna; gotowała, wszystko organizowała i dbała o domowników... Laura postanowiła, że kiedy koncert dobiegnie końca, zaproponuje jej, by się położyła. Zrobi jej coś gorącego do picia, przygotuje termofor...

Zadzwoił telefon.

- To z pewnością Alek - powiedziała Eve, spoglądając na nią znad swego szycia.

Laura wstała z fotela i słysząc za sobą kroki Lucy, poszła do hallu. Usiadła na rzeźbionej skrzyni i podniosła słuchawkę.

- Tremenheere.

- Laura? - Tym razem połączenie było lepsze, a głos Aleka brzmiał tak wyraźnie, jakby dzwonił z sąsiedniego pokoju.

- Alek. Przykro mi, że mnie wcześniej nie zastałeś. Wróciliśmy dopiero o siódmej.

- Czy przyjemnie spędziłeś dzień?

- Tak, wspaniale... A co u ciebie?

- W porządku, ale nie dlatego dzwonię. Posłuchaj, coś się wydarzyło. Nie będę w stanie przyjechać po ciebie do Tremenhheere. Kiedy tylko wrócimy do Londynu, obaj z Tomem musimy polecieć do Nowego Jorku. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero dziś rano. Zawiadomił nas telefonicznie prezes firmy.

- Jak długo tam będziecie?

- Tylko tydzień. Rzecz w tym, że możemy zabrać ze sobą nasze żony. Pobyt obfitować będzie w wydarzenia towarzyskie. Daphne jedzie z Tomem, więc zastanawiałem się, czy nie wybrałabyś się ze mną. Będę dość zajęty, ale ponieważ nigdy nie widziałaś Nowego Jorku, chciałbym ci go pokazać. Musiałabyś wrócić do Londynu na własną rękę i tam się ze mną spotkać. Co ty na to?

Laura była przerażona.

Ta instynktowna reakcja na propozycję Aleka, którego kochała i który chciał sprawić jej przyjemność, przepełniła jej serce okropnym poczuciem winy. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje? Alek prosił ją, by pojechała z nim do Nowego Jorku, a ona nie miała na to ochoty. Nie miała ochoty na tę podróż. Nie chciała spędzać sierpnia w Nowym Jorku, zwłaszcza w towarzystwie Daphne Boulderstone. Nie chciała siedzieć z nią w jakimś klimatyzowanym hotelu, podczas gdy ich mężowie będą zajęci swymi sprawami, ani włóczyć się po rozgrzanych chodnikach Piątej Alei i oglądać wystawy sklepowe.

Ale jeszcze gorsza była świadomość, że nie ma ochoty wsiadać do pociągu do Londynu. Przerzywać cudownego, beztrudnego pobytu w Tremenhheere.

Wszystkie te myśli z przeraźliwą wyrazistością przemknęły jej przez głowę.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytała, chcąc zyskać na czasie.

- W środę wieczorem. Lecimy Concorde.
- Czy zarezerwowałeś dla mnie miejsce?
- Warunkowo.
- Jak... jak długo potrwa pobyt w Nowym Jorku?
- Laura, przecież już ci mówiłem. Tylko tydzień. Nie słyszę w twoim głosie wielkiego entuzjazmu. Czy nie chcesz ze mną jechać?
- Och, Alek, chcę... To bardzo miło z twojej strony, że mnie zapraszasz... ale...
- Ale?
- Po prostu jestem zaskoczona. Nie miałam czasu tego przemyśleć.
- Nie potrzeba na to wiele czasu. Ten plan nie jest zbyt skomplikowany. - Laura zagryzła wargi. - A może nie czujesz się jeszcze na siłach?
- No cóż - odparła, chwytając się tego pretekstu jak tonący brzytwy - w gruncie rzeczy sama nie wiem. To znaczy, czuję się nieźle... ale nie jestem pewna, czy dobrze zniosę lot. A w Nowym Jorku będzie tak strasznie gorąco... Byłoby okropne, gdyby coś mi się stało i gdybym popsuła ci cały pobyt... swoją chorobą... - Zdawała sobie sprawę, że jej tłumaczenia nie brzmią przekonująco.
- No dobrze, nie przejmuj się. Możemy odwołać czwartą rezerwację.
- Przykro mi. Czuję się taka słaba... Może innym razem.
- Dobrze, innym razem. - Alek już pogodził się z tą myślą. - Nic nie szkodzi.
- Kiedy wracacie?
- Chyba w przyszły wtorek.
- A co ja mam robić? Zostać tutaj?
- Jeśli Eve nie będzie miała nic przeciwko temu. Musisz ją o to zapytać.
- Czy po powrocie będziesz mógł po mnie przyjechać? - To pytanie zabrzmiało jeszcze bardziej egoistycznie niż odmowa wyjazdu do Nowego Jorku. - Nie musisz. Mogę wsiąść do pociągu.



- Nie. Sądzę, że będę mógł przyjechać. Zobaczę, jak wszystko się ułoży. Skontaktuję się z tobą po powrocie.

Odniosła wrażenie, że Alek mówi tak bezosobowym tonem, jakby omawiał porządek dzienny jakiegoś zebrania. Przeklęty telefon oddalał ich od siebie, zamiast ich zbliżać. Pragnęła być z nim, widzieć jego twarz, obserwować jego reakcje. Dotykać go, wytłumaczyć mu, że kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale nie ma ochoty jechać do Nowego Jorku z Daphne Boulderstone.

Nie po raz pierwszy zdała sobie sprawę z istnienia dzielącego ich muru. Próbując go pokonać, powiedziała: - Bardzo za tobą tęsknię.

- Ja również.

Jej próba skończyła się niepowodzeniem.

- Jak wam idzie łowienie ryb? - spytała.

- Wspaniale. Wszyscy cię pozdrawiają.

- Zadzwoń do mnie przed wyjazdem do **Nowego Jorku**.

- Oczywiście.

- Przykro mi, Alek.

- Nie myśl już o tym. Nie chciałem cię do **niczego zmuszać**. Dobranoc. Śpij dobrze.

- Dobranoc, Alek.

# *Saint Thomas*

O wpół do szóstej rano Gabriela Haverstock, która nie spała już od trzeciej, odrzuciła zmiętą kołdrę i bezgłośnie wstała ze swej koi. Ciemne włosy i nie ogolony podbródek śpiącego po drugiej stronie kajuty mężczyzny kontrastowały z jasną poszewką poduszki. Leżał na boku, odwrócony do niej tyłem, z ręką na piersi. Włożyła starą koszulkę, która niegdyś należała do niego, i boso przeszła do drugiej kajuty, usytuowanej na rufie. Znalazła zapałki, zapaliła małą gazową kuchenkę, postawiła na niej czajnik z wodą, a potem weszła po schodkach i otworzyła drzwi prowadzące do kokpitu. W powietrzu unosiła się mgła i pokład pokryty był kropelkami rosy.

W porannym brzasku zatoka wyglądała jak szklana tafla. Przycumowane w pobliżu łódzie drzemały jeszcze, poruszając się tak lekko, jakby oddychały przez sen. Nadbrzeżna przystań zaczynała się budzić. Usłyszała warkot zapalanego silnika samochodu, a potem ujrzała jakiegoś czarnoskórego mężczyznę, który zszedł z molo do drewnianej łódeczki, odbił od brzegu i zaczął wiosłować. Plusk zanurzanych wiosł niósł się po wodzie i wyraźnie docierał do jej uszu. Łódka wypłynęła z zatoki, zostawiając na powierzchni morza ślad w kształcie ostrza włóczni.

Saint Thomas, Stany Zjednoczone - Wyspy Dziewicze. Dwa statki pasażerskie, które wpłynęły do portu pod osłoną nocnych ciemności, stały przycumowane przy nabrzeżu. Gabriela miała wrażenie, że do spokojnej zatoki wtargnęły na-

gle drapacze chmur. Dostrzegła marynarzy, którzy zwijali jakieś liny i myli pokłady. Wysoka burta statku upstrzona była rzędami okienek, za którymi spali w swych kajutach turyści. Wiedziała, że niebawem włożą szorty i jaskrawe koszulki, wyjdą na pokład, oprą się o balustradę i będą patrzeć w dół, na stojące w porcie jachty. Potem, obwieszeni aparatami fotograficznymi, wyruszą na brzeg, by gorączkowo wydawać pieniądze na słomiane koszyki, sandały i drewniane figurki czarnych kobiet, niosących na głowach kosze pełne owoców.

Usłyszała z kajuty gwizd czajnika.

Zeszła na dół, zaparzyła herbatę i nalała do kubka. Skończył się już zapas mleka, więc wkroiła do niej plasterki cytryny. Potem, z kubkiem w rękę, poszła obudzić swego towarzysza.

- Hmm? - Odwrócił się, kiedy potrząsnęła go za nagie ramię, ukrył twarz w poduszce, podrapał się po głowie i ziewnął. Następnie otworzył oczy i zobaczył stojącą nad nim dziewczynę.

- Która godzina? - spytał.

- Mniej więcej za kwadrans szósta.

- O Boże! - Ziewnął jeszcze raz, usiadł powoli i podłożył sobie poduszkę pod plecy.

- Zrobiłam ci herbatę - powiedziała Gabriela. Wzięła z jej rąk kubek i ostrożnie wypił łyk. - Nie ma mleka, więc wrzuciłam do niej kawałek cytryny.

- Widzę to.

Gabriela zostawiła go w kajucie, nalała sobie kubek herbaty i wyszła z kubkiem na górny pokład. Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej, a niebo nabierało błękitnej barwy. Wiedziała, że kiedy wstanie słońce, wysuszy natychmiast całą wilgoć, zamieniając ją w obłoczki pary. Potem rozpocznie się kolejny bezchmurny, gorący dzień, typowy dla Indii Zachodnich.

Mężczyzna po chwili przyłączył się do niej. Miał już na sobie stare, przybrudzone białe szorty i szarą koszulkę. Był

boso. Wszedł na pokład, skierował się w stronę rufy i zaczął rozplątywać cumę szalupy owiniętą wokół łańcucha kotwicy.

Gabriela dopiła herbatę i ponownie zeszła na dół. Wyczyściła zęby, umyła się w małej umywalce, a potem włożyła dzinsy, płócienne mokasyny i koszulkę w biało-niebieskie pasy. U podnóża koi stała jej czerwona nylonowa torba, spakowana ubiegłego wieczora, wepchnęła więc do niej teraz resztkę swoich rzeczy: kosmetyczkę, szczotkę do włosów i gruby sweter. Nie miała nic więcej. Sześciomiesięczny pobyt na łodzi nie wzbogacił zapasów jej garderoby. Ściągnęła sznury torby i zawiązała je w marynarski węzeł.

Z torbą na ramieniu wyszła na pokład. Mężczyzna czekał już na nią w szalupie. Podała mu torbę, a potem zeszła po drabince do chwiejnej łódki i usiadła na przedniej ławeczce, trzymając torbę między kolanami.

Mężczyzna uruchomił silnik, który zaskoczył po kilku próbach i zaczął warczeć jak motocykl. Kiedy odpłynęli, odwróciła głowę, by spojrzeć po raz ostatni na jacht; piękny, biały pięćdziesięciostopowy jednomasztowiec, z wymalowaną złotymi literami nazwą, „Enterprise of Tortola”.

Gdy dopłynęli do brzegu, mężczyzna przycumował szalupę, wyrzucił bagaż na molo i wspiął się w ślad za nim. Potem podał Gabrieli rękę i pomógł jej wyjść z łodzi. Kiedyś molo wyposażone było w drewniane schodki, ale porwał je huragan i nigdy nie zostały zastąpione innymi. Dotarli do nabrzeża i skierowali się w stronę dużego hotelu. Minęli ogrody i pusty o tej porze basen kąpielowy. Za budynkiem recepcji znajdował się otoczony palmami podjazd. Stały tu dwie taksówki. Mężczyzna obudził jednego z kierowców, który ziewnął, przeciągnął się, wrzucił torbę Gabrieli do bagażnika i uruchomił silnik.

Mężczyzna odwrócił się do Gabrieli.

- A więc, to chyba pożegnanie.
- Tak. To pożegnanie.

- Czy zobaczę cię jeszcze kiedyś?
- Nie sądzę.
- Było nam dobrze.
- Tak. Było nam dobrze. Dziękuję ci za to.
- A ja dziękuję tobie.

Objął ją ramieniem i pocałował. Nie ogolił się, więc jego zarost podrapał jej policzek. Spojrzała po raz ostatni w jego twarz, a potem odwróciła się, wsiadła do taksówki i zatrzasnęła drzwi. Stary gruchot ruszył naprzód, a ona nawet nie obejrzała się.

Z Saint Thomas poleciała do Saint Croix. Z Saint Croix do San Juan. Z San Juan do Miami. Z Miami do Nowego Jorku. Na lotnisku Kennedy'ego zgubili jej bagaż, więc musiała czekać przez godzinę przy pustej obrotowej taśmie, dopóki się w końcu torba nie pojawiła.

Wyszła z lotniska i stała w wieczornej mgle, wdychając ciepłe, wilgotne, przesycone oparami spalin nowojorskie powietrze, dopóki nie nadjechał autobus. Był tak przepełniony, że musiała stać, ściskając torbę kolanami. W British Airways kupiła bilet do Londynu, a potem czekała przez trzy godziny na odlot.

Samolot był pełen, a ona zdała sobie sprawę, że miała szczęście, zdobywając miejsce. Siedziała obok starszej damy o niebieskawych włosach, która leciała do Anglii po raz pierwszy w życiu. Powiedziała Gabrieli, że oszczędzała na tę podróż przez dwa lata. Jechała z wycieczką, której uczestnikami byli niemal wszyscy pasażerowie samolotu; mieli zwiedzić Tower of London i Katedrę Westminsterską, a potem wyruszyć w dalszy objazd. Wybierali się na dzień lub dwa do Edynburga, gdzie trwał akurat Festiwal, a potem do Stratford-on-Avon.

- Nie mogę się doczekać chwili, w której zobaczę Stratford i dworek Anny Hathaway.

- To musi być wspaniałe - powiedziała z uśmiechem Gabriela, choć tego typu wycieczka wydawała jej się stratą czasu.

- A ty dokąd jedziesz, kochanie?
- Do domu - odparła Gabriela.

Nie spała podczas lotu. Noc była zbyt krótka, by spać. Ledwie skończyła kolację, podano jej gorący ręcznik do wycierania twarzy i szklankę soku pomarańczowego. Na londyńskim lotnisku padał deszcz. Miękki, delikatny, angielski deszcz, osiadający na twarzy jak lekka mgiełka. Wszystko wydawało się przyjaźnie zielone i nawet lotnisko pachniało inaczej niż gdzie indziej.

Zanim wyjechała z Saint Thomas, mężczyzna dał jej trochę angielskich pieniędzy - kilka przypadkowych banknotów, wyjętych z głębi portfela - ale nie wystarczyłoby ich na taksówkę, więc pojechała z lotniska do stacji King's Cross kolejką podziemną. Tu przesiadła się i dojechała do stacji Angel.

Zarzuciła na ramię torbę i ruszyła piechotą w dalszą drogę. Nie miała daleko. Dostrzegła zmiany na znanych jej niegdyś tak dobrze ulicach. Na miejscu zburzonego osiedla starych domków wznoszono jakąś gigantyczną konstrukcję. Plac budowy odgradzono od trotuaru drewnianym płotem, na którym ktoś wypisał sprayem różne hasła. „Chcemy pracy, nie bomb” - przeczytała Gabriela. „Władza dla włóczęgów”.

Starą uliczką Islington High Street dotarła do pawilonu handlowego Campden Passage, przeszła obok pozastłaniających o tej porze okiennicami wystaw antykwariatów i sklepów jubilerskich, minęła mały sklepik, w którym kupiła niegdyś za trzy szylingi i sześć pensów porcelanową zastawę do herbaty dla swojej lalki. Potem skręciła jeszcze w wąską, wybrukowaną kocimi łbami alejkę i wyszła na Abigail Crescent.

Tutaj niewiele się zmieniło. Odnowiono fasady kilku budynków, a sąsiad wstawił sobie nowe okno w dachu. To było wszystko. Dom, w którym spędziła dzieciństwo, wyglądał tak jak zawsze, co dodało jej otuchy, ale miejsce, na którym zwykle ojciec parkował samochód, było puste, co obu-

dziło w niej niepokój. Doszła do wniosku, że choć jest dopiero wpół do dziewiątej, być może pojechał już do pracy.

Weszła po schodkach i nacisnęła dzwonek. Usłyszała jego dźwięk z głębi domu, ale nikt nie otworzył drzwi. Po chwili oczekiwania wyciągnęła spod swetra klucz na srebrnym łańcuszku. Dawno temu, kiedy chodziła jeszcze do londyńskiej szkoły, dostała go od ojca. Kazał jej nosić ten klucz na szyi na wszelki wypadek, ale nie musiała go używać, bo kiedy wracała do domu, zawsze ktoś na nią czekał.

Posłużyła się nim teraz. Drzwi otworzyły się, a ona dostrzegła jakąś niewyraźną postać, wchodzącą wolno po schodach z sutereny.

- Kto tam? - Głos był przenikliwy i ostry, ale czuło się w nim lekki strach.

- Wszystko w porządku, pani Abney - powiedziała Gabriela. - To tylko ja.

Pani Abney wyglądała, jakby dostała ataku serca. Stała jak wryta, zaczęła gorączkowo wciągać powietrze, przycisnęła jedną rękę do piersi, a drugą chwyciła za poręcz schodów, by nie upaść.

- Gabriela!

- Bardzo przepraszam. Czy panią przestraszyłam?

- Jeszcze jak!

- Myślałam, że nikogo nie ma...

- Byłam w domu i słyszałam dzwonek, ale nie potrafię już biegać po schodach jak smarkula.

Gabriela wciągnęła swą torbę do hallu i zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

- Skąd się wzięłaś? - spytała pani Abney.

- Przyjechałam z Indii Zachodnich. Latałam samolotami od... - Podróż trwała zbyt długo, by mogła zapamiętać daty, a różnice czasu jeszcze bardziej komplikowały sprawę, od zawsze. Gdzie jest mój ojciec?

- Nie ma go w Londynie. Nic nie wspominał o twoim przyjeździe.

- Bo nic o nim nie wiedział. Pewnie jest w Szkocji?

- Och, nie. Był już w Szkocji. Wrócił w środę... to znaczy wczoraj. I wczoraj wieczorem znowu poleciał.

- Poleciał? - Gabriela poczuła ukłucie żalu. - Dokąd?

- Do Nowego Jorku. W sprawach zawodowych. Z państwem Boulderstone.

- Och. - Gabrieli zrobiło się nagle słabo. Usiadła na schodach, pochyliła głowę i wsunęła palce we włosy. Ojciec poleciał do Nowego Jorku. Rozminęła się z nim zaledwie o kilka godzin.

Pani Abney zauważyła, że Gabriela opada z sił na skutek zmęczenia i rozczarowania. Natychmiast obudził się w niej instynkt macierzyński.

- W kuchni nie ma nic. Ale jeśli zejdiesz ze mną na dół, to zrobię ci filiżankę herbaty... Wszystko będzie jak za dawnych czasów, kiedy tu jeszcze mieszkałaś. Pamiętasz, jak podawałam ci herbatę, kiedy wracałaś ze szkoły, a twojej mamy nie było w domu?... Jak za dawnych czasów.

W mieszkaniu pani Abney, położonym w suterenie, nic się nie zmieniło. Było ciemnawe i przytulne jak nora borsuka. Koronkowe firanki tłumiły sączące się z zewnątrz światło, a mała kuchenka nawet teraz, w sierpniu, była rozgrzana jak kotłownia statku.

Podczas gdy pani Abney nastawiała czajnik i przygotowywała filiżanki, Gabriela usiadła za stołem, rozglądając się po pokoju. Ujrzała znane sobie fotografie, oprawioną rycinę przedstawiającą kępę leśnych dzwoneczków i porcelanowe pieski, ustawione nad kominkiem.

- Gdzie jest Dicky? - spytała.

- Och, mój mały Dicky umarł. Mniej więcej przed rokiem. Bratanek chciał podarować mi papużkę, ale jakoś nie miałam do niej serca. - Podała herbatę. - Czy chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję, wystarczy mi herbata.

- Na pewno? Kiedy jadłaś ostatni posiłek?

- Och... kiedyś - odparła Gabriela, nie mogąc sobie przypomnieć.



- Mogę dać ci chleba z masłem.

- Nie, naprawdę dziękuję.

Pani Abney usiadła naprzeciwko niej i zaczęła nalewać herbatę.

- Opowiedz mi, co u ciebie słychać. I u twojej mamy. Mama czuje się dobrze, prawda? To świetnie. Mój Boże, wydaje mi się, że od twojego wyjazdu upłynęło już mnóstwo czasu... chyba z sześć lat. Ile masz teraz? Dziewiętnaście? Tak, myślałam, że musisz mieć właśnie tyle. Niewiele się zmieniłaś. Od razu cię poznałam. Tyle, że masz teraz krótkie włosy. I utleniłaś je.

- Nie, nie tleniłam ich. Po prostu wyjaśniały tak od zachodnioindyjskiego słońca i chlorowanych basenów kąpielowych.

- Wyglądasz jak chłopak. Tak właśnie sobie pomyślałam, gdy cię zobaczyłam. Dlatego byłam taka wystraszona. Kręci się tu teraz tylu wstrętnych chłopaków... Kiedy twojego ojca nie ma, muszę opiekować się domem.

Gabriela wypila łyk herbaty, która była jak zawsze u pani Abney ciemna, mocna i słodka.

- A ta jego nowa żona... czy również poleciała do Nowego Jorku?

- Nie. Tak jak ci mówiłam, tylko państwo Boulderstone. Nie, nowa pani Haverstock pojechała do Kornwalii. Jest tam już od pewnego czasu. - Pani Abney ściszyła głos do porozumiewawczego szeptu. - Przeszła niedawno operację. Wiesz, moja droga, jakieś sprawy kobiece.

- O mój Boże.

- Lekarz nie pozwolił jej jechać do Szkocji - ciągnęła normalnym tonem pani Abney - więc wybrała się do Kornwalii. - Wypiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę na spodek. - Żeby odzyskać siły.

- Czy wie pani, gdzie ona jest?

- Niestety, nie wiem, gdzie przebywa... chociaż... wczoraj wieczorem przyszedł jakiś list. Chyba z Kornwalii. Poczekaj, to go przyniosę. - Wstała, podeszła do komódki

i wyciągnęła szufladę. - Sekretarka twojego ojca wstępuje tu co rano, odbiera całą pocztę i czyta ją w biurze. Ale dziś jej jeszcze nie było, a to jest wszystko, co dla niej mam.

Podawała Gabrieli zwykłą, brązową kopertę, na której wydrukowane było nazwisko i adres jej ojca. Wygląd czcionek sugerował, że każdą literę odcisnięto za pomocą gumowej pieczęci. Przesyłkę ostemplował urząd pocztowy w Truro, w Kornwalii. W lewym górnym rogu koperty ktoś napisał flamastrem: „Pilne” i podkreślił tę adnotację.

- Wygląda dość dziwnie - stwierdziła Gabriela.

- Może to list od pani Haverstock. To znaczy od nowej pani Haverstock - dodała taktownie gospodyni.

- Chyba nie powinnam go otwierać, prawda?

- Sama nie wiem, dziecko. To zależy od ciebie. Jeśli chcesz porozumieć się z panią Haverstock i sądzisz, że w tym liście jest jej adres, to nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś do niego zajrzeć. Choć muszę powiedzieć, że to dość dziwny sposób adresowania listów. Ktoś musiał spędzić nad tym kilka godzin.

Gabriela odłożyła kopertę, a potem ponownie wzięła ją do ręki.

- Naprawdę muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest, pani Abney - powiedziała. - Skoro nie mogę porozmawiać z ojcem, to muszę zobaczyć się z nią.

- Więc otwórz go - zachęciła ją pani Abney. - Bądź co bądź „pilne” to nie to samo co „poufne”.

Gabriela rozerwała kopertę, wyciągnęła arkusz jasnego papieru i rozłożyła go. Był to liniowany papier, ozdobiony małym jak znaczek pocztowy wizerunkiem czarownicy. Czarne nierówne czcionki wyglądały jak tytuł artykułu, zapowiadający jakieś złe wiadomości.

TWoja ŻoNa w TreMEnhEeRe Ma ROMAns z  
IvANEM AShbY. PoWInIEnEś ChyBa o TyM  
WieDziEĆ  
ŻYczLiWY.

Gabriela poczuła, że serce wali jej jak młot, a z twarzy odpłynęła nagle cała krew.

- Czy znalazłaś w nim jakąś pożyteczną wskazówkę? - spytała pani Abney, wyciągając szyję, by zajrzeć do listu.

Gabriela szybko złożyła kartkę i wsunęła ją do koperty, zanim pani Abney zdążyła przeczytać treść donosu.

- Nie. Tak. To... nie jest list od niej, tylko krótka wiadomość od kogoś innego. Ale już wiem, że przebywa w miejscowości, która nazywa się Tremenhoeere.

- Ach, więc wszystko w porządku. Teraz już wiesz, gdzie jej szukać. - Pani Abney spojrzała na nią badawczo. - Czy nic ci nie jest? Zrobiłaś się śmiertelnie blada.

- Wszystko w porządku, jestem po prostu zmęczona. - Wsunęła okropny list do kieszeni džinsów. - Nie spałam od wielu godzin. Jeśli pani pozwoli, pójdę na górę i położę się.

- Ależ tak, połóż się. Twoje łóżko nie jest pościelone, ale możesz przykryć się kocami. Drzemka dobrze ci zrobi.

- Z pewnością. Jest pani dla mnie bardzo dobra, pani Abney. Proszę mi wybaczyć, że wtargnęłam tu tak nagle i przestraszyłam panią.

- Cieszę się, że znowu tu jesteś. Przyjemnie jest z kimś pogadać. Twój ojciec będzie szczęśliwy, kiedy się dowie, że wróciłaś.

Gabriela poszła na górę do salonu. Podniosła słuchawkę i nakręciła jakiś numer.

- Biuro numerów - odezwał się męski głos.

- Poszukuję numeru kogoś, kto mieszka w Kornwalii. Nazywa się Haverstock. Niestety znam tylko nazwisko i wiem, że mieszka w Tremenhoeere.

- Proszę chwilę poczekać.

Czekała ze słuchawką przy uchu. Jej rozmówca był najwyraźniej człowiekiem pogodnym, bo nucił pod nosem: „Nawet gdy niebo skryją ciemne chmury, nie wzdychaj, nie płacz i głowa do góry...”

Salon wyglądał tak samo jak w jej wspomnieniach. Te same zasłony, te same obicia krzesel. Poduszki, które wy-

bierała jej matka. Kilka nowych drobiazgów, ze dwa nie znane jej obrazy...

- Tremenheere. Już mam. Penvarloe dwa trzy osiem.

Gabriela miała już przygotowany ołówek, więc szybko zapisała numer.

- Więc właścicielem telefonu jest pan...

- Nie, nie pan. Admirał. Admirał G.J. Haverstock.

- Penvarloe... - powiedziała bezradnie Gabriela. - O mój Boże.

- O co jeszcze pani chodzi?

- Muszę tam dojechać pociągiem. Nie mam pojęcia, jaka może być najbliższa stacja.

- Mogę pani to powiedzieć - oznajmił telefonista i podał jej nazwę miejscowości.

- Skąd pan to wie?

- Byłem tam z żoną w zeszłym roku na urlopie.

- To zdumiewające...

- Istotnie zdumiewające - odparł rozbawionym tonem. - Przez cały czas lał deszcz.

Gabriela zebrała swoje rzeczy i udała się na pierwsze piętro. Zostawiła torbę i weszła do garderoby ojca. Pachniało w niej jak zawsze płynem po goleniu. Otworzyła szafę, a potem chwyciła rękaw tweedowej marynarki i przytuliła do niego twarz. Dostrzegła w kącie ustawioną schludnie w płóciennym pokrowcu wędkę na łososie. Na biurku panował typowy dla jej ojca zorganizowany nieład; leżały jakieś papiery, odcinki czeków i nie zapłacone rachunki. Na komodzie zauważyła swoją fotografię sprzed lat i jakiś okropny obrazek, który dla niego niegdyś namalowała. A także fotografię... Laury? Nie był to wykonany przez zawodowca portret, lecz powiększone amatorskie zdjęcie ślicznej roześmianej kobiety. Miała długie, ciemne włosy, ciemne oczy i ujmujący uśmiech. Wyglądała na osobę szczęśliwą.

„Twoja żona w Tremenheere ma romans z Ivanem Ashby”.

Gabriela wyszła z pokoju, zamykając drzwi. Ciągnąc za sobą torbę, pokonała ostatni odcinek schodów. „Twój pokój zawsze będzie na ciebie czekał”, obiecał jej ojciec. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Jej łóżko, jej książki, jej pluszowe niedźwiadki, jej dom dla lalek. Na ścianach fryz, przedstawiający postacie z książek Beatrix Potter. Pasiaste, biało-niebieskie zasłony.

Gabriela kopnięciem zrzuciła buty, odgarnęła narzutę i weszła do łóżka. Koce były miękkie i ciepłe, wygodniejsze niż jakiegokolwiek prześcieradła. Nie mogła zasnąć, leżała więc patrząc w sufit.

„Twoja żona w Tremmenheere...”

Była zbyt zmęczona, by płakać. Zamknęła oczy, ale sen nie przychodził.

W końcu wstała, wzięła kąpiel i przebrała się. Włożyła inne dżinsy i inną koszulkę; były wymięte i znoszone, ale przynajmniej czyste. Zarzuciła na ramię torebkę i wyszła z domu. Skierowała się na róg, do najbliższego banku, z którego usług zawsze korzystali jej rodzice. Oznajmiła, że chce się widzieć z kierownikiem, pokazała mu swoje dokumenty i uzyskała zezwolenie na wypisanie czeku. Podjąwszy sporą sumę pieniędzy, poczuła, że jest piekielnie głodna. Znalazła jakieś delikatesy, w których kupiła świeży chleb, masło, karton mleka, trochę pasztetu i pół funta pomidorów. Po powrocie na Abigail Crescent wyłożyła wszystkie zakupy na kuchenny stół i przyrządziła sobie posiłek. Dochodziło wpół do czwartej. Przeszła do salonu, zatelefonowała na dworzec Paddington i zarezerwowała miejsce w wagonie sypialnym. Później mogła już tylko czekać.

\* # #

Stacja leżała na samym końcu linii kolejowej. Ostatni odcinek trasy biegł wzdłuż morza, a kiedy Gabriela wyszła na peron, poczuła ostre, słonawy zapach ryb i wodorostów. Z góry dochodziły krzyki mew, unoszonych w powietrzu przez podmuchy porannej bryzy.

Zegar na peronie wskazywał godzinę siódmą. Wyszła przed budynek stacji i ujrzała przystań pełną kutrów rybackich i małych łódek spacerowych. Na postoju stały trzy taksówki. Podeszła do pierwszej i poprosiła kierowcę, by zawiózł ją do Tremeneheere.

- Czy ma pani jakiś bagaż?

- Tylko to.

Otworzył jej drzwi, a kiedy wsiadła, położył obok niej na siedzeniu czerwoną torbę.

- Czy to bardzo daleko? - spytała, kiedy ruszył sprzed stacji i skręcił w kierunku, z którego nadjechał pociąg.

- Nie, tylko mila lub dwie. Będzie pani mieszkać u admirala?

- Zna go pan?

- Nie, nie znam go, ale wiele o nim słyszałem. Ma wspomniały dom.

- Mam nadzieję, że nie przyjadę zbyt wcześnie. Nie spodziewają się mnie.

- Ktoś już na pewno będzie na nogach.

Zostawili za sobą miasteczko, skręcili w krętą polną drogę i zaczęli piąć się w górę. Mijali małe pola, gospodarstwa rolne i wielkie kępy dzikich rododendronów. Potem dotarli do jakiejś wioski.

- To jest Penvarloe - powiedział kierowca.

Minęli bramę i po chwili ujrzeni przed sobą wielki i piękny dom z kamienia w stylu elżbietańskim.

Zatrzymali się przed drzwiami frontowymi, które wydały się zamknięte na głucho. Z boku wisiał wykuty z żelaza uchwyt od dzwonka, ale Gabriela nie zdobyła się na jego pociągnięcie w obawie, że obudzi cały dom.

- Proszę mnie tu zostawić. Poczekam.

- Objedźmy dom i zobaczmy, czy nie ma kogoś z drugiej strony.

Powoli przejechali pod arkadą i dotarli do tylnego dziedzińca. Nigdzie nie dostrzegli znaku życia. Gabriela otworzyła drzwi taksówki i wyciągnęła swoją torbę.

~ Proszę się o mnie nie martwić - powiedziała do kierowcy. - Teraz już sobie poradzę. Ile jestem panu winna?

Zapłaciła żadaną sumę i podziękowała za pomoc. Taksówkarz ostrożnie wycofał się z dziedzińca i przejechał pod arkadą, a potem z rykiem silnika ruszył w drogę powrotną. Gabriela stała bezradnie, zastanawiając się, co robić dalej. Nagle ciszę poranka zakłócił odgłos otwieranego okna.

- Czy pani kogoś szuka? - usłyszała męski głos.

Nie dochodził z dużego domu, lecz z małego domku, stojącego na przeciwległym krańcu dziedzińca. Po obu stronach drzwi domku stały skrzynki z pelargoniami. Z okna wychylał się półnagi mężczyzna, opierając łokcie na kamiennym parapecie.

- Tak - odparła.

- Kogo?

- Pani Haverstock.

- Musi pani wybierać. Mamy tu dwie panie Haverstock. Którą pani woli?

- Chodzi mi o żonę pana Aleka Haverstock.

- Proszę chwilę poczekać - powiedział mężczyzna. - Zanim zejdę i wpuszczę panią do domu.

Gabriela przeniosła swą torbę na drugą stronę dziedzińca. Nie musiała czekać długo. W chwilę później drzwi małego domku otworzyły się - najwyraźniej nie były zamknięte na klucz - stanął w nich młody bosy mężczyzna w niebieskim szlafroku, którego pasek właśnie zawiązywał. Był nie ogolony, a jego jasne włosy sterczały niesforne na czubku głowy.

- Dzień dobry - powitał Gabriellę.

- Obawiam się, że pana obudziłam.

- Owszem, obudziła mnie pani, a raczej ta taksówka. Szuka pani Laury. Z pewnością jeszcze śpi; nikt z nich nie pojawia się nigdy przed dziewiątą.

- Och, bardzo mi przykro - powiedziała Gabriela, zerkając na zegarek.

Podniósł jej torbę i usunął się na bok, przytrzymując otwarte drzwi. - Proszę wejść.

- Ale czy nie będzie pan...

- Nic się nie stało. Nie mogę wrócić do łóżka, nawet gdybym chciał. Muszę jechać do pracy...

Gabriela weszła do wnętrza, a on zamknął za nią drzwi. Znalazła się w dużym pokoju, który najwyraźniej spełniał wiele funkcji. Dostrzegła wiele ładnych stylowych mebli, holenderską porcelaną, równo wiszące nad małą elektryczną kuchenką rondle i garnki oraz czarny piecyk, przy którym ustawione były dwa wygodne fotele. Na środku pokoju stał stół, a na nim brązowy dzban pełen róż. Z sufitu zwiisał na sznurku różowo-czerwony papierowy ptak.

- Jaki miły pokój - powiedziała.

- Lubię go. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Czy Laura wie o pani przyjeździe?

- Nie.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Gabriela Haverstock. - Widząc jego zdziwione spojrzenie, dodała: - Alek jest moim ojcem.

- Ale przecież pani jest w Ameryce.

- Nie. Już nie jestem. Jestem tutaj. Teraz w Ameryce przebywa mój ojciec. Poleciał do Nowego Jorku w środę wieczorem. Nasze samoloty musiały się minąć w środku nocy.

- Więc on też nie wiedział o pani przyjeździe?

- Nie.

- Jak się pani tu dostała?

- Przyjechałam nocnym pociągiem z Paddington.

- W takim razie... - Zabrakło mu słów. - To dobry temat na powieść. Czy zamierza pani tu zostać?

- Nie wiem. To zależy od tego, czy ktoś mnie zaprosi.

- Nie wydaje się pani tego pewna.

- Bo nie jestem.

- Czy zna pani Geralda?

- Ojciec opowiadał mi o nim, ale nigdy go nie spotkałam.

- Więc nie poznała pani również Eve?



- Nie, nie znam żadnego z nich. I nigdy nie spotkałam Laury.

Wybuchnął śmiechem i podrapał się po głowie, jak każdy zdezorientowany mężczyzna.

- W takim razie przeżyjecie wszyscy urocze chwile, poznając się nawzajem. No cóż, będziemy musieli poczekać, dopóki oni nie zwloką się z łóżek. Czy miałyby pani ochotę na śniadanie?

- A pan będzie jadł?

- Oczywiście. Nie wyobraża pani sobie chyba, że pojedę do pracy z pustym żołądkiem.

Podszedł do małej kuchenki i zapalił ją. Z lodówki wyjął paczkę bekonu. Gabriela usiadła przy stole i obserwowała go. Pomyślała, że mimo niekompletnego stroju wygląda bardzo atrakcyjnie, jak mężczyzna z reklamy Eau Sauvage.

- Gdzie pan pracuje? - spytała.

- Jestem współwłaścicielem fabryczki mebli, na wrzosiwisku, w miejscowości, która nazywa się Carnellow.

- Czy mieszka pan tu od dawna?

- Dopiero od roku. - Włączył elektryczny czajnik i włożył chleb do opiekacza. - Wynajmuję ten domek od Geralda. Dawniej była tu wozownia, ale przebudował ją. - Znalazł puszkę i nasypał kawy do emaliowanego dzbanka. - A pani mieszkała w Wirginii, prawda?

- Tak. Ale nie byłam tam już od dość dawna. Spędziłam ostatnie sześć miesięcy na Wyspach Dziewiczych. Mieszkałam na jachcie.

- Naprawdę? - spytał z uśmiechem, odwracając się do niej przez ramię. - To fantastyczne. Marzenie każdego sybaryty. I przyjechała pani wprost stamtąd?

- Tak. Z Saint Thomas do Saint Croix, z Saint Croix do San Juan, z San Juan do Miami, z Miami do Nowego Jorku, z Nowego Jorku do Londynu...

- Z Londynu do Tremenneere.

- Zgadza się.

W pokoju zaczął się unosić ostry zapach smażonego boczku, zmieszany z aromatem kawy. Ivan wyjął z kredensu talerze, filiżanki, spodki, a z szuflady noże i widelce. Położył wszystko na stole.

- Czy mogłaby pani zachować się jak grzeczna dziewczynka i nakryć do stołu? - Podszedł ponownie do kuchenki. - Jedno jajko czy dwa?

- Dwa - odparła Gabriela, czując znów przypływ głodu. Ustawiła na stole nakrycia i rozłożyła sztucce.

- Czego jeszcze nam brakuje?

Spróbowała przypomnieć sobie składniki tradycyjnego brytyjskiego śniadania.

- Marmolady? Miodu? Owsianki? Nereczek? Kedgeree?

- Niech pani nie wpada w przesadę.

- W takim razie masła.

Znalazł w lodówce glinianą maselniczkę, postawił ją na stole i wrócił do kuchenki.

- Jakie są Wyspy Dziewicze? - spytał.

- Pełne komarów.

- Chyba pani żartuje?

- Ale na morzu jest cudownie.

- Gdzie miała pani bazę?

- W Saint Thomas.

- A gdzie pani pływała?

- Wszędzie. Saint John. Virgin Gorda... - Mimo szlafroka i sterczących włosów również od tyłu wyglądał tak atrakcyjnie, jak żaden znany jej mężczyzna. Miał piękne, sprawne dłonie... - Norman Island.

- Norman Island. To brzmi jak imię i nazwisko jakiegoś damskiego fryzjera.

- To prawdziwa nazwa Wyspy Skarbów. Wie pan, tej, o której pisał Robert Louis Stevenson.

- Czy on tam był?

- Chyba tak.

Wyłożył bekon i jajka na dwa talerze, a potem postawił je na stole.

- Czy to wystarczy?
  - W zupełności.
  - Są jeszcze pomidory. Jeśli ma pani ochotę na grzybki i nereczki, to musi pani poczekać. Mogę wyskoczyć do naszego sklepu, obok poczty.
  - Nie, dziękuję.
  - Więc mogę podać kawę?
  - To świetny pomysł.
  - Niech mi pani opowie coś więcej o Norman Island - poprosił, siadając naprzeciwko niej.
  - Nie ma o czym opowiadać.
  - Drzewka figowe i białe plaże?
  - Zmieścił pan wszystko w jednym zdaniu.
  - Dlaczego pani stamtąd wyjechała?
- Gabriela wzięła widelec do prawej ręki, poczuła na sobie wzrok gospodarza, przełożyła widelec do lewej ręki i wzięła do prawej nóż.
- Transatlantyckie obyczaje - powiedział.
  - Mam słabą pamięć. Zapomniałam, że jestem teraz w Wielkiej Brytanii. Ale robi pan wspaniałe jajka na bekonie.
  - Dlaczego pani wyjechała?
- Opuściła wzrok na swój talerz i wzruszyła ramionami.
- Och, sama nie wiem, chyba uznałam, że pora wracać do domu.
- Śniadanie było doskonałe, ale gospodarz, nalawszy sobie drugą filiżankę kawy, oznajmił, że musi się ogolić. Przedtem jednak otworzył drzwi, by sprawdzić, co się dzieje w dużym domu.
- Nikt się nie rusza. Nic nie słychać. Jest dopiero wpół do dziewiątej. Nikt nie pojawi się w oknie jeszcze przez pół godziny. - Wrócił do pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Na dziedziniec padały pierwsze promienie słońca. Jeden z nich położył się jasnym pasmem na wyszorowanej drewnianej podłodze. - Czy mogę panią zostawić na chwilę samą, bo muszę się ubrać?

- Oczywiście.

- Nie musi pani zmywać po śniadaniu - dodał, idąc w stronę nie obudowanych schodów - ale byłoby miło, gdyby pani to zrobiła.

- Nie wiem jeszcze, kim pan jest - powiedziała Gabriela.

Był już w połowie drogi na górę, ale odwrócił się i spojrzał na nią jasnoniebieskimi oczami, tak niebieskimi jak skrzydła kolibra, jak wody zatoki Caneel Bay albo jak kwiat przetacznika.

- Przepraszam, chyba zapomniałem się przedstawić. Jestem synem Eve.

- Ale nadal nie znam pańskiego nazwiska.

- Nazywam się Ivan Ashby.

Zniknął na górze. Usłyszała nad głową jego kroki. Potem pogodną muzykę z radia i szum wody płynącej z kranu do umywalki.

Ivan Ashby.

Gabriela odsunęła krzesło od stołu, zebrała naczynia i zaniósła je do zlewu. Zmyła wszystkie talerze i ułożyła je schludnie na suszarce. Potem wyszła na dziedziniec. Stado gołębi zatrzepotało nad jej głową i przysiadło na wyblakłych dachówkach gołębnika. W dużym domu nadal panowała cisza. Okno pokoju położonego na górze było jeszcze zasłonięte kotarami.

Na dziedzińcu stał drugi mały domek, w którym ktoś się już krzątał. Z jedyne go komina leciał dym, a drzwi były otwarte na oścież. Pojawiła się w nich jakaś młoda kobieta w długiej czarnej spódnicy i białej bluzce ozdobionej gdzieś postrzępionymi koronkami, która przypominała komżę ministranta. Stała przez chwilę nieruchomo, rozkoszując się świeżością letniego poranka, a potem z wdziękiem przysiadła na skąpanym w słońcu progu.

Gabriela zerknęła na nią z ciekawością. Widok młodej kobiety, która wychodzi z domu wcześniej rano i po prostu siada na progu, nic nie robiąc, był dla niej nowością.

*Dlaczego w życiu jest kłopotów tyle,  
że nie ma czasu na zadumy chwilę.*

Gabriela patrzyła zauroczona. Młoda kobieta, zdając sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje, podniosła wzrok.

- Halo! - powiedziała.

- Halo! - odparła Gabriela.

- Piękny poranek.

- Owszem. - Gabriela ruszyła w stronę domku. - Ma pani rację.

Kobieta była bardzo młoda. Jej drobną twarz otaczała ogromna grzywa kędzierzawych jasnych włosów. Miała bose stopy, a jej dłonie zdobiły liczne pierścionki.

- Skąd się wzięłaś? - spytała.

Wyglądała jak typowa hippiska. Głos miała donośny i przyjazny. Sposób wymawiania samogłosek wskazywał, że pochodzi z północy kraju.

- Właśnie przyjechałam. Przed chwilą wysiadłam z pociągu.

Gabriela była już pod domkiem. Dziewczyna posunęła się, robiąc jej miejsce, więc usiadła obok niej na progu.

- Mam na imię Drusilla.

- A ja Gabriela.

- Przyjechałaś na dłużej?

- Mam nadzieję.

- W takim razie witaj w naszym klubie.

- A ty mieszkasz tu na stałe?

- Tak. W środku jest mój dzieciak. Jeszcze się nie obudził, dlatego siedzę na progu. Miło jest mieć chwilę spokoju.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Od miesiąca czy dwóch. Przedtem mieszkałam w Lanyon. Ale kręcę się w tych stronach od mniej więcej roku.

- Czy pracujesz w miasteczku?

- Nie. Nigdzie nie pracuję. Po prostu zajmuję się Joshem. Jestem flectiską - dodała.

- Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Jestem flecistką. Gram na flecie.

- Naprawdę? - Wszystko to wydawało się Gabrieli coraz bardziej interesujące. - Zawodowo?

- Tak. Zawodowo. Grałam w orkiestrze w Huddersfield - to moje rodzinne miasto - ale potem orkiestrze skończyły się fundusze i od tej pory jestem bezrobotna. Pojechałam do Londynu i próbowałam znaleźć tam jakąś pracę, ale nie dopisało mi szczęście.

- Więc co robiłaś?

- Poznałam pewnego chłopaka, miał na imię Kev. Był malarzem. Wprowadziłam się do jego małej klatki w Earls Court i przez jakiś czas mieszkaliśmy razem. Jemu też nie szło w Londynie, więc postanowiliśmy przyjechać tutaj. Byli tu już jego koledzy, którzy pomogli nam znaleźć mieszkanie. Wynajęliśmy domek w Lanyon, na wrzosowisku, ale w gruncie rzeczy do niczego się nie nadawał. Nie przypominał tego domu. Nie było w nim nawet toalety.

- Ile ma twoje dziecko?

- Dziesięć miesięcy.

- A czy... nadal jesteście razem? Ty i Kev?

- Och, nie. Ulotnił się. Wrócił do Londynu. Musiałam wynieść się z tego domku, bo właściciel nie pozwolił mi tam zostać samej. Zresztą nie miałam pieniędzy na czynsz.

- I co zrobiłaś?

- Nie miałam wielkiego wyboru, prawda? Wyniosłam się. Mathie Thomas... czy znasz Mathie Thomasa?

- Nie znam tu nikogo.

- Zaprosił mnie do siebie na dzień czy dwa, a potem Ivan znalazł mi ten domek. Ivan jest współnikiem Mathie Thomasa.

- Właśnie poczęstował mnie śniadaniem.

- Naprawdę? - Drusilla uśmiechnęła się. - Jest fantastyczny, prawda? Uważam go za wspaniałego człowieka. Naprawdę go lubię. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby z niim zamieszkać.

-A jego matka?...

- Eve? Też jest fantastyczna. Podobnie jak admirał. Czy poznałaś już admirała?

- Mówiłam ci, nie znam tu nikogo.

- Jesteśmy prawdziwą komuną. - Drusilla była najwyraźniej w wylewnym nastroju. - Jest tu też stara niańka, bardzo stara i jeszcze bardziej nieznośna. - Zastanawiała się przez chwilę, a potem zmarszczyła nos. - Nie, to niesprawiedliwe. Nie jest zła. Co srode, kiedy ma wolny dzień, jeździ do Truro. Poprosiłam ją, żeby kupiła dla Josha butelkę soku porzeczkowego o nazwie Ribena, którego nie mogę dostać w miasteczku, a ona przywiozła mu króliczka. Nie prawdziwego - pluszowego króliczka z wstążką na szyi. Josh nigdy dotąd nie miał takiej zabawki. To było z jej strony bardzo miłe. Ale żebyś widziała jej minę, kiedy mu go wręczała! Była skrzywiona, jakby najadła się śliwek w occie. Niektórzy ludzie są dziwni. A ludzie starzy są bardziej dziwni niż inni.

- Kto poza tym tu mieszka?

- Jest jeszcze Laura. Jakaś krewna admirała. Przebywa tu na rekonwalescencji. Przeszła jakąś operację. Ale ona nie mieszka tu na stałe. Po prostu przyjechała z wizytą. Kręcą się tu też różni ludzie. Na przykład ogrodnik i jego żona, która czasem pomaga w domu. I pewna kobieta, która mieszka w miasteczku i nazywa się pani Martens. Nie znoszę jej.

- Czy ona też pomaga w prowadzeniu domu?

- Och, nie. Jest przyjaciółką Eve. I moim zdaniem zarozumiała snobką. Nigdy nie usłyszałam od niej dobrego słowa. Nigdy nie spojrzała na Josha. Ale codziennie się tu zjawia, pod takim czy innym pretekstem. Wykorzystuje panią domu. Wiesz, jak to jest.

Gabriela, która nie wiedziała, jak to jest, ale nie chciała powstrzymywać tego strumienia informacji, kiwnęła głową.

- Prawdę mówiąc podejrzewam, że drażni ją moja obecność. Kilka dni temu wpadła wieczorem na drinka. Wszy-

scy siedzieli w słońcu przed domkiem Ivana, popijając szampana, i admirał poprosił, żebym się do nich przyłączyła. Ale kiedy zobaczyłam, że ona też tam jest, podziękowałam mu, weszłam do domu i zamknęłam drzwi. Choć pili prawdziwego szampana. Nie miałabym nic przeciwko temu...

Przerwała. Z głębi domu doszedł rozpaczliwy płacz małego dziecka.

- To Josh - powiedziała Drusilla, wstając i znikając za drzwiami. W chwilę później pojawiła się znowu, niosąc małego chłopczyka, ubranego w kusą koszulkę nocną. Usiadła i postawiła go na trawie. Był bardzo gruby i opalony na brąz. Miał gołe nóżki, rzadkie włosy i czarne błyszczące oczy.

- Jak się czuje moje maleństwo? - spytała czule Drusilla, całując jego fałdki na szyi.

Zafascynowany Gabriełą, nie zwrócił na to uwagi. Po chwili uśmiechnął się, ukazując dwa ząbki. Gabriela wyciągnęła do niego rękę, a on złapał ją za palec i próbował wetknąć go sobie do buzi. Kiedy mu na to nie pozwoliła, wrzasnął z oburzenia, a Drusilla pochyliła się i pocałowała go jeszcze raz, a potem wzięła na ręce i zaczęła wolno kołysać.

- Czy... - zaczęła Gabriela - ...czy będąc w ciąży myślałaś kiedykolwiek o jej przerwaniu?

Drusilla podniosła wzrok, marszcząc z niesmakiem nos.

- Mój Boże, nie. Co za makabryczny pomysł. Żeby pozbyć się Josha?

- Ja też spodziewam się dziecka - oznajmiła Gabriela.

- Naprawdę? - Głos Drusilli świadczył, że jest nie tylko zainteresowana, ale i zachwycona. - Kiedy?

- Jeszcze nieprędko. Dopiero niedawno zdałam sobie z tego sprawę. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

- To wspaniale.

- Nie powiesz o tym nikomu, prawda?

- Ani słowa. Czy wiesz, kto jest ojcem?

- Tak, oczywiście.



- A czy on o tym wie?
- Nie. I nigdy się nie dowie.

Drusilla uśmiechnęła się z aprobatą. Podzielała niezależne stanowisko Gabrieli.

- Życzę ci wszystkiego dobrego - powiedziała.

May leżała jeszcze w łóżku. Obok na nocnym stoliku stała szklanka z jej sztuczną szczęką. Obudził ją cichy szmer rozmowy toczącej się tuż pod jej oknem. Ubiegłego wieczora wklejała do swego albumu różne ładne obrazki, a potem oglądała telewizję aż do końca programu. Ale w jej wieku sen nie przychodził łatwo i wstawał już nowy dzień, kiedy w końcu zapadła w lekką drzemkę....

Wyciągnęła rękę, namacała swoje okulary i z trudem włożyła je na nos. Potem popatrzyła na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Wszystko się zmieniło. Za dawnych czasów wstawała o wpół do siódmej, a czasem, jeśli trzeba było nakarmić dziecko, jeszcze wcześniej. Szmer głosów mile brzmiał w jej uszach. Zastanawiała się, kto może rozmawiać pod jej oknem.

Po chwili wstała z łóżka, włożyła sztuczną szczękę i narzuciła szlafrok. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Dziedziniec był skąpany w słońcu budzącego się dnia. Przed małym domkiem siedziała Drusilla z Joshem na rękach, a obok niej jakaś dziewczyna. Zapewne jedna z jej dziwacznych przyjaciółek.

May nie wychyliła się z okna, bo nie leżało to w jej zwyczaju. Obserwowała je z wnętrza pokoju. Nieznajoma dziewczyna miała na sobie spodnie, a jej włosy wyglądały na tlenione. Właśnie Ivan wyszedł ze swego domku i podszedł do obu kobiet.

- Czy ktoś już się obudził? - zapytał.
- Ja się obudziłam - oznajmiła May, otwierając okno. Zatrzymał się i spojrzał w górę.
- Dzień dobry, May.

- O czym tak od rana rozprawiacie? - spytała ciekawie.

- May, bądź tak dobra i zobacz, czy moja matka już wstała. Jak najszybciej. Muszę pędzić do pracy, ale chcę się z nią zobaczyć przed wyjazdem.

- Będę musiała się ubrać.

- Nie ma na to czasu. Idź zaraz. W tym szlafroku wyglądasz zachwycająco.

- Nie zwracaj głowy - zachnęła się May. Ale zamknęła okno i rozejrzała się po pokoju. Znalazła pantofle, włożyła je i wyszła na korytarz. Pod drzwiami Eve i Geralda zatrzymała się i nadstawiła uszu. Kiedy usłyszała ich głosy, zapukała cicho.

Eve siedziała owinięta szalem na swojej połowie ogromnego małżeńskiego łoża, pijąc poranną herbatę. Gerald, już ubrany, zawiązywał właśnie sznurowadła. Eve, zachęcona utrzymującą się dobrą pogodą, usiłowała nakłonić go do urządzenia pikniku.

- ... moglibyśmy pojechać do Gwenvoe i pospacerować po urwiskach. Nie byłam tam od lat, ale wiem, że nie spotkamy tłumów ludzi, którzy obsypywaliby nas piaskiem. Obiecuj mi, że pojedziesz z nami. Chyba wszystkim nam dobrze zrobi wyrwanie się z domu.

Pukanie do drzwi obudziło w niej niepokój. Uczucie to towarzyszyło jej stale od chwili nadejścia anonimu, a przybrało na sile, kiedy ujrzała wychylającą się zza drzwi twarz May.

- O co chodzi, May?

- Ivan chce z tobą rozmawiać. Jest na dziedzińcu.

- Ivan? Co się stało? O co chodzi?

- Chyba nic się nie stało. Mówi, że chce z tobą porozmawiać, zanim pojedzie do fabryki. Jest tam też Drusilla i jakaś inna dziewczyna... chyba jej przyjaciółka. Ma tlenione włosy.

- O mój Boże - mruknęła Eve.

- Ivan prosi, żebyś zaraz przyszła.

- Dziękuję ci, May. Będę tam za chwilę.

Drzwi zamknęły się.

- Geraldzie, dlaczego miałabym gnać na spotkanie z Ivanem i dziewczyną o tlenionych włosach?

- Nie bądź taka wystraszona. To brzmi interesująco. Pójdę z tobą.

- Przez cały czas czuję, że zdarzy się coś okropnego...

- Nie wolno ci tak myśleć.

Eve odrzuciła kołdrę i wyszła z łóżka, gubiąc przy tym swój szal. Gerald wstał i pomógł jej włożyć bladoniebieski pikowany szlafrok.

- Jak sądzisz, czy dziewczyna o tlenionych włosach należy do Drusilli czy do Ivana? - spytał.

- Och, nie mów takich rzeczy - zawołała, mimo woli wybuchając śmiechem.

- Wiesz, zanim się z tobą ożeniłem, w Tremeneere było potwornie nudno. Mam nadzieję, że to nie kolejne brzydkie kaczątko.

- Brzydkie kaczątko z tlenionymi włosami?

- Moja wyobraźnia odmawia mi posłuszeństwa - oznajmił Gerald.

Zeszli do kuchni. Na stole stały trzy nakrycia. Taca Laury czekała na bocznym stoliku. Gerald odryglował kuchenne drzwi i otworzył je.

- Myśleliśmy, że nigdy się nie zjawicie - zawołał Ivan.

- Co to za pilna sprawa? - spytał Gerald. Eve zerknęła nad jego ramieniem i zobaczyła przyjaciółkę Drusilli. Właśnie podniosła się z progu jej domku i ruszyła w ich kierunku. Była wysoka, szczupła i długonoga. Miała opaloną twarz i włosy koloru słomy. Eve zwróciła uwagę na jej niezwykle piękne szare oczy.

Drusilla z dzieckiem obserwowała ich z progu małego domku.

- Czy wiesz, kto to jest? - spytał Ivan. Eve potrząsnęła głową. Jej syn nie miał zwyczaju zadawania idiotycznych pytań. Skąd mogli wiedzieć, kim ona jest?

- To jest Gabriela - oznajmił Ivan.

\* \* \*

Lucy nie czuła się dobrze. W ciągu nocy obudziła Laurę, stając na tylnych łapach obok łóżka, drapiąc pościel i żałośnie wyjąc. Laura zniosła ją po ciemku na dół i wypuściła do ogrodu. Lucy natychmiast zaczęła wymiotować. Gdy wróciły na górę, wypija z miski sporo wody i wróciła do swego koszyka, wślizgując się pod koc, jakby było jej zimno.

Kiedy Laura się obudziła, Lucy nadal leżała na swoim miejscu. Widoczny był tylko jej pyszczek. W ciemnych oczach malował się niemy wyrzut, a jedwabiste uszy smętnie zwisały.

- Jak się czujesz? - spytała Laura, a suczka westchnęła i oparła mordkę na obudowie koszyka. Wyglądała naprawdę żałośnie.

Laura była pewna, że musiała zjeść coś, co jej zaszkodziło. Lucy była okropnie łakoma. Zapewne znalazła coś na kompoście lub wygrzebała jakąś gnijącą kość. Laura pomyślała, że trzeba będzie zawieźć ją do weterynarza.

Spojrzała na zegarek. Była niemal dziewiąta. Za oknami wstawał kolejny piękny poranek. Czuła, że grzeszy, leżąc tak długo w łóżku, ale Eve nie pozwoliła jej pojawiać się na dole, dopóki nie zje śniadania, które uparcie przynosiła jej do pokoju na tacy. Laura odzyskała już na tyle siły, że chętnie jadałaby w kuchni wraz z innymi, oszczędzając pani domu biegania po schodach. Ale Eve tak lubiła ją rozpieszczać, że postąpiłaby niegrzecznie, odmawiając jej tej przyjemności.

Po chwili wstała, umyła zęby i szczotkując włosy zaczęła zastanawiać się, co porabia w Nowym Jorku Aleks. Znow poczuła wyrzuty sumienia. Wysłała do niego pocztą lotniczą długi list, w którym przeproszała go i próbowała mu wszystko wytłumaczyć, ale nie potrafiła wyrazić tego, co chciała, więc po wrzuceniu listu do skrzynki wcale nie poczuła się lepiej. Miała nadzieję, że kiedy mąż przyjedzie po nią do Tremeneheere, wszystko ułoży się lepiej. Pozbędzie

się skrupułów i porozmawia z nim otwarcie o Daphne Boulderstone. Może okaże się, że Alek myśli o Daphne dokładnie to samo, co ona, ale nigdy o tym nie mówi. Wtedy uśmieją się z tego wspólnie i wszystko będzie w porządku.

Przyklękła przy koszyku Lucy, pogłaskała ją po głowie i przyłożyła dłoń do jej nosa, który był ciepły, jakby miała gorączkę. W tym momencie usłyszała na korytarzu kroki Eve, a w chwilę potem pukanie do drzwi.

- Eve, jestem już na nogach.

Eve stanęła w drzwiach, trzymając w rękach wyplataną tacę. Miała jeszcze na sobie pikowany szlafrok i wydawała się bardziej pogodna niż w ciągu ostatnich kilku dni.

- Czy jesteś w dobrej formie? - spytała, stawiając tacę na łóżku.

- Dlaczego pytasz?

- Naprawdę w dobrej formie? Gotowa na niespodziankę? Na miłą niespodziankę?

Miał niespodziankę? Przyszedł jej do głowy tylko Alek. Ale w drzwiach pokoju stanęła jakaś młoda dziewczyna. Nie uśmiechała się, a Laura dostrzegła na jej twarzy wyraz niepokoju. Miała krótkie, utlenione włosy i duże, szare oczy, którymi spojrzała jej śmiało prosto w twarz.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwała w końcu Eve.

- Laura, to jest Gabriela. Córka Aleka.

- Ale skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam z Saint Thomas. To jest na Wyspach Dziewiczych.

Eve już wyszła, a one siedziały obok siebie na wielkim łóżku. Gabriela podwinęła nogi pod siebie i oparła plecy o mosiężną obudowę.

- Czy widziałaś się z ojcem?

- Nie. Wyjechał już do Nowego Jorku. - Zrelacjonowała dokładnie przebieg wydarzeń. Dla Laury podróż powrotna

Gabrieli była jakimś koszmarem, ale ona opowiadała o niej dość pogodnie. Po prostu wróciła do Islington, zobaczyła się z panią Abney, spędziła dzień w Londynie i przyjechała do Tremenheere.

Laura zdała sobie sprawę, że Gabriela nie liczyła na spotkanie z ojcem. Przyjechała do Tremenheere po to, by zobaczyć się z nią. Ta dziewczyna, córka Aleka, siedząca na skraju jej łóżka, była żywą osobą. Nie była już fotografią, imieniem, którego nikt nigdy nie wymawiał, rysunkiem, pustym pokojem wypełnionym dziecięcymi zabawkami. Była tutaj. W zasięgu ręki. Była Gabriela.

- Musimy zawiadomić Aleka o twoim przyjeździe.

- Nie, nie róbmy tego - poprosiła Gabriela. - Zacznie się niepokoić, a nie ma żadnych powodów do niepokojów. Eve powiedziała mi, że ma tu po ciebie przyjechać, więc zróbmy mu niespodziankę. Zachowajmy to przed nim w tajemnicy.

- Ale czy ty nie musisz wracać do Ameryki?

- Nie. Nie muszę.

- Ale... co będziesz robić?

- Myślałam o pozostaniu w Anglii.

- To byłoby wspaniale! Nie mogę sobie wyobrazić lepszej wiadomości. A Alek... och, Gabrielo, on tak bardzo za tobą tęsknił. Wiem jak bardzo.

- Tak - powiedziała Gabriela. Podniosła się z łóżka i podeszła do okna. - Jakież to cudowne miejsce. Rosną tu nawet palmy. Mam wrażenie, że znów jestem w Indiach Zachodnich. - Odwróciła głowę i zobaczyła leżącą w koszyku Lucy. - Czy to twój pies? - Przysiadła obok koszyka.

- Tak. Ale jest chora. W nocy było jej niedobrze. Na szczęście powiedziała mi o tym, więc zdążyłam ją wyprowadzić do ogrodu. Chyba coś zjadła. Ma na imię Lucy.

Patrząc uważnie na Gabriele, zadała jej pytanie, które nurtowało ją od chwili, gdy ją ujrzała.

- Gabrielo, jak mnie znalazłaś? Skąd wiedziałaś, że jestem tu, w Tremenheere?

- Od pani Abney - odparła Gabriela, pochylając się, by pogłaskać Lucy.

- W takim razie Alek musiał jej o tym powiedzieć przed odlotem do Nowego Jorku.

- Tak. Chyba tak. - Gabriela wyprostowała się nagle. - Idę na dół. Eve obiecała mi filiżankę kawy. Zostawiam cię, żebyś mogła spokojnie zjeść śniadanie. Jeśli nie zjesz szybko tego jajka na miękko, zrobi się twarde jak kamień.

- Będziemy mogły porozmawiać, kiedy się ubiorę - powiedziała Laura. - Jest tyle pytań, które chciałabym ci zadać.

- Oczywiście. Siądziemy sobie w ogrodzie i pogadamy.

Gabriela zamknęła za sobą drzwi i podeszła do szczytu schodów. Zatrzymała się i po chwili wahania wyciągnęła z kieszeni džinsów pogniecioną brązową kopertę. „Twoja żona w Tremeneheere ma romans z Ivanem Ashby”.

Zaszokowana była nie tyle treścią oskarżenia zawartego w liście, ile złą wolą jego nadawcy. Teraz, po dwóch godzinach od przybycia do Tremeneheere, znała już Ivana i Laurę. Ivan był jej zdaniem bardzo atrakcyjnym mężczyzną, takim, po którym można spodziewać się niemal wszystkiego. Ale Laura wyglądała i zachowywała się jak osoba całkowicie niewinna, a jej wyraźna radość na widok córki męża była wręcz ujmująca. Zetknięcie z nie znaną jej pasierbicą mogło obudzić w niej czujność, podejrzliwość, a nawet zazdrość, ale ona nie okazała ani śladu żadnego z tych uczuć. Jej radość była autentyczna, a szczerość przejrzysta jak kryształ.

Po raz pierwszy w Gabrieli obudziły się wątpliwości. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że zawarta w liście informacja może być całkowicie nieprawdziwa. W takim przypadku nasuwało się jedno pytanie: Kto nienawidzi Laury i Ivana do tego stopnia, by posunąć się do tak niebezpiecznego oszczerstwa?

Zeszła na dół. Kiedy przechodziła przez obszerny hall, w drzwiach kuchni pojawił się Gerald z gazetą w ręku. Nie zauważył jej i ruszył w stronę korytarza.

- Gerald!

Odwrócił się, a ona podeszła do niego bliżej.

- Czy mogłabym z tobą przez chwilę porozmawiać?

Zaprowadził ją do swojego gabinetu. Był to ładnie urządzony pokój, pachnący cygarami i palonym drewnem.

- Czy tutaj przychodzisz, żeby czytać gazetę?

- Tak. - Zauważyła, że jest bardzo przystojnym mężczyzną. - W ten sposób nie wchodzę nikomu w drogę. Usiądź, Gabrielo.

Nie zajęła fotela, który jej wskazał, lecz krzesło stojące naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka.

- Jesteście dla mnie bardzo mili... - zaczęła niepewnie.

- Przepraszam, że nie uprzedziłam was o swoim przyjeździe, ale naprawdę nie było na to czasu.

- Cieszę się, że cię widzę. A raczej, że miałem okazję cię poznać.

- Powiedziałam przed chwilą Laurze, że o miejscu jej pobytu dowiedziałam się od pani Abney, gospodyni ojca w Islington. Ale to nie była prawda.

- Więc skąd wiedziałaś, że tu jest?

- Otworzyłam to - odparła Gabriela i położyła kopertę na jego biurku.

Gerald, który siedział wygodnie w fotelu, nie poruszył się. Patrzył przez chwilę na brązową kopertę, a potem z powagą spojrzął Gabrieli prosto w oczy.

- Rozumiem - oznajmił.

- Co rozumiesz?

- Mieliśmy już do czynienia z podobnym listem. Został wysłany do naszej przyjaciółki, która mieszka w miasteczku... Był to anonim.

- Ten również jest anonimowy. Otworzyłam go, bo zobaczyłam stempel pocztowy Truro, a wiedziałam, że Laura przebywa gdzieś w Kornwalii. Obie z panią Abney uznałyśmy, że mam prawo tak postąpić.

- Czy pokazałaś go pani Abney?

- Nie. Nie pokazałam go nikomu.



Gerald westchnął głęboko i wziął z biurka kopertę.

- Został wysłany z Truro w ubiegłą środę - powiedział.

- Tak, wiem o tym.

Wyjął list i przeczytał go. Potem oparł łokcie o blat biurka i ukrył twarz w dłoniach.

- O Boże - westchnął cicho.

- To okropne, prawda?

- Jadłś dziś śniadanie z Ivanem. Czy wspomniałś mu o tym?

- Nie, oczywiście, że nie. Ani jemu, ani Laurze. Mówiłam ci, że jesteś pierwszą osobą, której go pokazałam.

- Jesteś mądrą dziewczyną.

- Kto to napisał?

- Nie wiemy.

- Przecież to już drugi taki list. Czy nie staraliście się czegoś przedsięwziąć po otrzymaniu pierwszego?

- Nie. Z pewnych... powodów... postanowiliśmy go zignorować. Mieliśmy nadzieję, że nie będzie drugiego. Teraz myślę, że popełniliśmy błąd.

- Przecież wypisywanie tego typu rzeczy jest przestępstwem. Karalnym przestępstwem.

- Gabrielo, nie ma w tym liście ani słowa prawdy. Chyba o tym wiesz?

- Zastanawiałam się nad tym. Skąd możemy wiedzieć, że to nieprawda?

- Znam Ivana i znam Laurę. Wierz mi, że żyję na tyle długo i znam wystarczająco dobrze moich bliźnich, by wiedzieć, co dzieje się pod dachem mojego domu. Ivan, mój pasierb, nie jest może najbardziej dyskretnym i rozsądnym ze znanych mi mężczyzn, ale nigdy nie byłby takim głupcem ani takim łobuzem, by uwodzić żonę Aleka. Jeśli idzie o Laurę - rozłożył ręce - poznałś ją. - Czy możesz sobie wyobrazić, by była zdolna do czegoś takiego?

- Nie, nie mogę - przyznała Gabriela. - Sama już doszłam do takiego wniosku. Ale musi przecież istnieć jakieś wytłumaczenie...

- Och, kilka razy wyjechali razem z domu. Do sklepu z antykami... Na piknik. Ivan jest dobrym człowiekiem. Lubi towarzystwo atrakcyjnych kobiet, ale źródłem jego poczynań jest w zasadzie bezinteresowna życzliwość. I mogę cię zapewnić, że naraziło go to w ciągu minionych lat na wiele kłopotów.

Gabriela uśmiechnęła się. Kiedy usłyszała tak pozytywną opinię o Ivanie, kamień spadł jej z serca, choć wiedziała, że Gerald może nie być całkowicie obiektywny w stosunku do swego pasierba.

- Co w takim razie zrobimy?

- Być może, powinniśmy porozumieć się z twoim ojcem.

- Nie, tego nie wolno nam zrobić.

- Nawet po to, by go zawiadomić, że tu jesteś?

- Zrobmy mu niespodziankę. Bądź co bądź nie widział mnie od sześciu lat i myśli, że nadal jestem w Wirginii... Nie sądzę, by się o mnie martwił.

- Wolałbym mu o tym powiedzieć.

- Och, proszę cię, nie rób tego. Jeśli pozwolisz mi zostać tu aż do jego przyjazdu, wolałabym go zaskoczyć.

- No, dobrze - zgodził się Gerald.

- Ale nadal nie wiem, co zamierzasz zrobić w sprawie tego listu.

- Czy możesz zostawić to mnie?

- Uważam, że powinniśmy zawiadomić policję.

- Zrobię to, jeśli nie będę miał innego wyjścia, ale dla dobra Eve wolałbym tego uniknąć.

- Cóż ma z tym wspólnego Eve?

- Bardzo wiele - odparł. - Wyjaśnię ci to kiedy indziej. Po pierwszym anonimie niemal rozchorowała się ze zmartwienia, ale teraz wygląda o wiele lepiej i mam nadzieję, że od chwili twojego niespodziewanego przybycia przestała o tym myśleć. Sądzę, że ty powinnaś na razie zrobić to samo. Wziąłem już tę sprawę na siebie. Więc staraj się dobrze bawić. Idź do ogrodu i posiedź na słońcu. Znajdź Laurę i spróbuj się z nią zaprzyjaźnić, zgoda?

Kiedy wyszła, raz jeszcze przeczytał list, wsunął go ponownie do koperty i ukrył ją w wewnętrznej kieszeni swej starej tweedowej marynarki. Potem wyszedł z gabinetu i wrócił do kuchni, w której Eve kroїła jarzyny na zupę.

- Kochanie.

- Muszę na pół godziny wyjechać - oznajmił, całując ją czule.

- Czy wybierasz się do miasteczka? Może wstąpiłbyś przy okazji do sklepu?

- Nie teraz. Ale jeśli chcesz, pojedę tam później.

- Jesteś kochany. Zrobię listę zakupów.

- Gerald! - zawołała za nim Eve, kiedy otwierał już kuchenne drzwi. Odwrócił się.

- Jest urocza, prawda? - spytała z uśmiechem. - Mam na myśli Gabrielę.

- Czarująca - odparł Gerald i wyszedł na dwór.

Wsiadł do samochodu, skręcił zaraz za bramą w lewo, wjechał na wzgórze i znalazł się na szosie biegnącej w stronę wrzosowiska. Po przejechaniu mili lub dwóch dotarł do rozwidlenia dróg. Jedno ramię drogowskazu skierowane było w stronę Lanyon, drugie w stronę Carnellow. Wybrał drogę do Carnellow.

Kiedyś była to odcięta od świata osada górnicza. Składała się z kilku rzędów skromnych domków, zrujnowanej maszynowni, komina i brzydkiej kaplicy. Tu, na porośniętym wrzosami wzniesieniu, nawet podczas bezwietrznych dni zawsze wiało. Kiedy wysiadł z samochodu, usłyszał lekki szum. Wrzosowisko, upstrzone gdzieś tam szmaragdowymi plamami bagien i kępami wysokiej trawy, falowało w podmuchach wiatru.

Z dawnej kaplicy dochodziły odgłosy wyteżonej pracy, wycie piły tarczowej, stukot drewnianych młotków. Stare wejście zostało poszerzone do rozmiarów bramy podwójnego garażu. Ciężkie drzwi na rolkach były teraz rozsunięte i odsłaniały wnętrze warsztatu. Nad wejściem wisiał nowy szyld: „Ashby i Thomas”.

Na zewnątrz, pod prowizorycznymi daszkami, leżały stopy suszących się desek. Wśród kilku zaparkowanych samochodów stała furgonetka Ivana. W powietrzu fruwały poruszane wiatrem skręcone wióry i unosił się słodkawy zapach piłowanego drewna.

Zjawił się jakiś chłopiec, niosąc krzesło, które zamierzał załadować na jedną z furgonetek.

- Dzień dobry - powiedział Gerald.
- ... dobry.
- Czy jest tam Ivan?
- Tak, gdzieś się tu kręci.
- Czy możesz go poprosić? Powiedz mu, że chce się z nim zobaczyć admirał Haverstock.

Chłopiec, na którym władczy ton Geralda wywarł chyba równie silne wrażenie jak jego tytuł, postawił krzesło i zniknął, a w chwilę później zjawił się ponownie, prowadząc Ivana, który miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i staroświecki kombinezon roboczy.

- Witaj, Geraldzie.
- Przepraszam, że zawracam ci głowę. Usiądźmy na chwilę w samochodzie.

Opowiedział swemu pasierbowi o całej przykłej sprawie i pokazał mu drugi list. Ivan, czytając go, zacisnął dłoń na kolanie tak mocno, że zbieleły mu kostki.

- O Boże - powiedział, powtarzając nieświadomie słowa Geralda.
- Paskudna sprawa - stwierdził Gerald. - Ale tym razem wiem oczywiście, że jest to nieprawda.
- To już dobry początek - stwierdził z ironią Ivan. - Cóż za obrzydliwa afera. Mówisz, że Gabriela przeczytała ten list w Londynie i przywiozła go ze sobą? Musiała uznać mnie za skończonego łajdaka.

- Ona wie, że nie ma w tym liście ani słowa prawdy. Powiedziałem jej to i miałem wrażenie, że chętnie mi uwierzyła.

- Chyba nie uważasz nadal, że to May?

- Został wysłany z Truro w środę - odparł Gerald. - Taki sam papier.

- Geraldzie, nie mogę uwierzyć, że to ona.

- W takim razie kto, mój stary?

- Czy nie sądzisz...? Zastanawiałem się nad tym po pierwszym liście, ale nic nie mówiłem. Czy nie sądzisz, że może to być Drusilla?

- Drusilla?

- Tak, Drusilla.

- Dlaczego miałyby to zrobić? Co by jej przyszło z pisaniami oszczerczych anonimów?

- Nie wiem. Tyle, że... - Na twarzy Ivana odbił się wyraz lekkiego zażenowania. - Kiedy jej pomogłem... to znaczy kiedy zamieszkała dzięki mnie w tym małym domku... przyszła do mnie któregoś wieczora i dała mi jasno do zrozumienia, że gotowa jest okazać mi swą wdzięczność, jeśli tylko tego zażądam. Ale jiiie wiązało się to z żadnym... uczuciem. Jej propozycja miała charakter czysto pragmatyczny.

- Czy skorzystałeś z niej?

- Nie, oczywiście, że nie. Podziękowałem jej, powiedziałem, że nic mi nie jest winna i odesłałem ją do domu. Nie miała do mnie żalu. - Zastanowił się przez chwilę i dodał: - Tak mi się wydawało.

- Czy Drusilla byłaby zdolna do napisania czegoś takiego?

- To dziwna dziewczyna. Sam nie wiem. Nie znam jej. Nikt z nas jej nie zna. Nie wiemy nic o jej przeszłości i nie mamy pojęcia, czego chce od życia. Jest zagadką.

- Zgadzam się z tobą. Ale dlaczego miałyby robić przykrość Sylwii?

- Nie mam pojęcia. Chyba za nią nie przepada, ale to jeszcze nie powód, by wysłać do tej biedaczki anonimowy list. Poza tym Drusilla bynajmniej nie jest zdecydowaną przeciwniczką alkoholu. Sama lubi się napić.

- Ivan, ten list został wysłany z Truro w środę - powie-

dział Gerald po chwili namysłu. Drusilla nigdy nie wyprawa się dalej niż do miasteczka. Ma przecież dziecko w wózku. Nie mogłaby dojechać do Truro.

- Mogła poprosić May o wysłanie listu- Są ze sobą w niepojęty dla mnie sposób zaprzyjaźnione. May kupuje jej czasem w Truro różne rzeczy dla dziecka, których nie można dostać w miasteczku. Dlaczego więc nie miałyby wysłać listu?

Wszystko to wydawało się zupełnie racjonalne. I niewyobrażalnie okropne. Gerald żałował, że nie może pójść w ślady Eve i zapomnieć o całej tej ponurej sprawie.

- Co teraz zrobimy? - spytał Ivan.

- Powiedziałem Gabrieli, że powinniśmy skontaktować się z Alekiem, ale ona mi na to nie pozwoliła. Nie chce go niepokoić. Zresztą on we wtorek już tu będzie.

- Geraldzie, musimy coś zrobić przed jego przyjazdem.

-Co?

- Czy nie sądzisz, że należałoby wtajemniczyć w to policję?

- A co będzie, jeśli okaże się, że to May?

- Tak, rozumiem twój punkt widzenia - powiedział Ivan po chwili namysłu.

- Poczekajmy jeszcze jeden dzień.

- Geraldzie, postępujesz niezgodnie ze swą naturą - stwierdził Ivan z uśmiechem. - Chcesz grać na zwłokę. Zawsze sądziłem, że w Marynarce wszystkie zegary spieszą się o pięć minut.

- Bo tak jest.

- Trudne zadania wykonujemy natychmiast, zadania niemożliwe mogą zająć nam trochę więcej czasu.

- Och, nie powtarzaj mi moich własnych powiedzonek. A poza tym, być może, to zadanie jest właściwie niemożliwe i musi zająć nam trochę więcej czasu. Kiedy wracasz do domu, Ivan?

- Być może zwolnię się na popołudnie i przyjadę na obiad. Wyglądasz na człowieka, który potrzebuje moralne-

go wsparcia. - Wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. - Do zobaczenia później.

Gerald patrzył za nim z sympatią i wdzięcznością. Kiedy Ivan zniknął w warsztacie, uruchomił silnik samochodu i wyruszył do Tremeneheere.

\* \* \*

- Z początku nie było tak źle. Nie było tak źle, jak się spodziewałam. Wirginia jest piękna, a Strick ma wspaniałą posiadłość na wysokim brzegu James River. Olbrzymi dom, otoczony polami, zielone pastwiska dla koni i białe drewniane płoty. Rosły tam dzikie derenie i dęby, a przed domem rozciągał się piękny ogród z wielkim basenem kąpielowym i kortami tenisowymi. Było tam miło i słonecznie, nawet w zimie. Miałam duży pokój i własną łazienkę. Strick zatrudnił liczną służbę: kucharza, pokojówkę i ciemnoskórego lokaja imieniem David, który przyjeżdżał codziennie do pracy różowym Studebakerem. Nawet szkoła, do której wysłała mnie matka, nie wzbudziła moich zastrzeżeń. Była to szkoła z internatem, chyba potwornie droga, bo rodzice moich koleżanek byli tak samo bogaci jak Strickland. Po jakimś czasie, kiedy przyzwyczyły się do tego, że jestem Angielką i mam angielski akcent, traktowały mnie bardzo przyjaźnie.

Rozmawiały w ogrodzie pod drzewem morwy. Wyniosły na dwór koc i kilka poduszek i leżały obok siebie na brzuchu jak dwie pogrążone w szczerzej rozmowie koleżanki.

- I nigdy nie czułaś się samotna?

- Och, mój Boże, oczywiście, że tak. W gruncie rzeczy przez cały czas, ale to była dziwna samotność. Była częścią mnie samej, czymś, co nosiłam stale w sobie, ale głęboko ukryte. Bardzo głęboko. Jak kamień w studni. Czułam się wyobcowana, ale próbowałam to ukryć.

- A co robiłaś, kiedy nie byłaś w szkole?

~ To nawet nie było najgorsze. Wiedzieli, że nie mam ochoty jeździć konno, więc zostawiali mnie w spokoju.

Zresztą po domu kręcili się zwykle jacyś ludzie. Przyjaciele z dziećmi w moim wieku albo znajomi, którzy przyjeżdżali zagrać w tenisa lub popływać. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę dobrze pływam, a nawet gram w tenisa, choć nie można by mnie nazwać mistrzynią.

- Gabrielo, dlaczego nigdy nie przyjechałaś zobaczyć się z ojcem?

Odwróciła wzrok, wyrwała z ziemi źdźbło trawy i gniotła je w palcach.

- Nie wiem. Jakoś nigdy nic z tego nie wychodziło. Początkowo myślałam, że będę przyjeżdżać i spędzać z nim urlopy w Glenshandra. Tam naprawdę byliśmy razem, tylko on i ja. Zabierał mnie ze sobą nad rzekę i siedzieliśmy tak godzinami... tylko we dwoje. Chciałam jechać do Glenshandra, ale kiedy wspomniałam o tym matce, powiedziała, że załatwiła mi już udział w jakimś obozie letnim i zaproponowała, żebym zrezygnowała z wyjazdu w tym roku. Przecież będą następne wakacje. Kiedy ma się zaledwie czternaście lat, niełatwo jest spierać się z własną matką i stawiać na swoim. Zresztą, z nią w ogóle bardzo trudno się spierać. Ma na wszystko gotową odpowiedź, więc w końcu zawsze wygrywa. Pojechałam więc na ten letni obóz, ale myślałam, że ojciec napisze i oznajmi, że jest na nas wściekły. Nie zrobił tego. Powtórzył po prostu słowa matki. Może w przyszłym roku. To mnie zabolowało, bo pomyślałam, że pewnie nie zależy mu na tym tak bardzo, jak mi się zdawało.

- Czy pisywał do ciebie?

- Tak. Przysyłał mi też prezenty gwiazdkowe i urodzinowe.

- Odpisywałaś mu?

- Och, tak. Wysyłałam listy z podziękowaniami.

- Przecież on musiał za tobą bardzo tęsknić w ciągu tych pięciu lat, które spędził samotnie. Musiał żałować, że nie jesteś z nim. Choćby od czasu do czasu.

- Nie powinien był wyrazić zgody na mój wyjazd - powiedziała Gabriela. - Chciałam zostać z nim. Oznajmiłam



to mojej matce, a ona stwierdziła, że to niemożliwe. Że pomijając już wszystkie problemy organizacyjne, ojciec jest zbyt zajęty, zbyt pochłonięty pracą. Że praca była dla niego zawsze najważniejsza.

- A czy powiedziałaś o tym ojcu?

- Próbowałam. Przed moim wyjazdem z Anglii odwiedził mnie w szkole i spacerowaliśmy razem wkoło boiska, ale wtedy było już za późno, by znaleźć z nim wspólny język. Powiedział mi tylko: „Mam zbyt wiele obowiązków”.

- I nigdy mu tego nie wybaczyłaś?

- Tu nie chodzi o wybaczenie, Lauro. To sprawa przystosowania. A kiedy już się przystosowałam, było za późno, żeby wrócić, nawet na jakiś czas. Czy to rozumiesz?

- Owszem - odparła po namyśle Laura. - Chyba rozumiem. Myślę, że i tak bardzo dobrze sobie poradziłaś. Przy najmniej zaakceptowałaś niemożliwą sytuację i ułożyłaś sobie w jakiś sposób życie.

- Och, istotnie je sobie ułożyłam.

- Co się stało, kiedy skończyłaś szkołę?

- Matka chciała, żebym kontynuowała naukę w college'u, ale ja broniłam się przed tym rękami i nogami. Doszło do awantury, jednak tym razem uparłam się, postawiłam na swoim i zrobiłam to, czego chciałam, a mianowicie zaczęłam studiować na uczelni artystycznej w Waszyngtonie.

- To fascynujące.

- Tak, to było wspaniałe. Miałam własne mieszkanie i własny samochód, więc mogłam przyjeżdżać na weekendy do Wirginii i przywozić z sobą przyjaciół. Matka ich nie akceptowała, bo mieli długie włosy i głosowali na demokratów, ale poza tym wszystko było okay. Przynajmniej przez jakiś czas...

- Dlaczego tylko przez jakiś czas?

Gabriela westchnęła i wyrwała kolejne źdźbło trawy.

- Nie wiem, czy słyszałaś cokolwiek o Stricklandzie Whiteside - powiedziała po chwili.

- Nie. Nic. Alek nigdy o nim nie mówił. Bardzo rzadko wspominał o twojej matce.

- Kiedy skończyłam szkołę... sama nie wiem, nic się właściwie nie stało... Kilka razy zauważyłam, że Strickland przygląda mi się w oblesny sposób, i wiedziałam, że coś się zmieniło. Zaczęłam schodzić mu z drogi. To był jeden z powodów, dla których wyjechałam do Waszyngtonu - żeby wyrwać się z Wirginii. Ale oczywiście po jakimś czasie, kiedy dostałam dyplom, musiałam wrócić. Pierwszego wieczora po moim powrocie do domu matka położyła się wcześniej spać, a Strickland brutalnie zaczął się do mnie dobierać. Wypił kilka drinków... to było okropne.

- Och, Gabrielo...

- Wiedziałam, że nie mogę tam zostać. Następnego rana oznajmiłam matce, że wyjeżdżam do Nowego Jorku i zamieszkać u swojej szkolnej przyjaciółki. Trochę była zdziwiona, ale nie miała żadnych obiekcji. Może sobie wyobrażała, co się dzieje w ptasim mózdzku Stricklanda, ale jeśli istotnie tak było, to nie dała tego po sobie poznać. Zawsze była bardzo opanowana. Nigdy nie widziałam, żeby straciła kontrolę nad sytuacją. Więc zadzwoniłam do tej przyjaciółki, spakowałam się i pojechałam do Nowego Jorku. Myślałam, że znajdę tam jakąś posadę czy coś w tym rodzaju. Ale Nowy Jork nie był moim ulubionym miejscem, a kiedy podczas pierwszego spaceru ujrzałam swe odbicie w szybie wystawowej jednego ze sklepów na Piątej Alei, zapytałam sama siebie: „Co ty tu, do cholery, robisz?” Tak czy owak w ciągu kilku pierwszych dni nie znalazłam żadnej pracy, co zresztą okazało się i tak bez znaczenia, bo poszłam z przyjaciółką na przyjęcie, które odbywało się w Greenwich Village, i poznałam tam pewnego mężczyznę. Był miłym Anglikiem i miał poczucie humoru; mówiliśmy tym samym językiem i nadawaliśmy na tych samych falach. Och, jak przyjemnie było przebywać w towarzystwie kogoś, kto śmiał się z tych samych głupstw co ja. W końcu zabrał mnie na kolację. Powiedział, że jego jacht zacumowany

jest na Wyspach Dziewiczych, że zaprosił grupę przyjaciół na rejs, i spytał, czy nie miałabym ochoty popłynąć z nimi. No więc pojechałam. Było wspaniale. Piękny jacht, interesujące wyprawy, cudowne, romantyczne małe zatoki z białym piaskiem i palmami. Kiedy minęły dwa tygodnie, wszyscy goście wrócili do Nowego Jorku, ale on został. A ja z nim. Byliśmy ze sobą przez sześć miesięcy. Pożegnałam się z nim dwa dni temu. Dwa dni. Mam wrażenie, że od tej pory upłynęły dwa lata.

- Ale kim on jest, Gabrielo?

- Nazwałabyś go chyba włóczęgą z wyższych sfer. Powiedziałam ci już, że jest Anglikiem. Służył w armii. Chyba miał gdzieś jakąś żonę. I mnóstwo pieniędzy, bo nie zajmował się żadną pracą, a utrzymanie pięćdziesięciostopowego jachtu na Wyspach Dziewiczych sporo kosztuje.

- Czy byłaś z nim szczęśliwa?

- Och, tak. Wspaniale się bawiliśmy.

- Jak on się nazywa?

- Tego ci nie powiem. To zresztą nie ma żadnego znaczenia.

- Ale skoro byłaś z nim szczęśliwa, to dlaczego wróciłaś do Anglii?

- Spodziewam się dziecka - powiedziała Gabriela.

Zapadła cisza, która nie była wcale ciszą, bo w ogrodzie rozbrzmiewał śpiew ptaków.

- Och, Gabrielo - powiedziała zakłopotana Laura.

- Zdałam sobie z tego sprawę dopiero... przed mniej więcej tygodniem.

- Czy byłaś u lekarza?

- Nie, ale jestem zupełnie pewna. Wiedziałam, że jeśli nie zamierzam urodzić tego dziecka, jeśli mam zdecydować się na aborcję, to muszę działać dość szybko. Ale to nie był jedyny powód, dla którego natychmiast wróciłam do domu. Prawdziwy powód był taki, że chciałam się zobaczyć z ojcem. Po prostu chciałam. Potrzebowałam go. Musiałam mu to powiedzieć, porozmawiać z nim, zasięgnąć jego rady i...

och, po prostu być z nim, Lauro. A kiedy przyjechałam do Londynu i nie zastałam go w domu, pomyślałam, że mogę zrobić tylko jedno, to znaczy znaleźć ciebie i porozmawiać z tobą.

- Ale przecież nawet mnie nie znałaś.

- Musiałam komuś o tym powiedzieć.

Laura szybko, z zażenowaniem, otarła napływające jej do oczu łzy.

- Nigdy nie miałam zdecydowanych poglądów na temat aborcji - powiedziała. - To znaczy, nigdy nie wypowiadałam się ani za nią, ani przeciwko niej. Ale samo to słowo, kiedy je wymawiasz, napełnia mnie taką odrazą i takim lękiem... Och, Gabrielo, nie wolno ci decydować się na aborcję!

- Nie martw się - odparła z uśmiechem Gabriela - i tak już doszłam do wniosku, że nie mogłabym się na to zdobyć. Podjęłam decyzję dziś rano, kiedy rozmawiałam z Drusillą, zanim się obudziliście. Kiedy zobaczyłam to jej wielkie, tłuste dziecko, poczułam nagle absolutną pewność, że chcę urodzić swoje.

- Czy jego ojciec o tym wie?

- Nie, nic mu nie mówiłam.

- Och, kochanie... - Laura znów poczuła, że ma łzy w oczach. - To głupie, że płaczę, ale nie mogę się powstrzymać. Być może nie powinnam się cieszyć, ale cieszę się ze względu na ciebie.

- Czy nie boisz się, że Alek zemdleje, kiedy mu o tym powiemy?

- Chyba znasz go dobrze.

- Wiesz, co naprawdę chciałabym zrobić? - spytała Gabriela. - Wrócić do Londynu razem z wami... może zostać tam aż do urodzenia dziecka.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz.

- Będzie nam trochę ciasno w tym małym domku.

- Namówimy wspólnie Aleka, żeby kupił nam większy, z ogrodem.

Zaśmiały się równocześnie, jak dwie kobiety spiskujące przeciw mężczyźnie, którego obie kochają.

- Zawsze tego chciałam - powiedziała Laura. - Nie większego domu, tylko dziecka. Ale mam już trzydzieści siedem lat i pewne kłopoty ze zdrowiem, więc dotąd nie miałam szczęścia. Dlatego właśnie musiałam przejść tę operację. Dlatego jestem tutaj i nie pojechałam z nim ani do Glen-shandra, ani do Nowego Jorku. Ale skoro ja nie mogę mieć dziecka, to...

- To w ostateczności zgodzisz się zamieszkać z moim?

- Nie. Nie to chciałam powiedzieć. Nie ma mowy o żadnej ostateczności.

Przeszkodził im jakiś hałas dochodzący od strony domu. Uniosły głowy i zobaczyły Geralda, który wyszedł właśnie na taras przez wielkie oszklone drzwi. Obserwowały go, kiedy rozstawiał składane krzesła wokół białego, ogrodowego stołu. Potem podniósł jakiś śmieć - może zapałkę, i pochylił się, by wyrwać spomiędzy kamiennych płyt jakieś zielsko. W końcu, najwyraźniej upewniwszy się, że wszystko jest w idealnym porządku, zniknął we wnętrzu domu.

- Cóż to za wspaniały człowiek - stwierdziła Gabriela.

- Tak, wspaniały. Zawsze był idolem Aleka. Biedak, przez sześćdziesiąt lat żył w stanie kawalerskim, a teraz ma w domu tłum kobiet. Samotnych kobiet. Stara May siedzi w swoim pokoju, ceruje skarpetki i myśli o minionym życiu. Drusilla nie ma nikogo oprócz swego dziecka. Sylwia Marten, przyjaciółka Eve, przychodzi co chwile, tęskniąc za towarzystwem. Jest chyba najbardziej samotna ze wszystkich. I ty. I ja.

- Ty czujesz się samotna? Przecież masz Aleka.

- Tak, mam Aleka. I wszystko układa się niemal idealnie.

- Czego ci brakuje?

- Niczego. Ale istnieje inne życie, w którym nie ma dla mnie miejsca.

- Masz na myśli moją matkę. I Deepbrook. I mnie.

- Najbardziej siebie. Alek nigdy nie chciał ze mną o tobie rozmawiać, a ja nie miałam ani tyle wiary we własne siły, ani tyle determinacji, by to przełamać.

- Czy byłaś o mnie zazdrosna?

- Nie, nie o to mi chodzi. - Laura próbowała znaleźć właściwe słowa, wiedząc, jak bardzo są one ważne. - Myślę, że byłam samotna z tego samego powodu co Alek. Ty nie byłaś dzielącą nas barierą, Gabrielo, ale pustym miejscem. Powinnaś być razem z nami. Ale cię nie było.

- No cóż, teraz już jestem - powiedziała z uśmiechem Gabriela.

- A co z Eriką? Czy nie będzie się o ciebie niepokoić?

- Nie. Myśli, że nadal pływam po Wyspach Dziewiczych z grupą sympatycznych ludzi z nowojorskiego towarzystwa. Kiedy mój ojciec wróci i przyszłość stanie się trochę bardziej wyraźna, napiszę do niej.

- Będzie za tobą tęsknić.

- Nie sędzę.

- Czy ona kiedykolwiek czuje się samotna? Czy należy do tego rodzaju ludzi?

- Nigdy. Widzisz, ona ma swoje konie.

Leżały nieruchomo jeszcze przez chwilę. Potem Laura zerknęła na zegarek i usiadła.

- Dokąd idziesz? - spytała Gabriela.

- Zaniedbałam Eve. Muszę jej pomóc. W domu jest mnóstwo ludzi, a ona sama gotuje wszystkie posiłki.

- Czy mogę pójść z tobą? Mam wprawę w obieraniu ziemniaków.

- Nie, zostań w ogrodzie. W pierwszym dniu pobytu wolno ci oddawać się lenistwu. Zawołam cię, kiedy przyjdzie pora obiadu.

Kiedy szła przez trawnik w stronę domu, wiatr rozwiewał jej różową bawełnianą spódnicę i długie ciemne włosy. Weszła po schodach na taras i zniknęła w drzwiach. Gabriela patrzyła za nią przez chwilę, a potem przewróciła się na plecy i wetknęła poduszkę pod głowę.

Miała urodzić dziecko. Położyła rękę na swym brzuchu, z radością myśląc o przyszłości. Mała istotka już rosła. Ubiegłej nocy, w pociągu, nie mogła zmrużyć oka. Teraz poczuła ogarniającą ją senność. Wystawiła twarz do słońca i przymknęła oczy.

Powrót do świadomości był powolny i łagodny. Rozpoznała od dawna nie doznawane uczucie, zapamiętane z dzieciństwa. Poczucie czyjejś obecności, poczucie bezpieczeństwa, otulające ją jak ciepły koc.

Otworzyła oczy. Obok niej, na kocu, siedział po turecku Ivan. Jego obecność wydała jej się tak naturalna, że wcale nie była zażenowana.

- Halo - odezwał się do niej po chwili ciszy.

- Nie masz romansu z Laurą - stwierdziła Gabriela, wyrażając głośno pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Nie - odparł, potrząsając przecząco głową.

Zmarszczyła brwi, próbując pojąć, co skłoniło ją do tej wypowiedzi, skoro nie rozmawiali dotąd o liście.

- Gerald pokazał mi ten list - oznajmił Ivan, jakby czytając w jej myślach. - Przyjechał z nim aż do Carnellow. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Przykro mi, że został napisany, ale najbardziej mi przykro, że to ty musiałaś go przeczytać.

- Otworzyłam go tylko dlatego, że chciałam znaleźć Laurę. I myślę, że dobrze się stało. To mógł być bardzo niebezpieczny list. Gdyby ojciec go przeczytał przed wyjazdem do Nowego Jorku, mogłoby to mieć naprawdę groźne następstwa.

- Chyba nie ułatwił ci on pierwszego spotkania z Laurą.

- Nie. Ale w ciągu ostatnich kilku dni zrobiłam sporo rzeczy, które nie były łatwe.

- Przykro mi, że mogłaś nas podejrzewać. Nawet jeśli trwało to tylko przez jeden dzień.

- To nie była twoja wina.

- Przyszedł już jeden taki list. Chyba Gerald powiedział ci o nim.

- Owszem, powiedział mi. Ale jak sam stwierdził, zawierał on stek kłamstw. Teraz nie jestem już za to odpowiedzialna. - Przeciągnęła się, ziewnęła i usiadła. Ogród skąpany był w słońcu i nasycony zapachem kwiatów. Słońce zmieniło pozycję, więc miejsce, na którym leżała Gabriela, znalazło się na granicy światła i cienia. - Jak długo spałam?

- Nie wiem. Jest wpół do pierwszej. Przysłano mnie, abym ci powiedział, że wkrótce będzie obiad.

Miała na sobie jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi rękawami. Pod wycięciem kołnierza, na opalonej klatce piersiowej, dostrzegła błysk srebrnego łańcuszka. Patrzyła na jego piękne dłonie, na które już poprzednio zwróciła uwagę. Zauważyła na ręce zegarek i ciężki, złoty sygnet.

- Czy masz ochotę coś zjeść? - spytał.

Oderwała wzrok od jego dłoni i spojrzała mu w oczy.

- Czy zawsze wracasz do domu na obiad?

- Nie. Ale dziś zrobiłem sobie wolne popołudnie.

- Rozumiem. I co zamierzasz z nim zrobić?

- Chyba przeżyć je beczynnie. A ty?

- Twój pomysł wydaje mi się całkiem dobry.

Uśmiechnął się, wstał i wyciągnął do niej rękę.

- W takim razie - powiedział - przeżyjmy je beczynnie razem.

\* \* \*

Wszyscy siedzieli przy kuchennym stole, pijąc przedobiedniego drinka i czekając na May. Kiedy się zjawiła, ostrożnie stąpając po schodach, wyraz niezadowolenia na jej pomarszczonej twarzy wskazywał, że jest czymś bardzo przejęta.

- Co się stało, May? - spytała Eve.

May splótła dłonie na brzuchu i przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami, a potem powiedziała im, co się stało. Ktoś zostawił otwarte drzwi od pokoju Laury. Lucy wylazła ze swego koszyka, przeszła korytarzem do pokoju May i zwymiotowała na samym środku jej cennego dywanu.



\* \* \*

Tego popołudnia, o piątej, Laura wyruszyła samotnie do miasteczka, niosąc koszyk pełen pomidorów. Zerwała je razem z Eve. Rosły w przydomowej szklarni i na skutek upału zaczęły gwałtownie dojrzewać. Eve i Laura spędziły kilka godzin, robiąc z nich przeciera, a mimo to nie zużyły wszystkich. Drusilla z wdzięcznością przyjęła całą miskę, a Eve odłożyła pełny kosz dla żony proboszcza, ale i tak sporo zostało.

- Dlaczego te przekłete owoce muszą dojrzewać równocześnie? - pytała Eve, lekko zarumieniona z wysiłku po wszystkich tych operacjach kulinarnych. - Nie znoszę, kiedy się marnują. Już wiem, co zrobimy - dodała - damy resztę Sylwii.

- Czy ona nie ma własnych?

- Nie, uprawia niemal wszystkie inne jarzyny, ale nie pomidory. Zadzwoń do niej i spytam, czy jej się przydadzą. - Poszła do telefonu i wróciła z radosnym wyrazem twarzy. - Jest po prostu zachwycona. Mówi, że kupowała je dotąd na pocztę i płaciła bająnskie sumy. Zaniesiemy je do niej później.

- Jeśli chcesz, mogę to zrobić sama - zaproponowała Laura.

- Naprawdę? Nie widziałas dotąd jej ogrodu, który jest baśniowo piękny, a poza tym ona zawsze cieszy się z wizyty kogoś, z kim może pogawędzić. Być może namówisz ją, żeby wybrała się z nami jutro do Gwenvoe. - Podczas obiadu nie tylko przekonała ostatecznie swego opornego męża, że sobotni piknik jest wspaniałym pomysłem, lecz nakłoniła go do udziału w nim. - Jeśli tak, to powiedz jej, że weźmiemy jedzenie i że ktoś z nas po nią wstąpi. I tak będziemy musieli wziąć dwa samochody.

Wychodząc z domu, Laura zajrzała do ogrodu. Ivan i Gabriela przez całe popołudnie siedzieli na trawniku, pochłonięci rozmową, jak para starych znajomych. Laura była zadowolona, że Ivan nie zabrał Gabrieli na jedną ze swych

wyczerpujących wypraw. Czują się za nią odpowiedzialna jak matka.

Nigdy nie była w domu Sylwii, ale znalazła go bez trudu. Furtka, oznaczona tabliczką z napisem „Roskenwyn”, była otwarta na oścież. Laura dotarła krótką zwirowaną ścieżką do drzwi frontowych.

- Sylwia!

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ale za otwartymi drzwiami saloniku dostrzegła oszklone wyjście do ogrodu. Znalazła w nim Sylwię klęczącą nad grządką z małymi grabkami w ręku i plewiącą chwasty.

- Sylwia!

- Dzień dobry. - Przykucnęła, nie wypuszczając grabek z ręki. Miała na sobie stare džinsy i kraciastą koszulę, a jej twarz jak zwykle zakrywały duże przeciwsłoneczne okulary.

- Przyniosłam ci trochę pomidorów.

- Och, jesteś aniołem. - Sylwia odrzuciła grabki i zdjęła zabrudzone ziemią rękawiczki.

- Nie przerywaj sobie....

- Ale ja chcę. Robiłam to przez całe popołudnie. - Wstała. - Zaraz przygotuję coś do picia.

- Jest dopiero piąta.

- To nie musi być alkohol. Jeśli chcesz, zaparzę herbatę. Albo napijemy się lemoniady.

- Lemoniada to świetny pomysł.

- Zgoda. - Wzięła koszyk z rąk Laury. - Przyniosę ją na dwór. Możesz pochodzić sobie po moim ogrodzie i wznosić okrzyki och! i ach!, a kiedy wrócę, powiesz mi, jak bardzo ci się podobał.

- Nie bardzo znam się na ogrodach.

- To nawet lepiej. Lubię bezkrytyczny podziw.

Zniknęła w domu, a Laura posłusznie zaczęła oglądać schludne grządki, tonące w powodzi rózu, błękitu i fioletu o najróżniejszych odcieniach. Nie było na nich ani jednego czerwonego, pomarańczowego czy żółtego kwiatka. Ostróż-

ki miały niemal dwa metry wysokości, a nad kolorowymi łubinami unosił się zapach lata. Na klombie gęsto posadzone rozróżnione róże pokryte były kwiatami wielkimi jak spodki.

- Jak ci się udało wyhodować tak piękne róże? - spytała Laura, kiedy usiadły obie w małym patio obok tacy z lemoniadą.

- Karmię je końskim nawozem. Kupuję go od farmera, który ma gospodarstwo niedaleko stąd.

- Ale czy nie trzeba ich spryskiwać?

- Jeszcze jak! Inaczej zżerają je mszyce.

- Nie znam się na ogrodnictwie. W Londynie mamy tylko małe podwórko, na którym stoi kilka skrzynek z roślinami.

- Nie powiesz mi chyba, że Gerald nie zapędził cię jeszcze do plewienia? Jest wspaniałym organizatorem tak zwanych grup roboczych.

- Nie. Nikt nie każe mi nic robić. Czasem tylko zrywam owoce. Jestem traktowana jak dobrze płacący gość.

- No cóż, muszę przyznać, że to przynosi efekty. - Sylwia spojrzała zza ciemnych okularów na twarz Laury. - Wyglądasz wspaniale. Z każdym dniem coraz lepiej. Dziś wydajesz się szczególnie wypoczęta. Z twojej twarzy zniknął wyraz... niepokoju.

- Być może dlatego, że odzyskałam spokój.

Sylwia dopiła lemoniadę, sięgnęła po dzbanek i ponownie napełniła swoją szklankę.

- Czy istnieje jakiś konkretny powód?

- Och, tak, bardzo konkretny. Jest z nami Gabriela. Córnka Aleka. Przyjechała dziś rano, nocnym pociągiem.

- Gabriela? Przecież ona mieszka w Wirginii, prawda? - spytała Sylwia, odstawiając dzbanek na tacę.

- Mieszkała, ale wróciła do domu. Nikt jej nie oczekiwał. To była cudowna niespodzianka.

- Myślałam, że nigdy nie odwiedza ojca.

- Nie odwiedzała go. I nie przyjechała z wizytą. Zostaje

w Anglii. Zamieszka z nami. Nie zamierza wracać do Ameryki.

Laura zdała sobie sprawę, że szczęście jest dziwnym uczuciem. Przez cały dzień miała wrażenie, że unosi się w powietrzu z radości. Teraz odczuła potrzebę zwierzenia się komuś, podzielenia się z kimś swoim szczęściem. Uznała, że może otworzyć duszę przed Sylwią, która znała przecież Aleka od dzieciństwa i widziała, jak samotny czuł się w Tremeneheere.

- Będziemy jedną rodziną. A ja odkryłam niedawno, że tego właśnie zawsze chciałam. Tego właśnie brakowało.

- Brakowało w waszym małżeństwie?

- Tak - przyznała Laura. - Związek z człowiekiem, który był już żonaty, i to przez dłuższy czas... nie zawsze jest łatwy. Część jego życia jest niedostępna, jak zamknięty pokój, do którego nie wolno ci wchodzić. Ale teraz, po powrocie Gabrieli, wszystko się na pewno zmieni. Ona będzie kluczem, który otworzy drzwi tego pokoju. - Uśmiechnęła się bezradnie. - Obawiam się, że nie bardzo umiem to wytłumaczyć. Po prostu wiem, że teraz wszystko ułoży się wspaniale.

- Mam nadzieję, że masz rację - odparła Sylwia. - Ale na twoim miejscu nie wpadałabym w przesadną euforię. Znasz tę dziewczynę dopiero pierwszy dzień. Po miesiącu spędzonym pod jednym dachem chętnie się jej zapewne pozbędziesz. Ona odejdzie, znajdzie sobie własne mieszkanie. Tak robią wszyscy młodzi ludzie.

- Nie, nie sądzę, żeby tak postąpiła. W każdym razie nieprędko.

- Dlaczego jesteś tego taka pewna?

Laura zrobiła głęboki wdech, ale nie odezwała się.

- Wyglądasz jak kobieta, która ukrywa jakąś tajemnicę.

- Bo tak jest. Nie powiedziałam o tym jeszcze nawet Eve, ponieważ tajemnica nie dotyczy mnie.

- Laura, jestem wcieleniem dyskrecji.

- No dobrze. Ale nikomu o tym nie mów. - Uśmiechnęła

się, bo sama możliwość podzielenia się dobrą nowiną napełniła ją radością. - Gabriela spodziewa się dziecka.

- Dziecka?

- Dlaczego jesteś taka zdumiona?

- Czy ona zamierza wyjść za mąż?

- Nie. I dlatego wraca do Londynu razem z nami.

- Co na miłość boską powie Alek?

- Moim zdaniem powrót Gabrieli tak go ucieszy, że jej ciąża nie będzie miała po prostu żadnego znaczenia.

- Nie rozumiem cię. Wyglądasz, jakbyś mi mówiła, że sama spodziewasz się dziecka. Promieniejesz radością.

- Być może tak po części się czuję. Jestem szczęśliwa ze względu na Gabrielę i Aleka, ale najbardziej ze względu na siebie. To egoistyczna postawa, prawda? Ale, widzisz, Sylwio, od tej pory wszyscy będziemy *razem*.

Była tak podniecona, że dopiero tuż przed wyjściem przypomniała sobie o wiadomości, którą miała przekazać Sylwii.

- Och, byłabym zapomniała. Jutro jedziemy wszyscy na piknik do Gwenvoe. Eve pyta, czy miałabyś ochotę wybrać się z nami.

- Jutro? W sobotę? - Sylwia, podobnie jak to robił Gerald, zatrzymała się, by wyrwać jakiś chwast spomiędzy płyt chodnika. - Och, co za pech, nie mogę. Obiecałam, że odwiedzę starą przyjaciółkę, która zatrzymała się w hotelu Castle w Porthkerris. Wolałabym jechać do Gwenvoe, ale nie mogę zrobić jej zawodu.

- Szkoda. Ale wytłumaczę cię przed Eve.

- Wiedziałam, że czegoś mi brakuje - powiedziała nagle Sylwia. - Gdzie jest twój piesek? Przecież zawsze chodzi wszędzie z tobą.

- Jest chora. May nie odzywa się do nikogo, bo Lucy weszła do jej pokoju i zwymiotowała na dywan.

- Co jej jest? Mam na myśli Lucy.

- Myślę, że coś zjadła. Jest okropnie łakoma.

- O tej porze roku plaże są zaśmiecone.

- Nie pomyślałam o tym. W takim razie może nie wezmę jej jutro do Gwenvoe. I tak jest jej gorąco na plaży, a nie wchodzi do wody, bo boi się zmoczyć futerko.

- Jak kot.

- No właśnie, jak kot - potwierdziła z uśmiechem Laura.

- Sylwio, muszę już iść.

- Dziękuję za przyniesienie pomidorów.

- A ja za lemoniadę.

Laura ruszyła w stronę wyjścia, zatrzymała się koło furtki, pomachała ręką na pożegnanie i zniknęła za murem. Sylwia stała przez chwilę przed domem. Spojrzała pod stopy i dostrzegła jeszcze jeden chwast. Pochyliła się i wyrwała go z korzeniami, brudząc sobie ręce ziemią.

\* \* \*

Gerald siedział na kamieniu w cieniu skalistego wzniesienia i obserwował kąpiel swej rodziny. „Przybranej rodziny”, poprawił się w myślach. Jego żona, pasierb, stryjeczna wnuczka i jej macocha. Dochodziła piąta po południu, a on gotów był wracać do domu. Przebywali tu od południa, a choć mieli ten skrawek wybrzeża tylko dla siebie, tęsknił już za prysznicem, ginem z tonikiem, chłodnym pokojem i wieczorną gazetą. Gdy tylko jednak wspomniął o powrocie, Eve i reszta postanowili jeszcze raz wskoczyć do morza.

Znajdowali się w Gwenvoe, ale nie na plaży. Zostawili samochody na parkingu, przebyli pół mili ścieżką prowadzącą nad urwiskiem i zeszli na skały. Początkowo morze było daleko, ale po południu nastąpił przypływ. Jego fale wypełniły głęboką rozpadlinę, wchodzącą jak fiord w głąb skalistego brzegu, i utworzyły naturalny basen. Czysta woda, iskrząca się w przedwieczornym słońcu, miała tu kolor turkusowy. Dlatego nikt nie potrafił oprzeć się pokusie kąpieli.

Z wyjątkiem Geralda, który miał już dość. Eve, jego droga Eve, posiadała wszystkie cechy człowieka morza, w dodatku była jedyną znaną mu osobą potrafiącą pływać

w idealnie pionowej pozycji. Nigdy nie był w stanie zgłębić praw fizyki, rządzących tym niezwykłym zjawiskiem. Laura poruszała się w sposób bardziej konwencjonalny, stosując mało ambitny styl klasyczny, natomiast Gabriela pływała jak młody chłopiec; trzymała głowę w wodzie i poruszając płynnie opalonymi ramionami ślizgała się kraulem jak wyczynowy pływak. Od czasu do czasu oboje z Ivanem wchodzili na jakiś występ skalny i nurkowali. Gabriela przygotowywała się właśnie do skoku, stojąc na skale jak smukła mokra syrena w najbardziej skąpym kostiumie bikini, jaki Gerald kiedykolwiek widział. Na jej opalonym ciele błyszczały kropelki wody.

Eve i Laura wyszły wreszcie z morza i usiadły obok Geralda, wycierając głowy ręcznikami i zalewając kroplami wody rozgrzaną skórę.

- Czy myślicie, że możemy już jechać do domu? - spytał z nadzieją Gerald.

- Och, kochanie. - Eve podniosła głowę i obdarzyła go chłodnym, słonym pocałunkiem. - Oczywiście. Byłeś bardzo grzeczny i wcale nie narzekałeś. A ja też już mam na dzisiaj dosyć, choć przykro kończyć tak miły dzień.

- Trzeba zawsze wychodzić z przyjęcia wtedy, kiedy się jeszcze dobrze bawisz.

- Tak czy owak muszę wracać i pomyśleć o kolacji. Zanim wszystko spakujemy i dojedziemy do samochodu...

Zaczęła zdejmować kostium, zsuwając jego ramiączka.

- Co ty na to, Lauro?

- Pojadę z wami.

- A oni?

Spojrzeli w kierunku młodych. Gabriela utrzymywała się na wodzie, spoglądając w stronę Ivana, który stał na skale, gotowy do skoku.

- Ivan! - zawołał Gerald.

- O co chodzi? - spytał, odwracając się w ich kierunku.

- Jedziemy już do domu. Co zamierzacie robić?

- Chyba zostaniemy jeszcze przez jakiś czas...

- W takim razie do zobaczenia później.
- Zostawcie kilka koszyków, to je zabiorę.
- Doskonale.

Kiedy dotarli do Tremenheere, Gerald przejechał pod arkadą i zaparkował na dziedzińcu. Drusilla z synkiem bawili się piłką; Joshua, który nie opanował jeszcze sztuki chodzenia, gonił za nią na czworakach. Miał na sobie tylko grubą bawełnianą bluzkę. Kiedy wysiedli z samochodu, zaczęli im się bacznie przyglądać.

- Czy spędziliście miły dzień? - spytała Drusilla.
- Wspaniały - odparła Eve. - A ty?
- Poszliśmy do warzywnika i oblałam Joshuę wodą z węzła. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

- Co za doskonały pomysł. Czy był zadowolony?
- Uznał to za wspaniały kawał. Śmiał się jak szalony.

Zanieśli koszyki z resztkami jedzenia do kuchni. Po upale, jaki panował na dworze, było tu chłodno i przyjemnie.

- Chyba pobiegnę na górę, żeby zobaczyć, jak czuje się Lucy - powiedziała Laura. - Potem wezmę ją do ogrodu na krótki spacer.

- Jak to dobrze, że nie zabraliśmy jej ze sobą - stwierdziła Eve. - Ten upał strasznie by ją zmęczył.

Laura ruszyła w górę kuchennymi schodami, a Eve zaczęła wypakowywać resztki, które pozostały z pikniku. Nie zносиła tego zajęcia, więc chciała uporać się z nim jak najprędzej. Po chwili dołączył się do niej Gerald, niosąc kosz z butelkami po winie i termosem po kawie.

- Kochanie - uśmiechnęła się do niego Eve - to wspaniale, że pojechałeś z nami. Bez ciebie nie byłoby tam tak przyjemnie. Zostaw to wszystko, idź na górę i weź prysznic. Wiem, że o nim marzysz.

- Jak to odgadłaś?

- Jesteś cały spocony. Ja tu posprzątam, zajmie mi to tylko chwilę. Wrzucę wszystko do zmywarki, a potem...

- Eve! - zawołała z góry Laura. - Eve!



Usłyszeli w jej głosie przerażenie i spojrzeli na siebie z niepokojem. Potem ruszyli równocześnie w kierunku schodów. Eve pierwsza przebiegła korytarz i wpadła do gościnnego pokoju. Laura stała nieruchomo, trzymając w ramionach Lucy. Miseczka, do której Laura nalewała jej mleka, była pusta. Małe plamy wymiotów wskazywały, że Lucy wyczołgała się z koszyka i usiłowała dotrzeć do drzwi. W pokoju unosił się gorzki, mdlący zaduch.

- Lauro!

Drobne ciało Lucy wydawało się nienaturalnie sztywne. Miała szkliste, nieruchome oczy, rozchyłone wargi i wyszczerzone zęby.

Była martwa.

- Laura, och, Laura! - Eve chciała ją objąć, przytulić i pocieszyć, ale coś ją od tego powstrzymało. Wyciągnęła rękę i położyła ją na łebku Lucy. - Musiała być bardziej chora, niż myśleliśmy. Biedactwo... - W oczach Eve pojawiły się łzy. Była na siebie zła z powodu tego objawu słabości, ale nie mogła się opanować. - Och, Geraldzie.

Laura nie płakała. Powoli przeniosła wzrok z twarzy Eve na twarz Geralda. W jej oczach malował się ogromny ból.

- Potrzebuję Aleka - powiedziała po chwili.

Gerald podszedł bliżej, delikatnie rozchylił jej kurczowo zaciśnięte palce, wziął Lucy na ręce i tuląc ją do piersi, wyniósł z pokoju. W kuchni znalazł tekturowe pudło po jarzynach, delikatnie ułożył w nim ciało psa, zamknął pokrywę i przeniósł pudło do drewnutni. Postanowił wykopać dół w ogrodzie i pochować tam Lucy. Ale teraz musiał się zająć pilniejszymi sprawami.

\* \* \*

Ponieważ była sobota, wszystko wydawało się o wiele trudniejsze. W końcu zadzwonił do informacji i uzyskał numer telefonu prezesa firmy Sandberg Harpers, w której pracował Alek. Szczęśliwym zrządzeniem losu zastał go w domu i otrzymał nowojorski numer Aleka.

Była szósta trzydzieści. Pierwsza trzydzieści w Nowym Jorku. Zamówił rozmowę i dowiedział się, że będzie musiał chwilę poczekać na połączenie. Telefonistka poprosiła, żeby nie odchodził od aparatu. Rozsiadł się wygodnie i czekał.

Do gabinetu weszła Eve, podniósł na nią wzrok.

- Czy Laura czuje się dobrze? - spytał.

- Nie. Jest wstrząśnięta. Nie płakała, ale dostała dreszczy. Położyłam ją do łóżka i przykryłam elektryczną kołdrą. Dałam jej pigułkę nasenną. Nie przyszło mi do głowy nic więcej.

Podeszła do niego, a on objął ją czule i tak trwali w milczeniu przez chwilę, dodając sobie nawzajem otuchy. Potem Eve wyswobodziła się z jego objęć i usiadła w fotelu. Wyglądała na okropnie zmęczoną.

- Co robisz? - spytała.

- Czekam na połączenie z Alekiem. Zamówiłem rozmowę z Nowym Jorkiem.

- Która tam jest teraz godzina? - Eve zerknęła na zegarek.

- Pierwsza trzydzieści.

- Czy zastaniesz go?

- Mam nadzieję, że tak.

- I co zamierzasz mu powiedzieć?

- Żeby wsiadł w pierwszy samolot do Anglii.

Eve zmarszczyła brwi.

- Naprawdę chcesz, żeby wrócił? Przecież on...

- On musi tu przyjechać. Cała sprawa jest zbyt poważna.

- Nie rozumiem.

- Nie chciałem ci tego mówić, ale pojawił się następny z tych odrażających listów. A Lucy została otruta.

# *Rosfcenwyn*

Świt. Niedziela rano. Wielki odrzutowiec spłynął z nieba nad Londynem, zatoczył koło, wziął azymut na pas startowy w Heathrow i szedł do lądowania.

Anglia.

Alek Haverstock miał tylko małą torbę, którą wziął ze sobą na pokład samolotu, więc bez przeszkód przebył kontrolę paszportową i celną, przeszedł na drugą stronę dworca lotniczego i znalazł się w chłodnym, wilgotnym powietrzu szarego angielskiego letniego poranka.

Rozejrzał się za samochodem i znalazł go. Tuż przy wyjściu zaparkowane było jego czerwone BMW, a obok stał Rogerson, kierowca firmy. Dbał zawsze o formy, więc choć była to niedziela, a on miał wolny dzień, zjawił się na lotnisku w pełnym stroju służbowym, nie zapominając o czapce z daszkiem i skórzanych rękawiczkach.

- Dzień dobry, panie Haverstock. Czy miał pan przyjemny lot?

- Owszem, niezły, dziękuję - odparł Alek, choć nie zmrzążył w samolocie oka. - Dziękuję za przyrowadzenie samochodu.

- Nie ma za co, sir. - Odebrał od Aleka torbę i umieścił ją w bagażniku. - Kazałem nalać pełny bak, więc nie będzie pan musiał nigdzie się zatrzymywać.

- A jak pan wróci do miasta?

- Pojadę kolejką, sir.

- Przykro mi, że naraziłem pana na taki kłopot w niedzielę. Jestem naprawdę wdzięczny.

- Zawsze do usług, sir. - Rogerson dyskretnie schował w dłoni wręczony mu przez Aleka pięćofuntowy banknot.

- Bardzo dziękuję, sir.

Kiedy wyjechał za miasto, zaczęło się rozjaśniać. Małe miasteczka, leżące po obu stronach autostrady, powoli budziły się do życia. Gdy dotarł do Devon, odezwały się kościelne dzwony. A kiedy przejeżdżał przez most nad Tamar, słońce stało już wysoko i na szosie panował niedzielny ruch.

Słupy milowe przelatywały za oknami samochodu. Miał jeszcze sześćdziesiąt, potem pięćdziesiąt, potem czterdzieści mil do Tremenheere. Minał wzniesienie i droga pobięła w dół, ku rozlewiskom, piaszczystym wydmom i morzu. Widział już wzgórza pokryte granitowymi głazami i kopcami, które stały tu od zarania dziejów. Droga skręciła na południe. Ujrzał morze migoczące w promieniach słońca. Pływały po nim jachty, być może biorące udział w jakichś lokalnych regatach. Wąskie plaże wypełnione były tłumami wrzaskliwych, szczęśliwych urlopowiczów.

Penvarloe. Skręcił na wzgórzu i jadąc znajomymi, spokojnymi uliczkami, szybko minął miasteczko, a potem równie dobrze mu znaną bramę.

Było w pół do pierwszej.

Ujrzał ją natychmiast. Siedziała na stopniach domu z kolanami pod brodą i czekała na niego. Zastanowiło go, od jak dawna tu przebywa. Kiedy podjechał bliżej i wyłączył silnik, powoli wstała z miejsca.

Odpiął pas, wysiadł i stał przy otwartych drzwiach, patrząc na córkę. Ujrzał jej piękne szare oczy, największy walor urody, jaki odziedziczyła po matce. Była wysoką, długonogą dziewczyną. Miała teraz krótkie, utlenione na kolor słomy włosy. Ale nie zmieniła się.

- Długo kazałeś mi czekać - powiedziała, ale ostrość słów złagodziło drzenie jej głosu. Zatrzasnął drzwi samochodu i wyciągnął ręce. - Och, tato! - zawołała Gabriela, wybuchając płaczem i padając mu w ramiona.

\* \* \*

Później poszedł na górę, by poszukać Laury. Znalazł ją w sypialni; siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Łóżko było pościelone, a pokój sprzątnięty i przewietrzony. Koszyk Lucy zniknął. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę w lustrze.

- Kochanie!

Wypuściła z rąk szczotkę i obróciła się w jego stronę. Uniósł ją lekko i obejmował przez dłuższą chwilę tak mocno, że czuł bicie jej serca. Ucałował jej czyste, przyjemnie pachnące włosy, a potem dotknął ich dłonią.

- Najdroższa Lauro.

- Nie schodziłam na dół, bo chciałam, żebyś najpierw zobaczył się z Gabriellą. Chciałam, żeby ona zobaczyła się z tobą pierwsza.

- Czekala na mnie - powiedziała. - Przykro mi z powodu Lucy.

Bez słowa potrząsnęła głową. Nie chciała mówić o tym dramacie, nie była pewna, czy zdoła wydobyć głos.

Nie powiedział: - Kupię ci innego psa. Wiedział, że Laura być może będzie miała po jakimś czasie nowego szczeniaka, ale to już nie będzie Lucy.

Po chwili odsunął ją łagodnie od siebie i spojrzał w jej twarz. Była opalona i wyglądała o wiele lepiej, ale jej smutek był wyraźnie widoczny. Objął ją czule.

- Czy rozmawiałeś z Gabriellą? - spytała.

- Tak.

- I powiedziała ci?

- Tak.

- O dziecku? - Kiwnął potakująco głową. - Ona wróciła do ciebie, Alek. Po to przyjechała do Anglii. Żeby być z tobą.

- Wiem.
- Może zamieszkać z nami.
- Oczywiście.
- Przeszła ciężkie chwile.
- Ale jakoś to przeżyła.
- Jest wspaniałym człowiekiem.
- To samo powiedziała o tobie - odparł z uśmiechem.
- Nigdy nie chciałeś ze mną o niej mówić. Dlaczego nigdy nie chciałeś ze mną rozmawiać o Gabrieli?
  - Czy to cię tak bardzo niepokoiło?
  - Tak. Czułam się rozpaczliwie bezradna, tak jakbyś myślał, że nie kocham cię wystarczająco, by zaakceptować Gabrię.
  - To wydaje mi się dość skomplikowane - powiedział po chwili namysłu. - Lepiej usiądźmy... - Wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku starej kanapy pod oknem. Zasiadł w rogu i przyciągnął ją do siebie, nie wypuszczając jej dłoni.
  - Musisz mnie wysłuchać - oznajmił. - Nie mówiłem o Gabrieli po części dlatego, by cię nie ranić. Moje życie z Eriką skończyło się przed wielu laty, a Gabriela odeszła ode mnie wtedy w sensie fizycznym. Prawdę mówiąc, jeszcze przed naszym ślubem straciłem nadzieję, że ją kiedykolwiek zobaczę. A poza tym, nie potrafiłem o niej rozmawiać. To było bardzo proste. Jej utrata, jej odejście było najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przeżyłem. Z biegiem lat odciąłem się od wspomnień, zamknąłem je w skrzynce i mocno zatrzasałem wieko. Tylko w ten sposób mogłem z tym żyć.
    - Ale teraz możesz otworzyć tę skrzynkę.
    - Gabriela sama ją otworzyła. Wróciła do domu.
    - Och, Alek.
    - Wiesz, bardzo za tobą tęskniłem - powiedział, całując ją. - Kiedy nie było cię ze mną, Glenshandra straciła cały czar. Chciałem, żeby te wakacje już się skończyły, żebym mógł wrócić do domu, do ciebie. A w Nowym Jorku stale

mi się zdawało, że cię widzę; w restauracjach i na ulicach. Ale to po prostu były figle, jakie płatała mi moja wyobraźnia.

- Jak udało ci się wyjechać z Nowego Jorku. Przecież nie załatwiłeś jeszcze wszystkich spraw? Kiedy... Lucy umarła, powiedziałam Geraldowi, że cię potrzebuję, ale nigdy nie sądziłam, że zada sobie tyle trudu, by cię sprowadzić.

- Został tam Tom. Doskonale sobie ze wszystkim poradzi bez mojej pomocy.

- Czy dostałeś mój list?

Alek potrząsnął głową.

- Pisałeś do mnie?

- Tak, ale chyba list nie mógł jeszcze dojść. Chciałam ci tylko powiedzieć, jak okropnie żałuję, że nie pojechałam z tobą.

- Rozumiałem to.

- Nienawidzę telefonów.

- Ja też. Posługuję się nimi niemal bez przerwy, ale nie można się z ich pomocą porozumieć z kimś, z kim chce się być naprawdę blisko.

- Alek, nie chodziło o to, że nie lubię latać, ani o to, że czułam się chora. Ja po prostu... nie mogłam... - Zawahała się, a potem wyrzuciła z siebie prawdę. - Nie mogłam znieść myśli o spędzeniu tygodnia w Nowym Jorku z Daphne Boulderstone.

Alek milczał przez chwilę oniemiały ze zdumienia. Potem zaczął się śmiać.

- Myślałem, że chcesz mi wyznać coś okropnego.

- A czy to nie jest okropne?

- To, że Daphne Boulderstone doprowadza cię do szału? Kochanie, ona nas wszystkich ciągle doprowadza do szału. Nawet własnego męża. Jest najbardziej irytującą kobietą na świecie!

- Och, Alek, tu chodzi nie tylko o to. Ona po prostu... ciągle... ciągle sprawia, że czuję się jak idiotka... jakbym

była kompletną ignorantką... a pewnego dnia przyszła do mnie i zaczęła opowiadać o Erice, o jej zasłonach i tak dalej... że była jej najlepszą przyjaciółką i że nic nie wyglądało już tak samo po sprzedaniu Deepbrook.. że spotykała się z tobą, zanim poznała Toma, i o tym, jak ważne są pierwsze miłości, i...

Alek położył jej dłoń na ustach. Spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach współczucie, ale przede wszystkim rozbawienie.

- To najbardziej pokręcone zdanie, jakie słyszałem w życiu - powiedział, cofając rękę. - Ale rozumiem, o co ci chodzi - dodał, całując ją w usta. - I bardzo przepraszam. Byłem głupcem, wyobrażając sobie, że byłabyś gotowa spędzić tydzień z Daphne. Ale tak bardzo chciałem, żebyś była tam ze mną...

- Oni tworzą coś w rodzaju klanu - Boulderstone'owie i Ansteyowie. Klanu, do którego nigdy nie będę mogła należeć.

- Wiem. Wykazałem kompletny brak wyobraźni. Niekiedy zapominam o tym, że jesteś od nas wszystkich o tyle młodsza. Mam z nimi do czynienia od tak dawna, że czasem tracę z oczu to, co ważne.

- Na przykład co?

- Och, nie wiem. Na przykład to, że mam piękną żonę. I piękną córkę.

- I będziesz miał pięknego wnuka.

- To również - przyznał z uśmiechem.

- Może być nam trochę ciasno na Abigail Crescent.

- Myślę, że mieszkaliśmy na Abigail Crescent już wystarczająco długo. Po powrocie do Londynu poszukamy większego domu. Z ogrodem. I na pewno będziemy w nim żyli długo i szczęśliwie.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Jutro rano.

- Chcę już wrócić do domu - wyznała. - Eve i Gerald byli niezwykle gościnni, ale chcę już wrócić do domu.



- Przypomniałaś mi o czymś. - Zerknął na zegarek. - Zamieniłem z nimi kilka słów, zanim poszedłem cię szukać. Obiad jest o wpół do drugiej. Czy jesteś głodna?

- Jestem chyba zbyt szczęśliwa, by być głodna.

- To niemożliwe - stwierdził Alek. Wstał i pomógł jej dźwignąć się z kanapy. - Popatrz na mnie. A ja nie mogę się doczekać chwili, w której Eve postawi przede mną talerz z pieczoną wołowiną i młodymi ziemniakami.

\* \* \*

- ...a więc tak wygląda sytuacja. Kiedy Sylwia dostała ten pierwszy list, byliśmy wszyscy prawie pewni, że nadawcą jest biedna stara May. Że napisała go w chwili kompletnego zaćmienia umysłowego. Jest staruszką i zachowuje się od czasu do czasu bardzo dziwnie, więc takie tłumaczenie wydawało się nam racjonalne. Ale kiedy Gabriela pokazała mi ten drugi list, zaadresowany do ciebie, Ivan sugerował, że oba anonimy mogła napisać Drusilla, dziewczyna, która mieszka w małym domku. Jest bardzo miłym stworzeniem, ale jak słusznie podkreślił Ivan, całkowitą zagadką dla nas wszystkich. Zamieszkała tutaj, bo nie miała się gdzie podziać. I mam wrażenie, że bardzo interesuje się Ivanem. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, Alek. Naprawdę nie wiem.

- A potem ta historia z Lucy!

- Tak. Tego horroru kompletnie nie potrafię sobie wytłumaczyć. May może jest starą wariatką, ale nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś takiego. A Drusilla to kobieta, która kojarzy się z matką-Ziemią. Nie mogę uwierzyć, żeby zabiła jakąś żywą istotę.

- Jesteś pewien, że pies został otruty?

- Absolutnie. Nie ma żadnych wątpliwości. Dlatego właśnie musiałeś wrócić z Nowego Jorku. Gdy tylko zobaczyłem tego psa, zacząłem się obawiać o Laurę.

Siedzieli w gabinecie Geralda. Była już trzecia po południu. List i koperta leżały między nimi na stole. Alek prze-

czytał go ponownie. Czarne nierówne słowa utrwaliły się w jego pamięci bardzo wyraźnie. Ale czuł się w obowiązku przeczytać je jeszcze raz.

- Nie mamy pierwszego listu?

- Nie, zatrzymała go Sylwia. Nie chciała mi go dać. Powiedziałem jej, żeby go nie niszczyła.

- Może powinienem go zobaczyć, zanim podejmiemy jakieś dalsze decyzje. Tak czy owak, jeśli mamy podjąć...dalsze kroki... ten list będzie nam potrzebny jako dowód rzeczowy. Może pójde się z nią zobaczyć. Czy myślisz, że ją zastanę?

- Zadzwoń do niej - odparł Gerald. Przysunął do siebie telefon, nakręcił numer i podał słuchawkę Alekowi. Po chwili usłyszeli pogodny, lekko ochrypły głos Sylwii.

- Halo?

- Sylwia, mówi Alek.

- Alek. - Wydawała się zachwycona. - Cześć! Więc wróciłeś?

- Sylwio, czy będziesz w domu w ciągu najbliższej godziny?

- Mój Boże, tak. Zawsze jestem w domu.

- Chciałbym złożyć ci wizytę.

- Świetnie. Będę w ogrodzie, ale zostawię frontowe drzwi otwarte. Po prostu wejdź. Do zobaczenia.

Kiedy wyszedł na dwór, stwierdził, że ciepło sennego letniego niedzielnego popołudnia ożywia lekka bryza, wiejąca od strony morza. Panowała zupełna cisza, a Tremeneere, po raz pierwszy od dawna, było opustoszałe. Ivan wywiózł gdzieś Gabrielę samochodem; wzięli na drogę termos z kawą i stroje kąpielowe. Eve i Laura, bardzo zmęczone, odbywały za namową swych mężów popołudniową drzemkę.

Nawet Drusilla i Joshua zniknęli. Jak wynikało z relacji Ivana, rano pojawił się na dziedzińcu mały, rozklekotany stary kabriolet, za kierownicą którego siedział jeden z tajemniczych przyjaciół Drusilli, potężnie zbudowany męż-

czynna z biblijną brodą. Na tylnym siedzeniu pojazdu leżało olbrzymie czarne pudło od wiolonczeli. Kierowca odbył krótką rozmowę z Drusillą, a potem odjechali, zabierając ze sobą Joshuę. Wzięta flet, więc można się było domyślić, że chodzi o jakieś bliżej nieokreślone wydarzenie muzyczne. Ivan obserwował ich odjazd i opowiedział o nim podczas obiadu.

- Być może Drusillą nawiązała nowy romans - stwierdziła z podnieceniem Eve.

- Nie liczyłem na to - odparł Ivan. - Wyglądali dość dziwnie, ale byli bardzo spokojni. Jestem pewien, że zamierzają znakomicie się zgrać, ale nie w tym sensie, jaki masz na myśli.

- Ale...

- Na twoim miejscu nie upierałbym się przy tym temacie. Myślę, że Gerald nie marzy w tej chwili o nowym lokatorze w Tremeneheere, nawet gdyby był to brodaty wiolonczelista.

A więc Drusillą zniknęła, podobnie jak wszyscy inni. Alek minął bramę i ruszył w kierunku miasteczka. Na zacienionej drodze nie było ruchu. Z drugiej strony doliny dobiegało szczekanie psa. Najwyższe gałązki drzew drżały lekko w podmuchach wiatru.

Sylwia, zgodnie ze swą zapowiedzią, była w ogrodzie. Plewiła właśnie klomb porośnięty różami, a Alek, idąc w jej kierunku i widząc jej szczupłą sylwetkę, opalone ramiona i krótkie szpakowate włosy, pomyślał sobie, że wygląda jak kobieta z reklamy jakiejś firmy ubezpieczeniowej. „Inwestuj z nami, a będziesz żyć beztrudnie na emeryturze”. Brakowało tylko przystojnego, siwowłosego męża, który obcinałby zwiędłe gałązki i uśmiechał się radośnie, jak człowiek nie mający żadnych problemów materialnych.

Tylko tego brakowało. Alek przypomniał sobie Toma; Tom nie był przystojny ani siwowłosy. Kiedy widział go po raz ostatni, powłóczył nogami, miał rozbiegane oczy i fiole-

ową twarz, a jego dłonie przestawały się trząść tylko wtedy, kiedy zaciskał je mocno na szklance.

- Sylwia!

Odwróciła się w jego stronę. Miała na sobie ciemne okulary, więc nie widział jej oczu, ale uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy, dowodził wyraźnie, że jest zachwycona jego widokiem.

- Alek! - Wydobyła się spomiędzy różanych krzewów i ruszyła na jego spotkanie. Pocałował ją serdecznie.

- To cudowna niespodzianka. Nie wiedziałam wcale, że wróciłeś już z Nowego Jorku. A kiedy byłeś tu poprzednio, przywożąc Laurę, prawie wcale cię nie widziałam.

- Myślałem właśnie o Tomie. Chyba nie napisałem do ciebie po jego śmierci. A tego wieczora nie było dość czasu, żeby coś powiedzieć. Ale naprawdę było mi przykro.

- Och, nic nie szkodzi. Biedny Tom. Początkowo czułem się bez niego dość dziwnie, ale chyba zdążyłam już do tego przywyknąć.

- Twój ogród jak zawsze wygląda fantastycznie. - Na trawie leżały narzędzia ogrodnicze. Grabie, motyka, sektor i małe widły. Taczki wypełnione były po brzegi zwędzłymi gałązkami i kwiatami róż. - Musisz mieć z nim mnóstwo roboty.

- Mam dzięki niemu jakieś zajęcie. Ale teraz przestanę pracować i spokojnie porozmawiam z tobą. Muszę tylko umyć ręce. Czy masz ochotę na filiżankę herbaty? Albo na drinka?

- Nie, dziękuję. Co zrobimy z tymi narzędziami? Czy mam je gdzieś odnieść?

- Och, jesteś aniołem. Wrzuć je do tej szopy. - Ruszyła w kierunku domku. - Zaraz wracam.

Zebrał sprzęty i zaniósł je do małego baraczkę, stojącego w kącie ogrodu; był on dyskretnie zasłonięty kratką, po której piał się klematis. Za baraczkę dostrzegł górę kompostu i resztki ogniska, w którym Sylwia paliła odpadki z ogrodu. Wrócił po taczki i wyrzucił ich zawartość na

wierzchołek góry kompostu, a potem oparł je o tylną ścianę baraczku.

Miał dłonie pobrudzone ziemią, więc wyciągnął chustkę do nosa i wytarł je do czysta. Robiąc to spojrzął na ziemię i stwierdził, że Sylwia paliła w ognisku nie tylko ogrodowe odpadki, lecz również stare gazety, kartonowe pudełka i listy. Ich poczerniałe skrawki, których nie strawił ogień, poniewierały się wśród popiołu. Skrawki papieru. Alek zastygł na chwilę w bezruchu. Potem włożył chustkę do kieszeni, pochylił się i podniósł jeden ze świstków. Był to trójkątny narożnik jakiejś kartki papieru, nadpalony wzdłuż najdłuższego boku.

Wrócił do baraczku. Panował w nim niesłychany porządek. Większe narzędzia stały oparte o jedną ze ścian, mniejsze wisiały na specjalnych uchwytach. Alek dostrzegł stosy glinianych doniczek do przesadzania roślin i pudełko z białymi plastikowymi etykietami. Na poziomie oczu znajdowała się półka zastawiona butelkami i pakiecikami. Nasiona trawy, odżywka dla róż, butelka spirytusu metylowego. Puszka oleju silnikowego, jakiś płyn owadobójczy. Paczka proszku, którym posypuje się kompost, by przyspieszyć jego fermentację. Przesuwając wzrokiem po półce zauważył dużą zieloną butelkę z białą zakrętką. Gin Gordon? Myśląc o biednym starym Tomie, wziął ją do ręki i spojrzął na etykietę. Butelka była nadal do połowy wypełniona płynem. Ostrożnie odstawił ją na miejsce, wyszedł z baraczku i wolnym krokiem ruszył w stronę domu.

Gdy wchodził do saloniku, w przeciwległych drzwiach pojawiła się Sylwia, która wcierała w dłonie jakiś krem. Nie zdjęła ciemnych okularów, ale uczesała się starannie i skropiła perfumami. W całym pokoju unosił się ich lekko duszący zapach.

- Tak się cieszę, że znowu cię widzę - powiedziała.
- Moja wizyta ma nie tylko towarzyski charakter, Sylwio. Chcę cię spytać o ten list, który dostałaś.
- List?

- Ten anonim. Widzisz, ja też dostałem taki list.

- Ty... - Gdy tylko zrozumiała sens jego słów, na jej twarzy odbiło się przerażenie. - Alek!

- Gerald powiedział mi, że nadal masz ten, który wysłał do ciebie. Czy pozwolisz mi go obejrzeć?

- Oczywiście. Gerald kazał mi go zatrzymać; gdyby nie on, spaliłabym to paskudztwo. - Podeszła do biurka. - Jest gdzieś tutaj.

Otworzyła szufladę i podała Alekowi brązową kopertę, a on wyjął z niej kartkę papieru. Potem wyciągnął z kieszeni list zaadresowany do niego. Przyłożył do siebie oba arkusze, trzymając je tak, jak trzyma się karty do gry.

- Ależ one wyglądają dokładnie tak samo! Są napisane na dzieciennym papierze listowym.

- Podobnym do tego - oznajmił Alek.

Pokazał jej nadpalony świstek papieru, który znalazł za baraczką. Był poliniowany i ozdobiony na wpół zwęglonym wizerunkiem czarownicy.

- Co to jest? - spytała ostrym, niemal agresywnym tonem.

- Znalazłem to na obrzeżu twojego ogniska, kiedy wypróżniałem taczki.

- Nie prosiłam cię wcale, żebyś je wypróżniał.

- Skąd on się tam wziął?

- Nie mam pojęcia.

- To ten sam papier, Sylwio.

- I co z tego? - Sylwia przez cały czas wcierała krem w dłonie. Teraz podeszła do kominka, znalazła na półeczce papierosa, zapaliła go i wrzuciła zapałkę do pustego paleńska. Jej dłonie wyraźnie drżały. Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła kłęb dymu. Potem odwróciła głowę i stanęła przed nim twarzą w twarz, splatając ręce na pierśsiach.

- I co z tego? - powtórzyła. - Nie wiem, skąd on się tam wziął.

- Myślę, że sama wysłałaś do siebie ten pierwszy list. Po

to, żeby wysłać ten drugi do mnie, nie obawiając się niczyich podejrzeń.

- To nieprawda.

- Musiałaś kupić cały blok dziecinnego papieru listowego. Potrzebowałaś tylko dwóch arkuszy. Więc spaliłaś resztę.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Chciałaś, aby wszyscy myśleli, że to May. Wysłałaś pierwszy list stąd. Ale za drugim razem pojechałaś do Truro i wrzuciłaś go tam do skrzynki. W środę. May zawsze jeździ tam w środę. Dotarł do Londynu następnego dnia, ale ja wyjechałem wcześniej do Nowego Jorku, więc mnie nie zastał. Gabriela otworzyła go, bo chciała się dowiedzieć, gdzie jest Laura, i miała nadzieję, że znajdzie w nim jakąś wskazówkę. Tak się złożyło, że istotnie ją znalazła, ale nie było to dla niej zbyt miłe.

- Nie możesz mi niczego udowodnić.

- Chyba nie muszę. Ale muszę dowiedzieć się *dłaczego?* Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Dlaczego wysłałaś do mnie list zawierający te oszczercze bzdury?

- Oszczercze bzdury? Skąd wiesz, że to są bzdury. Nie było cię tutaj, nie widziałeś ich, nie widziałeś, jak się zachowują. Jak ze sobą rozmawiają.

Mówiła tonem, który przybierała May, kiedy była w najgorszym humorze.

- Ale dlaczego chciałaś popsuć moje stosunki z Laurą? Przecież ona nie zrobiła ci nic złego.

Sylwia skończyła papierosa, zgasiła go brutalnie, wrzuciła do kominka i zaczęła szukać następnego.

- Ona ma wszystko.

- Laura?

Sylwia zapaliła kolejnego papierosa.

- Tak, Laura. - Zaczęła chodzić w tę i z powrotem po małym pokoju, zacierając ręce, jakby panował w nim lodowaty chłód. W tę i z powrotem, jak tygrys w klatce. - Byłaś częścią mojego życia, Alek, częścią mojego okresu dorasta-

nia. Czy pamiętasz, że kiedy byliśmy wszyscy dziećmi - ja, ty i Brian - graliśmy na plaży w krykieta, wspinaliśmy się po skałach, pływaliliśmy w morzu? Czy pamiętasz, jak kiedyś mnie pocałowałeś? To był pierwszy pocałunek, jakim obdarzył mnie mężczyzna.

- Nie byłem mężczyzną. Byłem małym chłopcem.

- Potem nie widziałam cię przez wiele lat. A kiedy po rozpadzie twojego pierwszego małżeństwa przyjechałeś do Tremeneheere, zobaczyłam cię znowu. Czy pamiętasz, jak wszyscy razem poszliśmy na kolację? Ty, Eve, Gerald, Tom i ja...? Tom upił się bardziej niż zwykle, a ty pojechałeś ze mną do domu i pomogłeś mi go położyć...

Alek pamiętał ten wieczór, ale wspomnienie o nim nie było dla niego zbyt przyjemne. Pojechał z nimi, bo wiedział, że Sylwia nie poradzi sobie sama z kompletnie zalanym mężem, który miał sześć stóp wzrostu i był tak nasączony alkoholem, że mógł w każdej chwili stracić przytomność lub dostać torsji. Razem z Sylwią wprowadzili go jakoś do domu, zaciągnęli na górę i położyli do łóżka. Potem weszli do tego pokoju i Sylwia zrobiła mu drinka, a on - wiedziony współczuciem - usiadł i rozmawiał z nią przez chwilę.

- ...byłeś dla mnie tego wieczora taki miły. Wtedy pierwszy raz pomyślałam o śmierci Toma. Pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że jego stan nigdy się nie poprawi, że nigdy nie przestanie pić. Nie chciał tego. Została mu tylko śmierć. Więc pomyślałam sobie: „Jeśli Tom umrze - kiedy Tom umrze - Alek będzie na miejscu i zaopiekuje się mną”. Oczywiście była to mrzonka, ale tego wieczora pocałowałeś mnie na dobranoc tak czule, że wszystko wydało mi się nagle całkiem realne i racjonalne.

Nie przypominał sobie, żeby ją pocałował, ale uznał to za możliwe.

- Ale Tom nie umarł. Żył jeszcze przez rok. Pod koniec czułam się tak, jakbym mieszkała z cieniem. Z jakimś widmem, którego jedynym życiowym celem było zdobycie bu-



telki whisky. A zanim umarł, ty ożeniłeś się ponownie. A kiedy zobaczyłam Laurę, zrozumiałam dlaczego. Ona ma wszystko - powtórzyła przez zaciśnięte zęby w ataku wściekłej zazdrości. - Jest młodsza i piękna. Ma kosztowny samochód, drogie suknie i biżuterię, za którą każda kobieta dałaby nie wiem co. Może sobie pozwolić na kupowanie cennych prezentów. Prezentów dla Eve, choć Eve jest *moją* przyjaciółką. Ja nie mogę dawać jej takich prezentów. Tom zostawił mnie w nędzy i ledwie wiązę koniec z końcem, więc nie stać mnie na hojne gesty. I wszyscy stale o niej mówili takim tonem, jakby była jakąś świętą. Nawet Ivan. Szczególnie Ivan. Dawniej wpadał do mnie od czasu do czasu i zapraszał do siebie na drinka, kiedy byłam przygnębiona, ale od przyjazdu Laury wszystko to się skończyło; miał czas tylko dla niej. Jeździli gdzieś razem, czy o tym wiesz, Alek? Bóg wie, co robili, ale wracali do Tremenheere z tajemniczymi minami, a twoja żona promieniała radością jak zadowolony z siebie kot. Napisałam ci prawdę. To była prawda... musieli być kochankami. Wydawała się taka... usatysfakcjonowana. Znam się na tym. Potrafię to poznać. Usatysfakcjonowana.

Alek milczał. Pełen smutku i współczucia patrzył na chodzącą niestrudzenie po pokoju Sylwię, słuchał jej głosu, który nie był już głęboki i zmysłowy, lecz przenikliwy, nabrzmiały rozpaczą.

- ...Czy wiesz, jak czuje się człowiek samotny, Alek? Naprawdę samotny? Żyłes bez Eriki przez pięć lat, ale nie możesz wiedzieć, co to jest prawdziwa samotność. Człowiek czuje się tak, jakby jego nieszczęście było zaraźliwe, jakby wszyscy od niego stronili. Dopóki żył Tom, zawsze przychodzili do nas jacyś ludzie, jego przyjaciele, nawet pod koniec, kiedy był już tak nieznośny. Przychodzili zobaczyć się ze *mną*. Ale po jego śmierci przestali się pojawiać. Zostawili mnie samą. Bali się zobowiązań, bali się samotnej kobiety. Nie miałam żadnego pożytku z Toma w ciągu kilku ostatnich lat jego życia, ale... dawałam sobie radę. I wcale

się tego nie wstydziłam, bo musiałam mieć jakąś namiastkę miłości, jakiś bodziec, który pozwalał mi funkcjonować. Ale kiedy umarł... Wszyscy mi współczuli. Mówili o pustym domu, o pustym fotelu przy kominku, ale byli zbyt delikatni, by wspomnieć o pustym łóżku. To był dla mnie największy koszmar.

Alek zaczął się zastanawiać, czy Sylwia nie jest trochę obłąkana.

- Dlaczego otrułaś psa Laury? - spytał.

- Ona ma wszystko...Ma ciebie, a teraz ma również Gabriellę. Kiedy powiedziała mi o Gabrieli, wiedziałam, że straciłam cię na zawsze. Mogłeś zostawić na lodzie ją, ale nigdy nie porzuciłbyś swojej córki.

- Ale co ci zrobił ten mały piesek?

- Piesek był chory i zdechł.

- Lucy została otruta.

- To kłamstwo.

- Znalazłem w twoim baraczkcu butelkę ginu Gordon.

- Musiała należeć do Toma - odparła niemal ze śmiechem. - Wszędzie chował przede mną butelki. Znajduję je nawet teraz, w rok po jego śmierci.

- W tej nie było ginu. Miśła etykietę z napisem: „Paraquat”.

- Co to jest Paraquat?

- Środek chwastobójczy. To jedna z najsilniejszych truczyn, jakie istnieją. Nie można go kupić w sklepie. Trzeba pokwitować jego odbiór.

- Musiał go kupić Tom. Ja nigdy nie używam środków chwastobójczych. Nie znam się na nich.

- Myślę, że to nieprawda.

- Nie wiem o niczym. - Sylwia wyrzuciła papierosa do ogrodu przez otwarte drzwi. - Mówię ci, że o niczym nie wiem. - Wyglądała tak, jakby zamierzała się na niego rzucić. Chwycił ją za łokcie, ale wyrwała się i niechcący straciła ręką swoje, ciemne okulary. Zobaczył jej dziwne oczy. Ciemne źrenice wydawały się bardzo rozszerzone, ale nie

było w nich życia. Alek poczuł się tak nieswojo, jakby spojrzeć w lustro i nie dostrzegł w nim swego odbicia.

- To ty otrułaś psa. Wczoraj, kiedy wszyscy byli w Gwen-voe. Weszłaś od strony drogi do otwartego domu. May siedziała w swoim pokoju. Drusilla bawiła się z dzieckiem na tylnym dziedzińcu. Nie było nikogo, kto mógłby cię zobaczyć. Po prostu weszłaś po schodach i otworzyłaś drzwi naszej sypialni. Wlałaś zapewne tylko kropelkę Paraquat do mleka Lucy. To wystarczyło. Nie umarła od razu, ale była nieżywa, kiedy znalazła ją Laura. Czy naprawdę myślałaś, Sylwio, czy naprawdę sądziłaś, że wina spadnie na May?

- Ona nienawidziła tego psa. Zwymiotował przecież w jej pokoju.

- Czy zdajesz sobie sprawę, na jakie cierpienia psychiczne naraziłaś Eve? Żadna kobieta nie może mieć lepszej, bardziej lojalnej przyjaciółki niż ona, ale gdyby wszystko poszło po twojej myśli, nie mogłaby w żaden sposób pomóc May. Byłaś gotowa poświęcić je obie w imię swoich urojeń, które były tylko produktem twojej wyobraźni...

- To nieprawda...Ty i ja...

- Nigdy!

- Ale ja cię kocham...Zrobiłam to dla ciebie, Alek...ty...

Podniosła głos do krzyku i próbowała zarzucić mu na szyję swe szczupłe ramiona, unosząc ku niemu pozbawioną wyrazu twarz.

- Czy nie widzisz, głupcze, że zrobiłam to dla ciebie?...

Alek był znacznie od niej silniejszy, więc osunęła się bezwładnie w jego ramiona i musiał ją podtrzymać. Wtedy przywarła do niego i zaczęła histerycznie płakać. Wziął ją na ręce i położył na kanapie, podkładając pod głowę poduszkę. Odwróciła się do niego plecami i nadal głośno szlochała, z trudem chwytając powietrze. Przsunął krzesło, usiadł obok kanapy i obserwował Sylwię z nadzieją, że jej histeria minie. W końcu, wyczerpana, przestała się miotać i leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko i głęboko.

- Sylwia - powiedział, wyciągając rękę i dotykając jej bezwładnej dłoni.

Nie zareagowała na jego głos i przez chwilę nie był pewien, czy go usłyszała.

- Sylwia. Musi cię zbadać lekarz. Kto jest twoim lekarzem?

Westchnęła głęboko i zwróciła ku niemu swą zalaną łzami twarz, ale nie otworzyła oczu.

- Zadzwoń do niego. Jak on się nazywa?

- Doktor Williams - wyszeptała z trudem.

Puścił jej dłoń i podszedł do stojącego w korytarzu telefonu. Znalazł w jej notatniku wypisane równymi literami nazwisko lekarza oraz jego numer. Nakręcił go, modląc się, by doktor Williams był w domu.

Był i sam podniósł słuchawkę. Alek wyjaśnił mu najkrócej i najprościej, jak potrafił, co się stało. Lekarz słuchał go w milczeniu.

- Co teraz robi? - spytał.

- Jest spokojna. Leży. Ale myślę, że jest bardzo chora.

- Owszem - odparł lekarz. - Bałem się, że coś takiego może nastąpić. Badałem ją okresowo od śmierci jej męża. Była w stanie silnego stresu. Nawet drobna przyczyna mogła wywołać taki wybuch.

- Czy zechce pan przyjechać?

- Zaraz tam będę. Czy może pan z nią zostać, dopóki się nie zjawię? Postaram się przybyć jak najszybciej.

- Oczywiście.

Alek wrócił do Sylwii. Wydawała się pogrążona we śnie. Dziękując za to Bogu, zdjął z oparcia fotela jakiś pled i przykrył ją, podwijając wełnianą tkaninę pod jej stopy i ramiona. Kiedy ujrzał jej pobrużdżoną twarz, na której napięcie i rozpacz zostawiły wyraźne ślady, wydała mu się równie stara jak May. Starsza, ponieważ May nigdy nie utraciła swej niewinności.

Kiedy usłyszał w końcu warkot samochodu doktora Williamsa, wyszedł na jego spotkanie. Lekarz przywiózł ze

sobą pielęgniarkę, silnie zbudowaną kobietę w białym kitlu.

- Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego - powiedział Alek.

- Mnie również. Postąpił pan bardzo rozsądnie, telefonując do mnie. Dziękuję, że pan z nią został. Gdzie można pana znaleźć, gdybym chciał się z panem porozumieć?

- Mieszkam w Tremeneere. Ale jutro rano muszę wrócić do Londynu.

- W razie potrzeby zawsze mogę skontaktować się z admirałem. Nie sądzę, by mógł pan zrobić coś więcej. Teraz my się nią zajmujemy.

- Czy wyzdrowieje?

- Karetka jest już w drodze. Jak powiedziałem, nic więcej nie może pan zrobić.

Idąc wolno drogą prowadzącą do Tremeneere, Alek odkrył nagle, że myśli nie o tym, w czym przed chwilą uczestniczył, lecz wspomina odległe czasy, w których obaj z Brianem, jako młodzi chłopcy, zamieszkali u tryskającego życiem stryja Geralda i poznali po raz pierwszy smak dorosłości. To, co teraz odczuwał, może było typowe dla ludzi bardzo starych. Dlatego May, która potrafiła relacjonować dokładnie wszystkie szczegóły organizowanych kiedyś przez jej niedzielną szkółkę pikników i uroczystości związanych z Bożym Narodzeniem, nie pamiętała niekiedy, co robiła poprzedniego dnia. Lekarze nazywali to stwardnieniem arterii i mówili o fizycznej dezintegracji typowej dla osób bardzo starych, ale być może przyczyny leżały głębiej. Być może była to po prostu ucieczka, odrzucenie rzeczywistości niosącej ze sobą stopniową utratę wzroku i słuchu, słabość nóg i bezwład spralizowanych przez artretyzm dłoni.

Sylwia pojawiła się w jego wspomnieniach jako czternaastoletnia dziewczyna. Jeszcze dziecko, ale już wyraźnie zdające sobie sprawę z tego, że może stanowić obiekt pożądania dla przedstawicieli przeciwnej płci. Miała wtedy dłu-

gie, chude, opalone nogi i ręce dziecka, ale jej drobny biust przeczył tym objawom dziecięcości, a twarz, okolona grzywą czerwonozłotych włosów, zapowiadała wielką urodę. Wszyscy troje grali w krykieta i wspinali się po skałach z niewinnością właściwą ludziom w ich wieku. Ale kiedy pływali, czuli się zupełnie inaczej, jakby słona woda spłukiwała nieśmiałość i zahamowania wieku dojrzewania. Kiedy wpadali na siebie w falach przypływu, ich ciała stykały się. Gdy nurkowali, ich dłonie i policzki ocierały się o siebie. Kiedy Alek zebrał się w końcu na odwagę i wycisnął na jej policzku pierwszy chłopięcy, niezręczny pocałunek, przechyliła głowę w taki sposób, że jej rozchylone usta dotknęły jego warg, a pocałunek przestał być tak bardzo niezręczny i niewinny. Wiele go nauczyła, a mogła nauczyć jeszcze więcej.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu czuł się tak zmęczony. Nigdy nie szukał pociechy w alkoholu, ale teraz czuł potrzebę wypicia ogromnego drinka. Musiał z tym poczekać. Kiedy dotarł do Tremenhoeere, stał przez chwilę w hallu, nasłuchując. Żadnych głosów, żadnych dźwięków. Wszedł po szerokich dębowych schodach, podszedł do swego pokoju i delikatnie otworzył drzwi. Zasłony były nadal zaciągnięte, a w dużym małżeńskim łożu spała Laura. Przyglądał się jej ciemnym włosom, rozrzuconym na białej poduszce, i czuł wzbierającą falę miłości i tliwości. Małżeństwo z Laurą było najważniejszą sprawą w jego życiu, a myśl, że mógłby ją z jakichkolwiek przyczyn utracić, napawała go lękiem. Być może oboje popełnili jakieś błędy; byli zbyt powściągliwi i nadmiernie szanowali swą prywatność. Obiecał sobie, że od tej pory dzielić będą wszystkie dole i niedole, jakie przyniesie im los.

Jej twarz podczas snu była tak niewinna i beztroska, że wyglądała o wiele młodziej. Alek z pełną zdumienia radością uświadomił sobie, że naprawdę jest niewinna.

Jedynie Laura nie wiedziała nic o oszczerczych listach. Nie wiedziała o tym, że Lucy została otruta. Alek nie

chciał, by kiedykolwiek się o tym dowiedziała, ale równocześnie postanowił, że będzie to już ostatnia rzecz, jaką zachowa przed nią w tajemnicy. Drgnęła, ale nie obudziła się. Wyszedł na palcach z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Eve i Geralda najwyraźniej nie było w domu. Szukając ich, wyszedł na dziedziniec. Zauważył, że Drusilla i jej przyjaciel wrócili już z porannej eskapady. Pod ścianą stał samochód, przypominający starą maszynę do szycia wyposażoną w koła i najwyraźniej trzymający się kupy tylko dzięki temu, że powiązano go sznurkami i drutem. Jego właściciel, Drusilla i Joshua byli na dworze. Młody człowiek, siedzący na wyniesionym przed dom bujanym fotelu, wyglądał jak biblijny prorok. Joshua czołgał się u jego stóp, a Drusilla siedziała na progu i grała na flecie.

Alek, urzeczony urokiem tej sceny, zatrzymał się, by popatrzeć i posłuchać. Unosząca się w powietrzu muzyka miała w sobie świeżość i lekkość szemrzącej fontanny. Alek rozpoznał utwór: był to „Skowronek w czystym powietrzu”, stara północna pieśń, którą Drusilla zapamiętała zapewne z czasów dzieciństwa i wybrała jako idealny akompaniament do'letniego wieczoru. Jej przyjaciel, kołysząc się łagodnie w fotelu, obserwował ją w milczeniu. Joshua, znużony zabawą na czworakach, wstał nagle z wysiłkiem i oparł nagie siedzenie o nogi mężczyzny. Ten pochylił się i wziął go w swoje potężne ramiona.

A więc, być może, Ivan się mylił. Być może Drusilla i jej przyjaciel nie ograniczali swych kontaktów do wspólnych koncertów. Mężczyzna wyglądał na miłego człowieka, więc Alek życzył im w myślach wszystkiego dobrego.

Ostatnie dźwięki wybrzmiały. Drusilla opuściła flet, podniosła wzrok i zobaczyła go.

- Wspaniale - powiedziała. - To było piękne.
- Czy szuka pan Eve?
- Tak.
- Są w ogrodzie. Zbierają maliny.

Poczuł się podniesiony na duchu tym krótkim spotkaniem. Tremenheere nie straciło swego magicznego daru kolenia duszy. Mimo to, przechodząc przez furtkę w murze i idąc wzdłuż przyciętego żywopłotu, czuł się tak przygnębiony, jak człowiek mający przekazać rodzinie wiadomość o tragicznej śmierci jednego z jej członków. Kiedy się zbliżył, przerwali zbieranie malin i zwrócili ku niemu twarze. Miał wrażenie, że od czasu kiedy widział ich po raz ostatni, upłynęła wieczność, ale jego relacja o smutnych wydarzeniach mijającego popołudnia trwała tylko chwilę. Stali w słońcu, w spokojnym, pełnym zapachów ogrodzie, a on zawarł wszystko w kilku zwięzłych, bolesnych zdaniach. Sprawa została skończona i zamknięta. Byli nadal wszyscy razem. Alek miał wrażenie, że graniczy to z cudem.

Ale Eva, wierna swojej naturze, myślała tylko o Sylwii.

- ...karetka? Pielęgniarka? Mój Boże, Alek, co oni jej zrobią?

- Myślę, że wezmą ją do szpitala. Ona potrzebuje opieki, Eve.

- Ależ ja muszę tam pojechać i zobaczyć się z nią... muszę...

- Kochanie... - Gerald położył dłoń na jej ramieniu. - Zostawmy sprawy własnemu biegowi. Przynajmniej na razie. Nic nie możesz zrobić.

- Ale przecież nie wolno nam zostawić jej samej. Cokolwiek zrobiła, nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, oprócz nas. Nie wolno nam zostawić jej samej.

- Nie zostawimy jej.

Eve spojrzała na Aleka, jakby prosząc go o pomoc.

- Ona jest chora, kochanie - powiedział, ale Eve nadal nie rozumiała. - Przeżyła załamanie nerwowe.

- Ale...

- Moja droga, ona po prostu zwariowała - oznajmił Gerald, rezygnując z eufemizmów.

- Ależ to okropne... tragiczne...

- Musisz się z tym pogodzić. Tak będzie lepiej dla cie-



bie. Oboje podejrzewaliśmy Drusillę i May; dwie całkowicie niewinne kobiety mogły być oskarżone o coś, o czym nawet nie wiedziały. I o to właśnie chodziło Sylwii. Chciała nie tylko rozbić małżeństwo Aleka i Laury, ale przy okazji zniszczyć May...

- Och, Geraldzie... - Zasłoniła usta dłonią, tłumiąc resztę zdania. Jej niebieskie oczy wypełniły się łzami. - May...moja kochana May...

Rzuciła kosz z owocami i pobiegła ścieżką w stronę domu. Odeszła tak nagle, że Alek instynktownie ruszył za nią, ale Gerald powstrzymał go.

- Zostaw ją. Nic jej nie będzie.

\* ^ \*

May siedziała przy stole, wklejając obrazki do swego albumu. Myślała z zachwytem o ładnej melodii, którą grała Drusilla. Ta Drusilla jest dziwną dziewczyną. Chyba ma nowego adoratora... choć mnie nigdy nie podobali się brodac. Znalazłam w niedzielnych gazetach sporo ładnych fotografii. Oto Królowa Matka w niebieskim sztyfowanym kapeluszu... Zawsze miała miły uśmiech... I ten śmieszny obrazek... kotek z kokardą na szyi wygląda z dzbanka. To przykre, co się stało z psem pani Laury. Lucy była miłym stworzeniem, choć zwymiotowała na mój dywan.

Była przygłucha, więc nie usłyszała kroków Eve na korytarzu. Zareagowała dopiero wtedy, kiedy drzwi jej pokoju otworzyły się gwałtownie i wbiegła przez nie Eve. May była tak zaskoczona, że wpadła od razu w zły humor i spojrzała z gniewem znad swoich okularów. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Eve uklękła obok niej.

- Och, May...

Tonęła we łzach. Objęła ramionami May i wtuliła twarz w jej kolana.

- Och, May, moja kochana...

- O co znowu chodzi? - spytała May pocieszającym tonem, którego używała, gdy Eve jako mała dziewczynka roz-

biła sobie kolano lub popsuła lalkę. - Mój Boże, co cię tak zmartwiło? Tyle łez. I mogę się założyć, że chodzi o jakieś głupstwo. No, dobrze, już, dobrze... - Zniekształconą przez artretyzm dłonią pogłaskała Eve po głowie. „Była taką piękną blondynką, a teraz jest już całkiem siwa - pomyślała. - Cóż, nikt z nas nie robi się coraz młodszy”. - No dobrze, dobrze, nie ma o co płakać. May jest przy tobie.

Nie miała pojęcia, jaka jest przyczyna całego zamieszania. I nigdy się tego nie dowiedziała. Nigdy nie spytała i nikt nigdy jej nie powiedział.

# *Domy*

aura kręciła się po sypialni, kończąc pakowanie; opróżniała szuflady, zaglądała do szafy i próbowała sobie przypomnieć, czy schowała do walizki czerwony pasek. Zostawiła Aleka i Gabrielę przy kuchennym stole, by zjedli resztę grzanek i wypili po dodatkowej filiżance kawy. Mieli wyjechać, gdy tylko Alek zbierze wszystkie ich bagaże. Samochód stał już przed frontowym wejściem. Pobyt w Tremeneere dobiegał końca.

Weszła do łazienki po swą gąbkę i szczotkę do zębów oraz maszynkę do golenia Aleka, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę!

- Laura? - Był to głos Gabrieli. Laura wyszła z łazienki, obciążona wszystkimi przyborami toaletowymi.

- Och, kochanie, będę gotowa już za chwilę. Czy Alek się niecierpliwi? Muszę tylko uporządkować te rzeczy i zaraz schodzę. Czy twoja walizka jest już w samochodzie? Mam tu gdzieś butelkę perfum Elizabeth Arden...a może już ją spakowałam?

- Lauro.

Laura spojrzała na nią uważnie.

- Lauro, posłuchaj mnie - powiedziała Gabriela z uśmiechem.

- Słucham cię, kochanie. - Położyła wszystkie rzeczy na łóżku. - O co chodzi?

- Chodzi o to, że... czy miałabyś mi bardzo za złe, Lauro, gdybym nie pojechała z wami do domu? Gdybym została tutaj?...

Laura była zdumiona pytaniem Gabarieli, ale starała się tego nie okazać.

-Ależ oczywiście, że nie. To znaczy...nie ma pośpiechu. Jeśli masz ochotę zostać tu jeszcze przez jakiś czas, to dlaczego nie miałabyś tego zrobić? To bardzo dobry pomysł. Sama powinnam była na to wpaść. Możesz przecież dołączyć do nas później.

- Nie o to chodzi, Lauro. Usiłuję ci powiedzieć, że... chyba wcale nie pojedę do Londynu. Mimo wszystko - dodała niepotrzebnie.

-Nie pojedziesz... - Myśli Laury rozbiegły się bezładnie. - ...ale co będzie z dzieckiem?

- Prawdopodobnie urodzę je tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz zostać u Eve?

- Nie. - Gabriela zaśmiała się nerwowo. - Lauro, jesteś okropnie niedomyślna. Nie ułatwiasz mi tej rozmowy. Zamierzam zostać z Ivanem.

- Z ł . . . - Laura poczuła nagle, że uginają się pod nią kolana, więc przysiadła na skraju łóżka. Zauważyła ku swemu zaskoczeniu, że Gabriela uroczo się rumieni.

- Gabrielo!

- Czy to cię przeraża?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale jestem trochę zaskoczona... Przecież dopiero niedawno go poznałaś. Prawie go nie znasz.

- Dlatego właśnie zamierzam z nim zostać. Żebyśmy mogli poznać się lepiej.

- Czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak, jestem pewna. On również nie ma wątpliwości. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, przysiadła na łóżku obok Laury. - Zakochaliśmy się w sobie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie jestem pewna, bo nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Nigdy naprawdę nie wierzyłam w miłość. A jeśli

idzie o miłość od pierwszego wejrzenia, to zawsze uważałam to za sentymentalne bzdury.

- To nieprawda - oznajmiła Laura. - Wiem o tym, bo sama zakochałam się w twoim ojcu od pierwszego wejrzenia. Zanim jeszcze dowiedziałam się, kim on jest.

- Więc mnie rozumiesz. Nie myślisz, że postępuję jak idiotka. Nie sądzisz, że wszystko to jest jedynie kaprysem mojej wyobraźni, wynikiem działania hormonów lub skutkiem ciąży?

- Nie, wcale tak nie sędzę.

- Jestem szczęśliwa, Lauro.

- Czy myślisz, że wyjdiesz za niego za mąż?

- Chyba tak. Kiedyś pójdziemy pewnie we dwoje do wiejskiego kościółka i wrócimy jako mąż i żona. Nie będziesz nam miała tego za złe, prawda? Może nawet będziesz zadowolona, że ominie cię to całe weselne zamieszanie.

- Chyba nie powinnaś pytać o to mnie. Myślę, że powinnaś spytać Aleka.

- Ivan jest na dole i mówi mu to, co ja teraz mówię tobie. Uznaliśmy, że takie wyjście będzie najłatwiejsze. Dla wszystkich.

- Czy on wie o dziecku?

- Oczywiście.

- I nie przeszkadza mu to?

- Nie. Twierdzi, że w pewnym sensie nawet upewnia go, że tego właśnie chce.

- Och, Gabrielo! - Laura objęła swą pasierbicę i po raz pierwszy uściskały się i ucałowały z prawdziwie czułą sympatią. - On jest takim niezwykłym człowiekiem. Niemal tak niezwykłym jak ty. Oboje zasługujecie na wiele, wiele szczęścia.

- Czy przyjedziesz do Tremenheere, kiedy nadejdzie pora urodzin dziecka? - spytała Gabriela, wyzwalając się z objęć Laury. - Chciałabym, żebyś tu była, kiedy pojawi się na świecie.

- Nic nie powstrzymałoby mnie od przyjazdu.

- I nie jesteś urażona, że nie wracam z wami do Londynu?

- To twoje życie. Musisz je przeżyć po swojemu. Ale wiedz, że twój ojciec się zjawi, gdybyś go potrzebowała. Dotychczas nie zdawałaś sobie z tego sprawy, ale zawsze tak było.

- Chyba tak - odparła z uśmiechem Gabriela.

\* \* \*

Laura, lekko oszołomiona, usiłowała skończyć pakowanie, kiedy zjawił się Alek. Gdy stanął w drzwiach, pochylała się właśnie nad walizką, trzymając w jednym ręku szczotkę do włosów, a w drugim odnalezioną butelkę perfum Elizabeth Arden. Podniosła głowę i przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu; miał poważną, skupioną minę i zaciśnięte usta, ale zdradziły go błyszczące z rozbawienia oczy. Laura wiedziała, że śmieje się nie z Ivana i Gabriela, lecz z siebie i z niej.

- Wyglądamy teraz jak typowi zdesperowani rodzice, którzy próbują pogodzić się z szaleńczą niekonsekwencją młodego pokolenia - powiedział w końcu Alek, przerywając milczenie.

Laura wybuchnęła śmiechem.

- Kochanie, choćbyś nie wiem jak próbował i starał się, nigdy nie będziesz wyglądał ani mówił jak staroświecki ojciec.

- Chciałem, żebyś uwierzyła, że jestem oburzony.

- Nie udało ci się to. A więc nie jesteś urażony?

- Urażony? To eufemizm roku! Jestem oszołomiony ciosami poniżej pasa. Ivan i Gabriela... - Uniósł brew. - Co o tym myślisz?

- Myślę... - odparła Laura, chowając butelkę i szczotkę, a potem zatrzasnąwszy walizkę - ...myślę, że oni są sobie nawzajem potrzebni. - Sprawdziła zamki. - Myślę, że są zakochani, ale uważam też, że się lubią.

- Wcale się nie znają.

- Owszem, znają się. Od razu się zaprzyjaźnili i nie rozstawali w ciągu ostatnich dwóch dni. Ivan jest bardzo dobry, a Gabriela potrzebuje dobroci i ciepła. Szczególnie teraz, kiedy spodziewa się dziecka.

- To kolejna niezwykła historia. Jemu nie tylko nie przeszkadza, że ona jest w ciąży. To nawet upewnia go w przekonaniu, że chce z nią spędzić resztę życia.

- Alek, on ją kocha.

Alek uśmiechnął się mimo woli i potrząsnął głową.

- Lauro, kochanie, jesteś romantyczką.

- Myślę, że Gabriela też jest romantyczką, choć nie chce się do tego przyznać.

- Wszystko to ma jedną dobrą stronę - powiedział po chwili zastanowienia Alek. - Skoro ona zostaje tutaj, to nie będę musiał szukać większego domu.

- Nie licz na to za bardzo.

- Co masz na myśli?

- Zamierzam przyjechać do Tremenheere, kiedy Gabriela będzie rodzić. Czyli za jakieś osiem miesięcy. Do tej pory mogę sama być w ciąży. Nigdy nic nie wiadomo. Może będę miała szczęście.

Alek uśmiechnął się ponownie i spojrzał na nią z wielką miłością.

- To prawda - przyznał, całując ją. - Nigdy nic nie wiadomo. A teraz, czy jesteś już gotowa? Bo wszyscy zebrali się w hallu, by nas pożegnać. Mój ojciec zawsze mówił: jeśli masz jechać - jedź. Więc nie każmy im czekać.

Zamknęła ostatnią walizkę, a on podniósł ją i ruszył w kierunku drzwi. Laura po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Koszyk Lucy zniknął - Gerald go spalił. Lucy została pochowana tu, w Tremenheere, w tym pięknym ogrodzie. Gerald zaproponował, że zamówi mały rzeźbiony nagrobek, ale wydawało im się to niestosowne, więc Eve obiecała posadzić w miejscu, gdzie leży Lucy, różany krzew. Staromodny różany krzew. Może *Perpetue et Felicite*. Drobne, wdzięczne, blad różowe kwiaty. W sam raz dla Lucy.

*Perpetue et Felicite.* Laura wyobraziła sobie, że szczęśliwa Lucy biegnie do niej po trawniku; widziała jej błyszczące oczy, powiewające uszy i radośnie merdający ogon. Uznała, że krzew róży będzie właściwym po niej wspomnieniem, a słowo *Felicite* znaczyło szczęście. Łzy przesłoniły jej oczy, ale szybko je otarła i w ślad za mężem ruszyła w kierunku drzwi...